



I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy

WE WSPOMNIENIACH NAUCZYCIELI I UCZNIÓW

EWA NOWACKA

Dębica 2025



I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

**im. Króla
Władysława
Jagiełły w Dębicy**

WE WSPOMNIENIACH NAUCZYCIELI I UCZNIÓW

EWA NOWACKA

Dębica 2025



Wspomnienia to obraz przeszłości wywołany z pamięci. „Dobre wspomnienia są jak klejnoty (...). Nie ma dwóch identycznych. Człowiek zbiera je, zachowuje, aż pewnego dnia, obejrzawszy się za siebie, dostrzega, iż utworzył długą, wielobarwną bransoletkę” (James Patterson). Pozwalają one człowiekowi określić siebie, swoją tożsamość w otaczającym go świecie. To one pomagają odpowiedzieć na wiele ważnych pytań: kim jestem, co mnie kształtowało, kto odegrał istotną rolę w moim życiu. James Patterson napisał: „Bo czymże tak naprawdę jesteśmy, jeśli nie sumą tego, co się nam przydarzyło”. Psycholodzy twierdzą, że wracając myślami do tego, co dobre, możemy oswoić to, co przykre i nieprzyjemne. Dobre wspomnienia niosą ze sobą siłę, mogą być ostoją i tarczą w trudnych chwilach. Są bezpieczną przystanią, do której zawsze możemy wrócić. „Nasze wspomnienia są jedynym rajem, z którego nigdy nie możemy zostać wygnani” (Jean Paul Richter).

Jak pisałam we wstępie do pierwszego tomu wspomnień, wielkie rocznice skłaniają do refleksji, przywołują w pamięci dawne twarze, miejsca i wydarzenia. I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy obchodzi w tym roku jubileusz 125-lecia istnienia. Rok ten obfituje w wiele ważnych uroczystości: odsłonięcie muralu Jana Sztaudyngera, nadanie czytelni szkolnej imienia Lidii Górskiej, która bibliotece poświęciła swoje dorosłe życie, nadanie auli imienia Krzysztofa Pendereckiego, wybitnego absolwenta „Jagiełły”. Stąd także pomysł zredagowania drugiego tomu wspomnień o szkole, jej nauczycielach i absolwentach.



Po raz kolejny miałam przyjemność przeżywać z autorami chwile dla nich osobiste, wspominać osoby i wydarzenia, które mocno utkwiły w pamięci i wpłynęły na ich życie. W czasie rozmów byłam świadkiem wzruszeń, radości, nostalgii, a czasem też odrobiny smutku, że czas tak szybko płynie, a wraz z nim przemijamy i my. Ale przecież „wspomnienia to klucz do bram czasu” (Jorge Luis Borges).

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy zechcieli się podzielić swoimi wspomnieniami i refleksjami. Pozwolili mi razem ze sobą wracać do ważnych chwil, dzięki czemu po raz kolejny uświadomiłam sobie, że nasza szkoła żyje w ludziach, którzy darzą ją szacunkiem i uznaniem.

Zapraszam w podróż po przeszłości, a jej przewodnikami będą ludzie, dla których nasze liceum było przez kilka lat domem, czasem szczęśliwym, czasem smutnym, ale zawsze ważnym i bliskim sercu.

„Odwiedzaj swoje wspomnienia,
Uszyj dla nich płócienną pokrowce.
Odsłoń okna i otwórz powietrze,
Bądź dla nich serdeczny (...)
To są twoje wspomnienia.” (Adam Zagajewski)

Ewa Nowacka



Mgr Lic. **JAKUB BIESZCZAD SCJ**

Nasza ambitna siłaczka...



Jakub Bieszczad

Dwie rzeczy pamiętam o szkole w sposób szczególny... Pierwsza to świadomość złożonego ślubowania – może jako zakonnik zacząłem w wyjątkowy sposób cenić dane słowo, może ja jako ja stałem się sentymentalny i zacząłem mieć wyjątkowe oczekiwania wobec samego siebie. I to nie tak, że w jakiś szczególny sposób przypominam sobie ten dzień, kiedy wypowiadając na sztandar szkoły rotę przyrzeczenia stawaliśmy się pełnoprawnymi uczniami, ani nawet słowa nie wryły mi się szczególnie w pamięci. Dziś po prostu pamiętam o dwóch zobowiązaniach: do pilnego wypełniania obowiązków ucznia, co już jest w sumie historią, jako że jestem już absolwentem, nie uczniem, a z czego chyba dobrze się wywiązałem, zważywszy na wyniki na świadectwie oraz obowiązek dbania o dobre imię szkoły. Nie jestem tego pewien, ale wydaje mi się, iż wtedy usłyszałem, że zawsze mogę się zwrócić do szkoły po pomoc, zawsze mogę do szkoły przyjść, bo to zawsze będzie moja szkoła... Oczywiście nie mam zamiaru nadużywać tego zapewnienia, ale niewątpliwie zrobiło ono na mnie tak silne wrażenie, że pozostało we mnie, pomimo całego wachlarza doświadczeń, jednakowo pozytywnych, jak i negatywnych, który do dziś wiąże się z MOIM liceum! I ono jest tym drugim fundamentalnym wspomnieniem.

Dziś próbuję się mienić historykiem i wiem, że można łatwo postawić zarzut, iż to, o czym piszę, nie jest wspomnieniem dotyczącym historii szkoły, ale moim doświadczeniem tego, czym szkoła się stała dla mnie (albo mogła się stać, bo dynamizm i emocjonalność tego doświadczenia niekoniecznie musi oznaczać jego pełną aktualizację, ale to chyba temat na inną okazję). Niejednokrotnie już zweryfikowałem, iż ciesząc się wyjątkowo dobrą pamięcią długotrwałą, bo ta na krótką metę to katastrofa niestety, nieraz zapamiętałem wydarzenia inaczej niż były w rzeczywistości. Niemniej, dziś mamy wyjątkową jak na rozliczne momenty w przeszłości, tendencję do zachowywania



naprawdę istotnych aktów i dyplomów, tak iż jeśli pragniemy zweryfikować podstawowe fakty historyczne, na pewno lepiej udać się do archiwum. Ja tymczasem właśnie chcę mówić o doświadczeniu szkoły, czymś tak efemerycznym i nieciąglym, że od czasu mojego przeżywania szkoły jako ucznia mogło zmienić się już niewątpliwie wiele razy... Dość powiedzieć, iż 13 lat temu, kiedy po zakończonych studiach filozoficzno-teologicznych trafiłem do szkoły, siedem lat po maturze, z przerażeniem odkryłem, iż nie ma ona już za wiele wspólnego z etosem, jakim jeszcze ja żyłem. Nawet sytuacje wcześniej uznawane za jednoznacznie patologiczne i jednostkowe, mogły się wydarzyć każdego dnia i każdemu, nawet uchodzącemu za dobrego ucznia...

To jest podstawowe założenie historii – świat, który próbujemy zrozumieć, rzeczywistość, którą badamy i odkrywamy, różni się od tej, jaka jest dziś. I zaraz za nim idzie drugie, pewnie jeszcze istotniejsze – jestem głęboko świadomy, że wielu moich kolegów, uczęszczających do szkoły w tym samym czasie, może mieć jej zupełnie inne doświadczenie. I rzeczywiście, spotykając nieraz kolegów i koleżanki, wspominając chociażby nauczycieli, zazwyczaj różnimy się w ocenie ich z dystansu lat, zwłaszcza jeśli materia przez nich przekazywana miała różne znaczenie w życiu każdego z nas. Podzielenie się tym doświadczeniem może dać w ograniczonym stopniu szansę spotkania ucznia z tamtych lat, zrozumieć, kim można się było stać, będąc uczniem w tamtym czasie. Historia ma zawsze swój ciąg dalszy w teraźniejszości, który zwykle bywa odzwierciedlony w naszym postrzeganiu możliwej przyszłości, budując naszą osobistą świadomość historyczną. Dlatego zapewne chcielibyśmy poznać doświadczenie ucznia sprzed lat, aby dobrze zaprojektować przyszłość dzisiejszych uczniów... ale wątplię czy to jest w ogóle możliwe?

Lata 2002-2005 to już zamierzchła przeszłość, kiedy do liceum przyszli pierwsi uczniowie po gimnazjum, którego doświadczyłem wraz z moim rocznikiem. Wszystko było inaczej, przez co więc porównywaliliśmy się do poprzedników: przyszliśmy później, mieliśmy mniej czasu na wszystko, już w pierwszej klasie, nie jak dotąd w drugiej, chodziliśmy na drugą zmianę, mierząc się jednocześnie z niepewnością dotyczącą programu, na który ciągle brakowało czasu, i matury, która miała być już nowa. Jak wszyscy uczniowie trochę narzekaliśmy, mając wiele uwag do sposobu, w jaki byliśmy traktowani, jednak w myśl polskiego porzekadła, co nas nie zabiło, to nas czegoś ważnego dla ży-



cia nauczyć. Wybrałem klasę humanistyczną i w niej chciałem się uczyć języka polskiego, języka łacińskiego, historii, kontynuując j. angielski i j. niemiecki... I tu kolejne zaskoczenie – w naszej klasie o klasycznym, humanistycznym ukierunkowaniu mogły być jedynie języki: angielski i francuski. Nie mogąc tego zmienić, bo nie włączono nas w międzyklasowy system poziomowania języka (czyżby zakładając, że w tej klasie są jedynie słabsi uczniowie?) i zostało nam ogłoszone, iż tradycyjnie klasa humanistyczna uczy się francuskiego i by się go nie uczyć, należałoby zmienić klasę...

I tak, nie chcąc zmieniać profilu, zacząłem się uczyć języka francuskiego, co było dla mnie jednym z najważniejszych życiowych doświadczeń, gdyż dziś posługuję się dość dobrze francuskim, a dzięki temu dość gładko nauczyłem się języków włoskiego i hiszpańskiego. Niestety, straciłem serce dla języków germańskich, zachowuję podstawową znajomość j. niemieckiego i j. angielskiego, choć nie wyrażają one już dobrze moich myśli i nie lubię ich używać poza codzienną komunikacją i sytuacjami, w których tylko one są wspólne dla mnie i moich potencjalnych interlokutorów. Podobnie łacina poznana w liceum sprawiła, że w seminarium umierałem z nudów... albo i ze śmiechu, gdy inni studenci nie potrafili pojąć najprostszych rzeczy. Podobnie i na początku studiów w Rzymie, zdany na początek egzamin uwolnił mnie z konieczności wracania do zagadnienia - tak więc opłacała się praca w liceum i olimpiada z języka łacińskiego. Co innego historia... Wydaje mi się dziś, że - niestety - w pierwszych dwóch klasach było jej mniej niż więcej, z powodu problemów zdrowotnych nauczyciela. W ogóle do dziś nie mogę pojąć dlaczego klasa humanistyczna musiała konfrontować się z najbardziej wymagającymi nauczycielami z geografii i chemii, zaś historia przeciekała nam niejako przez palce! Ale przecież ja nie muszę wszystkiego zrozumieć, poza tym zawsze sprawujący władzę (niezależnie gdzie i na jakim poziomie!) może znaleźć wiele argumentów, że tak musiało być, a uczniów i tak nie warto pytać o zdanie.

Ja oczywiście nie czuję się tutaj przesadnie postępowy i w ogóle nie uważam, iżby uczeń czy student realnie znał się na systemie nauczania... i co do niego nie mam większych uwag. I tak w końcu oceny, wyniki, zdobyta wiedza zależała bardziej ode mnie i od mojej pracy (i po części od moich zdolności i wychowania) aniżeli od zaaplikowania takiego bądź innego sposobu nauczania. Tak na marginesie, do dziś uważam, że najlepszymi moimi nauczycielami



mi byli prof. Anna Dominiak od chemii, prof. Urszula Bochyńska od j. francuskiego i moja wychowawczyni i polonistka - prof. Katarzyna Zasadna. Myślę, że jestem im to winien, bo rzeczywiście im wiele zawdzięczam (a chociaż do chemii nigdy już nie wróciłem, lekcje z panią profesor dały mi się przekonać o moich osobistych kompetencjach) i do dziś z radością noszę wspomnienie niełatwych lekcji, który uczyły wiele, kształtowały zdolności i charakter oraz pogłębiały zainteresowania.

Nie mogę pominąć oczywiście takiego szkolnego patriotyzmu, dumy z przynależenia do szczególnej tradycji, jaką jest już nasza studwudziestopięciolatka. Pamiętam do dziś tę chlubę, którą było dla mieszkańca ziemi dębickiej mienić się uczniem Jagiełły. Tak, czuliśmy się snobami... i to nie jest ta typowa dla słusznie zdechłego systemu samokrytyka, ale krzyk poczucia, które ostatnie lata próbują, jak się zdaje, zakwestionować! Nie wiem czy każdy wie, skąd się wzięło to określenie - snob - i że akurat ma szkolny rodowód? Kiedy w XV-XVII wieku na uniwersytety (zwłaszcza angielskie) trafiał żak z bogatej mieszczańskiej bądź kupieckiej rodziny, umieszczano przy jego nazwisku określenie sine nobilitatem, co się przekłada - bez szlacheckiego pochodzenia. Tenże więc SNOB próbował dowodzić swym postępowaniem, pilnością i wynikami, że niewątpliwie dorastał do miejsca, w którym go postawiono. I w tym jakże pozytywnym sensie, myślę, że wielu uczniów czuło się w istocie snobami. Już samo przyjęcie do liceum wiele udowadniało, a jak jeszcze uczeń prostej szkoły w Nagawczynie, z której wielu uciekało do miasta jako do tej ambitniejszej... lepszej, okazywał się dostawać do poziomu tych z miejskiej, a nawet nieraz się wybijać, to nie mam żadnych wyrzutów, by nazywać siebie snobem.

To doświadczenie dla mnie jest ważne, gdyż zdaje mi się, iż dziś mocno rozpowszechnia się wśród uczniów pewne przeświadczenie, które istniało w naszych czasach, ale nie było tak wszechobecne, a dotyczące tego, że szkoła, wiedza, wykształcenie nie ma większego znaczenia. To, jak formalne czy nawet materialne wykształcenie przełoży się choćby na status społeczny czy, zwłaszcza dochody, jest pewną historyczną zmienną i nie ma co z nią dyskutować, a i każdy uczeń ma prawo na jej podstawie kształtować swój wewnętrzny stosunek do obowiązków szkolnych. Niemniej jest dla mnie wyrazem tego zdrowego snobizmu wewnętrzna duma z określonych osiągnięć życiowych, bo ona będzie również kształtować nasze przekonanie o narodowej godności



i zdolności jako społeczeństwo do zdobywania znaczenia i odgrywania historycznej roli. Możemy zawsze skazać się na bycie podrzędną cywilizacją, która wstydzi się własnej tożsamości, historii i nie widzi przyszłości jak tylko przyklejona do spódnicy, nadanej nam przez geopolitykę, wyrodnej mamki. Bez przekonania o własnej wartości nie będziemy również zdolni do równościowej integracji we wspólnocie europejskiej, zachodniej i światowej. I tego według mnie również uczy zdrowy snobizm szkolny, duma z dziedzictwa instytucji (która zawsze z natury była dość progresywna) i zdobyte doświadczenie. Bez lat spędzonych w dębickim Jagiellie pewnie na wiele spraw patrzyłbym inaczej, może uległbym totalnie naturalnym inklinacjom ku silnemu konserwatyzmowi i izolacji, a tak jestem w stanie rozwijać słuszny krytycyzm i sceptycyzm wobec gotowych recept na szczęście czy otwartość na każdego człowieka, niezależnie jak bardzo się z nim nie zgadzam.

Dojrzewanie to czas buntu i każdy z nas przeżywa go na swój własny sposób, dlatego zawsze wartościowe liceum daje szansę uczniom na ścieranie się opinii, piękne niezgadzanie się z innymi i poszukiwanie sposobu na bycie sobą w grupie indywidualistów. Liceum im. króla W. Jagiełły, jakie pamiętam, było takim właśnie miejscem. Było doświadczaniem przyjaźni, które rodziły się, było mierzeniem się ze światem, który, jak zwykle w tym wieku, jawił się jako niebezpieczny przeciwnik, pełen szans, ale i zagrożeń. W przestrzeni szkoły jednak odkrywaliśmy pewną przestrzeń nadziei, czuliśmy się do pewnego stopnia bezpieczni (nie przesadnie zaznaczam, ale jednak). Oczywiście brakowało w niej wielu rzeczy: zaplecze sportowe było o wiele uboższe niż dziś, wiele pomocy i instrumentów dydaktycznych nie mogło jeszcze być, bo albo były za drogie, albo jeszcze nie istniały... Szczerze, nawet dziś już nie jestem w stanie sobie przypomnieć, czego w tym sensie nam brakowało, ale to przestaje być już ważne, bo szkoła staje się mitem - wyidealizowaną wizją, dla jednych bardziej pozytywną, dla innych mniej, ale jednak czymś skończonym, a przez to jakoś doskonałym. Osobiście tak widzę rzeczy skończone, jako wyjątkowe i pewnie dlatego wybrałem historię jako specjalizację, bo mam tendencję do idealizowania mojego dopełnionego doświadczenia - tak dla przykładu każde kolejne święta są tylko imitacją tych minionych...

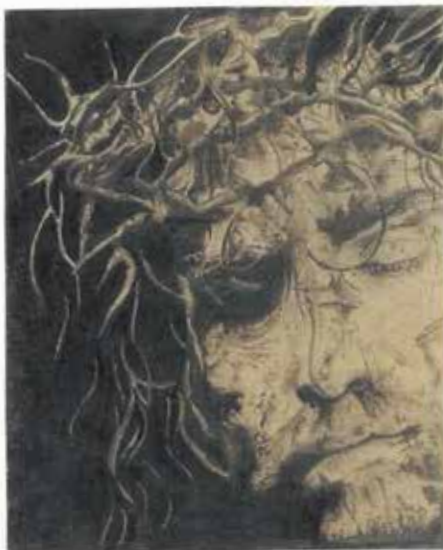
Pamięć zaciera się więc, zaczynają dominować jedynie silniejsze motywy i łatwo jest przyjmować tendencyjne oceny na podstawie tego, jak dziś jawi



się nasze doświadczenie. Za tym, co próbuję powiedzieć, niewątpliwie ukrywają się trzy długie lata pełne różnych wydarzeń, relacje z kolegami z klasy, spośród których jedne przetrwały, inne nie, profesorzy, wycieczki, współorganizowane spotkania i codzienna praca nad własnym umysłem i sercem. Szkoła (edukacja) słusznie jest instytucją, gdyż buduje świat tak w momencie jej działania w odniesieniu do jednostki, jak i wykraczając poza jej ramy w czasie i przestrzeni, konfigurując przyszłe przeżycia. Fakt uczęszczania do I Liceum Ogólnokształcącego im. króla Władysława Jagiełły w Dębicy zaciera się w serię wrażeń, fundamentalnych dla mojej osobistej tożsamości, zamykający w szereg doświadczeń brzemiennych w skutki dla przyszłego życia. Złożone we wrześniu bądź październiku 2002 r. ślubowanie brzmi niejako w pamięci, niosąc w historię zakwitłą u zarania wieku XX Ambitną Siłaczkę, która trwa dla nas uczniów jako znak niezmiennej troski o nowe pokolenia młodych dębiczan świadomych swej wielkości jako jednostek wytrwałych w pracy i otwartych na ludzi, idee i wyzwania...

Jakub Bieszczad

Rzym, październik 2024 r.



PASJA



MARTA BONAREK-SOCHA

KSIĄDZ PROFESOR ALOJZY NOSAL (1910 – 1995)

wspomnienie o absolwencie z 1928 r. i dobroczyńcy szkoły.



Marta Bonarek-Socha



Ks. Prof. Alojzy Nosal

Ksiądz profesor po latach odwiedził rodzinne miasto w 1989 roku. Był już w podeszłym wieku (miał 79 lat), lecz jego szczupła, wyprostowana sylwetka, uśmiechnięta twarz i bystre, ciemne oczy świadczyły o niebywalej żywotności. Swoją energię ksiądz zawdzięczał zapewne dużej aktywności intelektualnej – nawet będąc na emeryturze wciąż pisał artykuły i rozprawy naukowe, prowadził korespondencję, sporo czytał. Jego polszczyzna była nienaganna, choć pół wieku przebywał za granicą, gdzie posługiwał się głównie językiem francuskim i angielskim. Ksiądz Nosal był wykładowcą uniwersyteckim i najlepiej – jak sam mówił – czuł się w szkole.

Jego życie – droga z ubogiej chaty pod strzechą aż do uniwersytetów w Europie i Ameryce – była przykładem wytrwałego realizowania ambitnych planów wiejskiego chłopca z Wolicy. Dzieciństwo ks. Nosala było podobne do młodych lat wielu jego rówieśników. Liczna rodzina (ośmioro dzieci), utrzymująca się z pięciu morgów, mieszkała w domu z jedną izbą i kuchnią. Alojzy wcześniej stracił matkę, lecz pamiętał, że piekła przed świętami małe ciasteczka, które – wraz z braćmi – chętnie zrywał z choinki. Wspominał także, iż jako dorosły człowiek miewał sny o serniku drożdżowym, jaki piekła matka, a po wizytach w Polsce zabierał ze sobą za granicę makowiec i kołacz polski.

Ksiądz profesor był absolwentem powszechnej Szkoły Męskiej (przy ul. Cmentarnej) oraz Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy. Uczył

się bardzo dobrze, choć początkowo jego jedynymi przyborami szkolnymi były tabliczka i rysik, a potem zeszyt, w którym zapisywał notatki z języka polskiego i matematyki. Nauka nie sprawiała młodemu Alojzemu trudności. W domu uczył się przy braciach słysząc, jak powtarzają lekcje na głos. Najłatwiejsza była dla niego matematyka: „jak profesor wytłumaczył, to już się wszystko rozumiało”. W latach nauki w gimnazjum utrzymywał się z korepetycji.

Ks. Nosal mówił o sobie, że zawsze chciał coś osiągnąć, być KIMŚ. Swoje ambicje zrealizował dzięki wytrwałej pracy.

W 1933 r. ukończył seminarium duchowne w Sandomierzu, a trzy lata później otrzymał dyplom magistra teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1938 r. opuścił Polskę – jak się okazało na zawsze – i rozpoczął studia w Louvain w Belgii na Wydziale Nauk Politycznych. Wybuch wojny uniemożliwił księdzu powrót do ojczyzny. Zaangażował się w ruch oporu, dwa lata był więziony w obozie koncentracyjnym. Po uwolnieniu pracował w Paryżu jako Dziekan Duchowieństwa Polskiego i studiował na uniwersytecie w Lille, gdzie uzyskał tytuł doktora nauk społecznych. Współpracował z Polonią we Francji, żywo się zajmował pracą społeczną i uczył w Instytucie Nauk Społecznych w Paryżu. Ukończył też ekonomię porównawczą na Międzynarodowym Uniwersytecie Nauk Porównawczych w Luksemburgu.

Od 1962 r. wykładał socjologię w kolegiach uniwersyteckich w USA: w Covington, Kentucky, w Steubenville, Ohio oraz York College, Pensylwania, gdzie otrzymał tytuł profesora socjologii i demografii oraz doktora honoris causa w dziedzinie nauk humanistycznych. Ks. Nosal był stypendystą uniwersytetów w Waszyngtonie i w Athens, Georgia.

W uznaniu zasług przyznano mu tytuł „Outstanding Educator of America” (Wybitny nauczyciel amerykański).

Ksiądz profesor żył skromnie, pomagał potrzebującym. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pomnożył się jego majątek, dlate-go postanowił wspomóc kilka szkół i parafii w swoim rodzinnym mieście. To dzięki jego wsparciu na początku lat 90. XX w. LO

w Dębicy zostało wyposażone w pierwsze komputery. Był hojnym i bezinteresownym darczyńcą.

Dębica, wrzesień 2024 roku



ANNA DROPIŃSKA-GALLAS

MIECZYŚŁAW GALLAS



Anna Dropińska-Gallas

Po Gallasach pozostał w Dębicy tylko napis na tablicy pamiątkowej tamtejszego LO im. Króla Władysława Jagiełły. Upamiętnia ona absolwentów szkoły, którzy w XX wieku zginęli w obronie ojczyzny.



Tablica pamiątkowa w LO w Dębicy.

Jednym z nich był porucznik Mieczysław Gallas, urodzony w 1893 roku, syn Józefa i Ludwiki Gallasów, jednocześnie młodszy brat mojego dziadka Leona. Mieczysław połączony był wyjątkowo silnymi braterskimi więzami



ze starszymi braćmi Kazimierzem i Leonem, a najmniej z najmłodszym Zygmuntem.

Na nielicznych zachowanych fotografiach widać, że obdarzony był temperamentem i charakterem. Prawdopodobnie z tej przyczyny, zamiast uczyć się jako pozostali z liczego rodzeństwa w pobliskim tarnowskim gimnazjum, zamieszkiwał przez okres nauki u dziadków Nagawieckich w Dębicy. Nie wiadomo było, czym zasłużył na ową rodzinną ekstradycję. Młodociani ochotnicy z dębickiego gimnazjalnego oddziału Związku Strzeleckiego wyruszyli na wezwanie Piłsudskiego w marsz na Kraków. Prowadził ich kuzyn Nagawieckich – profesor Tadeusz Gawryś. Niestety, nie miał tyle szczęścia co jego podopieczni. Poległ jako pierwszy z ich grona w dniu 29 października 1914 roku, w 24 dniu walk frontowych.



Mieczysław Gallas 14 VI 1916 r.

Natomiast Mieczysław został wcielony do I Brygady Legionów, a od 1915 roku do 5. Pułku Piechoty Legionów dowodzonego przez mjr. Mieczysława Neugebauera. W 1920 roku wziął udział w kampanii wschodniej podczas wojny polsko-bolszewickiej. Długo dopisywało mu szczęście żołnierskie. Dopiero wrzesień 1920 roku położył kres jego legionowej karierze. Podporucznik Mieczysław Gallas, najmłodszy wujek mojego ojca, zginął dnia 3 września, pod koniec walk stacjonarnych pod Drują, gdy jego drużyna została zluzowana z okopów przez kolejną drużynę. Podczas krótkiego odpoczynku, na zapleczu strzeleckich rowów dopadł go zabłąkany pocisk wroga. Zmarł w ułamku sekundy (...).

Mieczysław został pośmiertnie awansowany na stopień kapitana oraz odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy. W ojcowym archiwum odnalazłam (prawdopodobnie przekazaną mu przez siostrę Mieczysława Zofię z Gallasów Kallisową) legitymację uprawniającą Mieczysława do noszenia odznaki legionowej, a podpisaną przez samego Józefa Piłsudskiego, a także odznakę pułku, w którego barwach walcząc, poległ.



Obóz wojskowy na Wołyniu.

Mieczysław został pochowany na Starym Cmentarzu w rodzinnym Tarnowie, obok najstarszej, ale młodo zmarłej siostry Karoliny.

Po Mieczysławie zostało trochę zdjęć. Był posiadaczem aparatu fotograficznego i uwiecznił dzięki temu sceny z okopów, wybuchy pocisków artyleryjskich, marsz I Brygady Legionów, wizytację pułku przez Naczelnika i generałicję, obraz narady w ziemiance, mecz piłki nożnej w Wilnie, życie w okopach i salwę honorową podczas polowego pogrzebu.



Sztab I Brygady, komendant J. Piłsudski.



Komenda I pp. Legionów Polskich, na środku pułkownik Edward Rydz-Śmigły, w tle fragment umocnień i prowizoryczna kwatera komendy.

W 2011 roku ustaliłam i odnalazłam miejsce jego pochówku. Jedyną wskazówką stało się białe-czarne zdjęcie pochodzące z lat sześćdziesiątych oraz wydobyta z pamięci informacja, że to zdjęcie przyniosła dla mojego ojca jego ciotka Zofia Kollisowa, a więc przedstawiało ono Tarnów. Jeśli Tarnów, należało szukać na tak zwanym Starym Cmentarzu. Nie było łatwo, bo od ostatniego pochówku nikt się grobowcem nie opiekował. Nie posiadał już nawet nagrobnych napisów.

Anna Gallas-Dropińska „Niezapomniani, czyli historia wielu pokoleń jednej rodziny” (fr.).

Prof. MAŁGORZATA JANICKA-SŁYSZ



Prof. M. Janicka-Słysz

KRZYSZTOF PENDERECKI I JEGO BUJNE DRZEWO MUZYKI

Popatrzmy na drzewo: ono nas uczy,
że dzieło sztuki musi być podwójnie zakorzenione
– w ziemi i w niebie.

Bez korzeni nie ostoi się żadna twórczość.
Krzysztof Penderecki (1995)

Twórca Pasji według św. Łukasza to jedna z najwybitniejszych postaci wysokiej kultury muzycznej drugiej połowy XX i pierwszych dwóch dekad XXI wieku. Jego utwory – od tych radykalnie sonorystycznych, w których zaproponował nowe rodzaje brzmień i nowatorskie sposoby zapisu muzyki – poprzez opery, koncerty instrumentalne i symfonie – po utwory kameralne, w których realizował ideę *claritas* – zmieniały oblicze muzyki światowej. Był kompozytorem, dyrygentem, pedagogiem i przede wszystkim – humanistą; laureatem 146. nagród i wyróżnień, doktorem honoris causa 39. uczelni, rektorem Akademii Muzycznej w Krakowie (1972-1987) i jej profesorem, twórcą i patronem Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego oraz unikatowego arboretum – w Lusławicach. Zawsze szukam nadrzędnej formy ekspresji. Brzmienie jest tylko środkiem wyrazu – powtarzał.

ZASKAKIWANIE I BUNT

Penderecki całe życie twórczo zaskakiwał: w jego postawę wpisany został bunt – najpierw przeciwko tradycji, później – przeciwko awangardzie, kiedy, jak sam wyznał, zaczął otwierać drzwi za sobą, spoglądając w stronę romanizmu. W czasach PRL-u podejmował tematy związane ze sferą *sacrum* – źle wówczas u władzy obecne. Miał odwagę bycia sobą – na przekór wszystkim i wszystkiemu. W latach 60., 70. i 80. XX wieku autora *Trenu* – Ofiarom Hi-



roszimy uważano na zachodzie Europy za najbardziej wolnościowego kompozytora zza żelaznej kurtyny. Podkreślano, iż to najbardziej – od czasów Fryderyka Chopina – twórca „polityczny”, który w dźwiękach komponuje wolną Polskę. Kiedy w jego monumentalnym *Te Deum*, w roku 1980, chór śpiewał „Boże, coś Polskę” z frazą „Ojczyznę wolną, racz nam wrócić, Panie”, muzykę odbierano jako manifest wolności i wyraz tożsamości narodowej.

KORZENIE W DĘBICY

Refrenicznie podkreślał, że urodził się w Dębicy – małym miasteczku na południu Polski, które ukształtowało go jako muzyka, a w młodości, chcąc zostać wirtuozem, grał na skrzypcach. Po latach powie znacząco, że to w starym Krakowie mógł odczuć, czym jest ciągłość i jedność tradycji, widząc siebie jako wychowanka kultury śródziemnomorskiej, ale o czasach dębickich nie zapomniiał. Echa zasłyszanych w „małej ojczyźnie” śpiewów chasydów rozbrzmiewają w *Sekstecie* (zwłaszcza w partii klarnetu), a żywioł klezmerski, też rodem z Dębicy, odzywa się w *Concerto grosso*.

TWÓRCA ZAANGAŻOWANY

W twórczości kompozytorskiej Penderecki podejmował tematy wielkie i poruszające słuchacza. Włączał się, w sposób zaangażowany, w istotne sprawy świata. Wierny był zasadzie, że kompozytor nie może być obojętny na to, co dzieje się wokół niego. W *Polskim Requiem* pisał dźwiękami trudną historię swego narodu, dając świadectwo, że również współcześnie można zbudować wielką znaczącą narrację. W dniu śmierci polskiego Papieża – Jana Pawła II zaczął komponować piękną i wzruszającą *Chaconnę* na smyczki – weszła do cyklu właśnie *Polskiego Requiem*, które rozpoczął od *Lacrimosy*, skomponowanej na śmierć pomordowanych stoczniovców.

Z IDEI DIALOGU

W muzyce u Pendereckiego obecny jest dialog tradycji i nowoczesności, zachodniej racjonalności i wschodniej emocjonalności. Sztuka dźwięków była dla niego przesłaniem, kierowanym ku odbiorcy – silnymi afektami; tworzył „teatr ekspresji”. W przestrzeni ekumenizmu i kulturowej dialogiki zrodził się monumentalny dyptyk *Jutrznia*: człowiek Zachodu w goście przyjaźni



i porozumienia wychodził do człowieka Wschodu. W operze Czarna maska, wybierając do umuzycznienia dramat Gerharta Hauptmanna, posadził przy jednym stole przedstawicieli różnych wyznań, zarazem reprezentantów różnych narodowości i ras: hugenota i jansenistę, ewangelika-luteranina i katolika, Żyda i wolnomyśliciela. Kusi mnie sacrum i profanum – mawiał twórca Ubu króla.

NATURA I KULTURA

Autor VIII Symfonii „Pieśni przemijania” – dzieła o ukochanych drzewach i nieuchronności życia człowieka – uważał, że projektowanie muzycznej partytury jest jak komponowanie ogrodu. Wystarczy popatrzyć na kolorowe szkice kompozytora – konstrukty pierwszych pomysłów, ujawniające logikę z góry zaplanowanej formy. Penderecki myślał całością, procesem tworzenia napięć i konsekwentnym dążeniem do mocnych kulminacji. Dla cyklu Powiało na mnie morze snów. Pieśni zadumy i nostalgii dokonał świadomego wyboru z ponad kilkuset przestudiowanych tekstów poetyckich – w tym przypadku poetów polskich, choć przez wiele lat uważał, że język rodzimy nie jest tak melodyjny, jak na przykład niemiecki. W sercu tych Pieśni umieścił słynny passus z poematu Fortepian Szopena Cypriana Kamila Norwida: „Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie...”, utrwalaony w zbiorowej pamięci emocjonalnej.

SACRUM I DUCHOWOŚĆ

Nie sposób pominąć duchowego wymiaru muzyki Pendereckiego. Jakże ważne są jego słowa, odsłaniające fundament twórczego światopoglądu i etosu



Od lewej: Barbara Penderecka-Piotrowska (siostra K. Pendereckiego), prof. Małgorzata Janicka-Słysz.

artysty: „Moja muzyka wyrasta z korzeni głęboko chrześcijańskich, dąży do odbudowania metafizycznej przestrzeni człowieka strzaskanego przez katalizmy XX wieku”. Zaznaczał też, iż tylko homo religiosus może liczyć we współczesnym świecie targanym konfliktami – na ocalenie. I dlatego w pewnym momencie powiedział: tak, wierzę – i napisał Credo. W centrum kompozycji odzywa się cytat pieśni Któryś za nas cierpiał rany... Strategia cytacji praktykowana była przez twórcę: przywoływanie znanej muzyki w momencie węzłowym dramaturgii służy komponowaniu percepcji słuchacza i ma siłę emocjonalnego rażenia.

BYCIE W LABIRYNCIE

Znaczącą figurą myśli stała się u Pendereckiego tak chętnie przez niego powtarzana i odmieniana metafora labiryntu, złączona z ideą wędrówki i poszukiwania. Kluczowy dla autora Siedmiu bram Jerozolimy stał się sam proces błądzenia i wchodzenia w różne konteksty, a nie znalezienie wyjścia. Swoją postawą potwierdzał, że muzyka jest ważna – także, a może przede wszystkim: w sferze etosu, gdyż – jak twierdził już Arystoteles – łagodzi obyczaje, czyniąc człowieka, po prostu, lepszym. Nas też Krzysztof Penderecki zaprasza do swego muzycznego ogrodu...



ANTONI KAROL KAMIŃSKI

Rocznik maturalny 1966, to do niego należę....



Antoni Kamiński

Mieliśmy ten przywilej, że nasza matura przypadała w roku 1000-lecia Chrztu Polski...

Mury dębickiej Alma Mater opuściło wtedy ponad 120 młodych ludzi, którzy dołączyli do ponad tysiąca (wówczas) absolwentów dobrej szkoły. Taką opinię miało wówczas Liceum Ogólnokształcące w Dębicy.

Większość z nas udawała się do wyższych uczeni, aby dalej zdobywać wiedzę i „naprawiać” świat. Historia życia każdego z nas jest wyjątkowa i często stanowi istotny wkład w życie lokalnej społeczności, miasta, regionu, a czasem także Polski czy nawet innych krajów.

Jestem pewien, że gdybyśmy przeanalizowali chociażby CV absolwentów naszego LO, otrzymalibyśmy obraz wielkiego wysiłku włożonego przez każdego z nich w rozwój naszych rodzin, miasta, regionu... czy świata.

Może warto to kiedyś uczynić...

Posłużę się kilkoma przykładami absolwentów naszego LO, będą to głównie moi koledzy i koleżanki, jako dowód na to, jaki wkład wnieśli w rozwój różnych dziedzin nauki, sztuki, muzyki, edukacji, polityki, medycyny, techniki, przedsiębiorczości...

Najpierw podam przykład naszego sławnego kompozytora Maestro Krzysztofa Pendereckiego, dębiczana, który, nota bene, nie zawsze się do dębickich korzeni „przyznawał”. Maturę w dębickim LO zdawał 10 lat wcześniej niż my, a jego wychowawcą był profesor Zbigniew Fladerer, mgr praw, który był także wychowawcą mojej klasy XI b i który barwnie nam opowiadał jak młody Krzysztof Penderecki razem z grupą kolegów szkolnych maszerował deptakiem w Iwoniczu Zdroju podczas szkolnego zimowiska, grając/improvizując tam na różnych dziwnych instrumentach, najczęściej domowego użytku, np. pokrywki do garczków, tarka do prania, rondle....



Kilku kolegów z LO w Dębicy, rocznik maturalny 1966, zdobywało nagrody w olimpiadzie chemicznej, byli przygotowywani przez znakomitego profesora Piotra Rybkę, a później zrobili karierę naukową.

Wybitną osobowością w naszej klasie XI b był dr hab. Stanisław Kucharski, znakomity chemik, ale także matematyk i łacinnik, później Dziekan Wydziału Chemii Uniwersytetu w Katowicach, a także Rektor Uniwersytetu w Katowicach.

Profesor dr Waldemar Gil, profesor biologii na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie, kl. XI b 1966 r.

Stanisław Mikrut, prezes Zarządu (współzałożyciel) Fabryki Farb Śnieżka S.A. kl. XI a 1966 r.

Ks. Stanisław Składzień, b. proboszcz parafii pw. Trójcy Przenajświętszej w Mielcu, budowniczy kościoła w Mielcu, kl. XI b.

Ks. Stanisław Łukasik, proboszcz parafii Przyborów k/Szczepanowa i Dąbrówka Wiśłocka.

Ks. Władysław Domarski, proboszcz w Barcicach k. Nowego Sącza.

Dr inż. Piotr Kowalski, Politechnika Krakowska, kl. XI a 1966 r.

Dr Jerzy Galat, Politechnika Krakowska, kl. XI a 1966 r. (+ 2024).

Mgr inż. Krystyna Brożyna, architekt miasta Dębica, kl. XI d 1966 r.

Mgr Maria Kostyra, dyrektor Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Dębicy, kl. XI c 1966 r.

Mec. Janusz Mika, ceniony prawnik w Warszawie, kl. XI b 1966 r., który przejął szczególną rolę mecenasa w programie Wielka Gra, prowadzonym przez legendę TVP, Stanisławę Ryster.

Mgr Zofia Ćwik, Uniwersytet Rolniczy w Poznaniu, biblioteka kl. XI b 1966r.

Mgr inż. Roman Leski, absolwent AGH, długoletni dyrektor Kruszgeo, a potem prezes Fabryki Farb i Lakierów w Dębicy.

Niektórzy z nas w pewnym momencie dojrzałego życia poświęcili część swojej energii, wiedzy i doświadczenia dobru publicznemu. Miało to istotne znaczenie, szczególnie zważywszy, że czasy, w których przyszło nam żyć były (i są nadal) wyjątkowe dla naszego narodu, dla Polski, a także Europy i świata.

Mnie los wyznaczył bardziej przyziemną i bardziej skomplikowaną ścieżkę kariery zawodowej, politycznej i społecznej.





Dom przy ul. Głowackiego 12 w Dębicy, wybudowany przez Austriaków dla rodzin kolejarzy w okresie budowy kolei Wiedeń – Kraków – Lwów w latach 70. XIX wieku, w którym mieszkałem w latach 1953- 1970 wraz z rodzicami: Karolem i Felicją z d. Kosecka i trojką młodszego rodzeństwa: Tadeuszem (1950), Danutą (1952) i Anną (1962).

Stąd codziennie chodziłem przez 7 lat do Szkoły Podstawowej nr 1 w Dębicy, a następnie przez 4 lata, w latach 1962 – 1966, do Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy.



Na zdjęciu od lewej stoją uczniowie 7 klasy Szkoły Podstawowej nr 1 w Dębicy: Zbyszek Adamczyk, Rysiek Szlachta, Józef Pękala (starszy brat Ryszarda Pękali, długoletniego dyrektora LO w Dębicy), Zbyszek Makarewicz, Antek Kamiński, Jurek Galat (absolwent LO), Zbyszek Mądro, Bolesław Małozieć, Leszek Potyrała.

1962 rok - koniec nauki w Szkole Podstawowej nr 1 w Dębicy, do „ogólniaka” z mojej klasy poszła koleżanka Maria Kostyra i koledzy Jurek Galat (+ 2024), stojący na prawo ode mnie, Marek Mądro i Waldemar Gil.

Już jako mały chłopak, podobnie jak mój brat i siostra brałem czynny udział wraz z Mamą i Tatą w życiu Kościoła poprzez uczestniczenie w nabożeństwach majowych, czerwcowych, różańcu w październiku czy roratach w czasie adwentu. Razem z bratem Tadeuszem przez wiele lat byliśmy ministrantami i usługiwaliśmy niemal codziennie do Mszy Świętej. Będąc uczniem liceum, aktywnie uczestniczyłem w przygotowaniach Kościoła w Polsce do obchodów Millenium, to jest Tysiąclecia Chrztu Polski, które były poprze-



Na czele procesji Bożego Ciała ulicami Dębicy krzyż niesie Tadeusz Kamiński (mój brat), po jego prawej stronie Marek Bielut (kolega z liceum kl. a), po lewej stronie, Antoni Kamiński - ministranci Parafii pw. Świętej Jadwigi w Dębicy.

dzione wielką narodową nowenną. Brałem czynny udział wraz moją rodziną w nabożeństwach oraz w pielgrzymowaniu na Jasną Górę dla wyproszenia łask potrzebnych narodowi polskiemu na rozpoczynające w 1966 roku II tysiąclecie chrześcijaństwa naszej ojczyzny, która tak wiele zawdzięczała Kościołowi Katolickiemu w okresie całej swojej historii. Taka była tradycja i duch, w którym byliśmy wychowani przez naszych Rodziców.

Jako kilkunastoletni chłopak, w okresie nauki w szkole średniej, część każdych wakacji spędzałem na pięknej polskiej wsi, gdzie wraz z bratem wypoczywaliśmy, jednocześnie pracując i pomagając przy żniwach. Z radością udawałem się na Pomorze, skąd pochodziła moja

Mama Felicja z d. Kosecka urodzona w Chojnicach. Najczęściej było to w liczącym ponad 80 hektarów gospodarstwie mojego wujka Leona Ossowskiego, brata mojej babci Heleny, w Subkowach k. Tczewa, kilkanaście kilometrów na wschód od Wisły. Była to spora posiadłość z małym dworkiem, na poddaszu którego mieszkalem; z wielką stodołą, spichlerzem i dużą oborą, stojącymi w czworoboku na zewnątrz dużego dziedzińca.

Tam, w czasie kolejnych wakacji, przez kilka tygodni poznawałem piękno pomorskiej wsi i uczestniczyłem w życiu mojej rodziny, wspaniałych konwersacjach prowadzonych w czasie niedzielnego śniadania, a potem obiadu przez moją ciocię Marylę Ossowską, żonę wujka Leona, która przed II wojną światową pobierała specjalne wykształcenie w prywatnych szkołach prowadzonych przez siostry zakonne. Codziennie rano, skoro świt szedłem na pastwisko po 2 duże konie i jadąc „na oklep”, czyli bez siodła, wracałem na jednym z nich do stajni. Po dobrym

śniadaniu pomagałem w rozmaitych pracach przy żniwach. Gospodarstwo obejmowało ok. 50 ha rzepaku, 10 ha pszenicy, 5 ha jęczmienia. Czasami pomagałem paść stado ok. 50 owiec. Wieczorami czytałem bardzo interesującą mnie wówczas książkę pt. „Kształcenie charakteru” napisaną przez Daniela Ropsa, którą otrzymałem od Zbyszka, męża Oleńki, córki Maryli i Leona Ossowskich. Lekturę tej książki traktowałem jako moje prywatne rekolekcje. W niedzielę na mszę świętą jeździliśmy bryczką do kościoła w Subkowach, a potem udawaliśmy się także bryczką na objazd całego gospodarstwa, czasami wstępując na mały poczęstunek do innych gospodarzy, sąsiadów. Po zakończonych żniwach otrzymywaliśmy od wujka zapłatę i kolejne kilkanaście dni wakacji spędzaliśmy w Gdyni u innego wujka, Jana Koseckiego, brata mojego dziadka Bronisława, który był intendentem w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni. Tam, w pięknym Trójmieście, wydawaliśmy część pieniędzy zarobionych przy żniwach u wujka w Subkowach. Jako synowie kolejarza wraz z bratem korzystaliśmy z tanich przejazdów kolejką łączącą Gdynię, Sopot i Gdańsk (koszt biletu z Gdyni do Gdańska wynosił 1 zł) i zwiedzaliśmy te piękne miasta, korzystając także z bogatej oferty kulturalnej Trójmiasta, poznając port morski w Gdyni, a nawet byliśmy świadkiem początku kolejnego rejsu wielkiego pasażerskiego statku Stefan Batory, który jeszcze wtedy pływał przez Atlantyk do Nowego Jorku. Pewnego dnia wybraliśmy się do Opery Leśnej w Sopocie i udało nam się wejść na próbę generalną przed koncertem, w czasie której śpiewała również Anna German swoje legendarne Eurydyki. Pamiętam, że jak podeszła do mikrofonu to podniesiono go do góry o kilkadziesiąt centymetrów po poprzednim piosenkarzu... Pani German była bardzo wysoką osobą. Zwiedzaliśmy też katedrę w Oliwie i spacerowaliśmy po słynnym „monciaku” w Sopocie, a nawet byliśmy na koncercie Czesława Niemena i Niebiesko-Czarnych w „namiecie letnim” w pobliżu mołu. To były niezapomniane przeżycia.

Miałem też szczęście w czasie innych wakacji, poznać piękno polskiej wsi blisko wschodniej granicy Polski, 8 kilometrów na wschód od Lubaczowa w Borowej Górze, gdzie w zupełnie innej kulturze rolnej, bez kombajnów i traktorów, ale bardzo blisko natury mieszkał pan Andrzej Rudnicki, teść mojej kuzynki, w drewnianej chacie (których w latach 60. było jeszcze bardzo wiele w Polsce) z dużym piecem, na którym, jak pamiętam, spała jego córka Marysia ze Stanisławem, swoim mężem. Ze Stanisławem co wieczór odprowadzaliśmy konie na pastwisko odległe o kilka kilometrów od wsi, pomiędzy lasami, które ciągnęły się niedaleko



do granicy z Ukrainą (wówczas Związek Radziecki). Tam wśród lasów przez całe lato pasły się krowy, a nocą również konie. W drodze powrotnej Stanisław kąpał się w leśnym strumieniu.

Codziennie rano, dobrze wyspany po nocy w chłodnej izbie pod wielką pierzyną i po dobrym wiejskim śniadaniu wyjeżdżałem z gospodarzem, panem Andrzejem, na jego małe pola położone w różnych miejscach sąsiednich wsi, aby tam przez cały dzień wykonywać różne prace rolne, np. podorywkę pomiędzy zagonami gryki. W południe, gdy zadzwonił dzwon pobliskiego kościoła na Anioł Pański, pan Andrzej zatrzymywał konia i po wspólnej modlitwie zjadaliśmy wspaniałe wiejskie specjały przygotowane własnoręcznie przez panią Marysię, żonę pana Andrzeja: wiejski chleb wypiekany we własnym piecu, znakomite wiejskie masło i biały ser ze wspaniałą śmietaną.

To był wspaniały POLSKI lunch!!! w otoczeniu przepięknej przyrody, łąnów zbóż i śpiewu ptaków.

Do dzisiaj pamiętam zapach tamtych pól i smak naprawdę zdrowego polskiego jadła.

Po letniej przerwie, spędzonej na polskiej pięknej wsi, wypoczęty i naładowany nową energią wracałem do mojego domu i liceum w Dębicy... Czerpałem tę energię całymi garściami w czasie wakacji w rodzinnych stronach, podziwiając piękno naszej Ojczyzny. Zachęcał mnie do tego profesor liceum pan Zdzisław Czerny oraz oczywiście mój kochany Tata Karol Kamiński, który jako pierwszy zaszczerpił we mnie miłość do Polski, naszej Ojczyzny o wspaniałej historii i bogatej w różnorodne krainy: od morza, jezior, poprzez równiny, pogórza aż po Sudety, Karpaty i Tatry. Pokazywał nam to piękno, zawożąc do różnych miejsc Polski: na Wawel i kopiec Kościuszki w Krakowie, na Kasprowy Wierch w Tatrach i na wczasy kolejowe (w wagonach) nad pięknym polskim Bałtykiem. Odwiedzaliśmy też z rodzicami Czarną Madonnę na Jasnej Górze i Międzynarodowe Targi w Poznaniu, gdzie mieszkał kolejny brat naszej babci, wujek Antoni Ossowski z rodziną.

Profesor Zdzisław Czerny, uczący nas geografii w liceum wzbogacał naszą wiedzę i pokazywał nam licznymi przykładami bogactwo przyrody naszej ojczyzny: piękne lasy, pola i łąki oraz rzeki, nad którymi ulokowały się wspaniałe polskie miasta z zamkami i tysiącami kościołów, potwierdzającymi naszą przynależność do chrześcijańskiej kultury Europy.

Wychowany w rodzinie religijnej, miałem pełną świadomość, że rok mojej ma-



tury 1966, był wyjątkowy historycznie – 1000 lat od powstania państwa polskiego, a jednocześnie 1000 lat od przyjęcia przez Mieszka I chrztu świętego potwierdzonego małżeństwem z Dobrawą, córką króla Czech, który już wcześniej przyjął wiarę Kościoła rzymskokatolickiego.

Jeśli dobrze pamiętam, jeden z trzech tematów matury w 1966 roku z języka polskiego związany był z 1000-leciem państwa polskiego (niestety nie chrześcijaństwem...).

Klasę XI b, do której uczęszczałem, wyróżniał między innymi fakt, który ujawnił się dopiero po maturze. Otóż pięcioro uczniów z jednej klasy udało się do seminariów duchownych i zakonu. W czasie nauki w szkole, jedynym „podejrzanym” o stan duchowny byłem ja i nawet, jak pamiętam, miałem na ten temat „ostrzegawczą rozmowę” z ówczesnym dyrektorem, panem Edmundem Galasem. Stało się jednak inaczej. Nie ja, ale 4 innych kolegów i 1 koleżanka z klasy podjęło taką decyzję, a część pełniła ważne funkcje w Kościele, o czym wspomniałem wcześniej. Ks. Stanisław Składzień był jednym z 2926 alumnów seminarium, którzy w latach 1955-1980 odbywali zasadniczą służbę wojskową. Natomiast Janina Pociąg i Józef Czekanski, także absolwenci kl. XI b, rocznik 1966, przyjęli święcenia zakonne.

Dyrektor Edmund Galas znany był ze swoich świeckich i antykościelnych poglądów i nie zawsze kończyło się na rozmowie ostrzegawczej, jak w moim przypadku. Mój brat, Tadeusz Kamiński, został usunięty/wyrzucony z LO w Dębicy przez dyrektora Edmunda Galasa za swoją postawę religijną w szkole. Któregoś dnia Tadeusz Kamiński napisał na tablicy w swojej klasie, że „religia będzie o godzinie ... w sali katechetycznej przy kościele Świętej Jadwigi”.

W tamtych latach nauka religii odbywała się w salach katechetycznych poza budynkiem szkoły, a zmiany podziału godziny w szkole wymagały korekt dotyczących czasu lekcji religii. Tadeusz Kamiński jako wiceprzewodniczący klasy był odpowiedzialny za informowanie koleżanek i kolegów o zmianach dot. czasu lekcji z religii. Przewodniczącą tej samej klasy była Grażyna Galas, córka pana dyrektora E. Galasa. Dyrektor, po tym zdarzeniu, najpierw wezwał Tadeusza Kamińskiego na specjalną rozmowę, a następnie wezwał naszego ojca Karola Kamińskiego i oznajmił mu, że syn będzie za karę usunięty ze szkoły. Ten incydent miał miejsce w roku szkolnym 1964/65 w czasie, gdy mój młodszy brat był uczniem klasy ósmej w LO w Dębicy.



Ojciec nie miał wyboru i po zakończeniu przez Tadeusza klasy VIII, zapisał go do klasy IX do LO w Bochni, a potem do LO w Pilźnie (bliżej domu). Tam Tadeusz zdał maturę w roku 1968, a następnie wybrał Seminarium Duchowne w Gdańsku Oliwie. W roku 1991 został wybrany senatorem RP i jak dotąd był jedynym dębiczaninem, który piastował ten zaszczytny urząd publiczny.

Powracając do szkolnych wspomnień, nie pamiętam też, aby temat 1000-lecia przyjęcia chrztu przez Polskę w 966 roku był w jakikolwiek sposób wspominany przez nauczyciela historii, którym był ówczesny dyrektor szkoły pan Edmund Galas. Jego lekcje historii, zapewne zgodnie z ówczesną podstawą programową i wytycznymi ministerstwa, niewiele miały wspólnego z historią Polski, a raczej były one bardzo tendencyjnymi opisami rzeczywistości społeczno-ekonomicznej z podkreśleniem wiodącej roli chłopów i robotników oraz wykorzystywaniem ich przez właścicieli ziemskich, a następnie przez kapitalistów.

Z przyjemnością natomiast wspominam lekcje geografii prowadzone przez pana Zdzisława Czernego, nauczyciela kochającego młodzież i muzykę, znakomitego organizatora wycieczek szkolnych, zarówno tych do pobliskiej Braciejowej, gdzie pan Czerny opowiadał nam o korzeniach słowiańskich (Bracia Jowa) naszych ziem czy o Państwie Wiślan, które sięgało po Wisłokę, nad którą były położone liczne grody słowiańskie.

Pan Zdzisław Czerny był również organizatorem wycieczek szkolnych, np. do Sandomierza czy w piękne polskie Tatry. Do dzisiaj pamiętam wspaniałą, barwną opowieść profesora Zdzisława Czernego w Dolinie Kościeliskiej. W czasie wycieczki szkolnej opowiadał nam o „wywierzyskach”, czyli źródłach wytryskujących do góry tuż obok szlaku do Jaskini Mroźnej i wlewających swoje wody do wspaniałego strumienia płynącego bajeczną Doliną Kościeliską. Przeszedłem ją kilkadziesiąt razy zarówno sam, jak i z moją żoną Teresą, synem Piotrem i wieloma przyjaciółmi z Polski i innych krajów. Zawsze, przechodząc obok „wywierzysk” w Dolinie Kościeliskiej, „widzę i słyszę” barwny opis tego zjawiska przedstawiany przez profesora Czernego i dzielę się tą wiedzą z moimi współtowarzyszami górskich wędrówek.

Teraz, gdy nadal, systematycznie odwiedzam te piękne tatrzańskie doliny: Chochołowską, Strążyską czy Kościeliską z nostalgią wspominam szkolną wycieczkę sprzed lat z profesorem Zdzisławem Czernym i teraz to ja opowiadam o pięknie i potędze Tatr moi mi wnukom ... Stasiowi i Franiowi.





Na zdjęciu powyżej Antoni Kamiński na Rysach – rok 1967. W tle imponujący widok Czarne Stawu, a dalej legendarne Morskie Oko w otoczeniu majestatycznych Tatr.

Pamiętam, że szczególnym wyróżnieniem dla mnie za przemierzanie tatrzańskich szlaków była Brązowa Górską Odznaką Turystyczną, którą pozyskałem w wieku bodaj 17 lat, w czasie wakacji po X klasie, zdobywając odpowiednią liczbę punktów na podniebnych szlakach Polskich Tatr (głównie wysokich) z Orlą Percią włącznie; od Zawratu, przez Kozie Wierchy, Granaty po Żółtą Turnię czy też za trasę z Kuźnic przez Zawrat, Dolinę Pięciu Stawów do Morskiego Oka, a także trasę z Kuźnic przez Kasprowy, Świnicę, Zawrat, Czarny Staw Gąsienicowy do Kuźnic z powrotem.

Czas nauki w dębickim liceum wspominam z wielkim sentymentem.

Jako (podobno) dobry polonista, często byłem angażowany, szczególnie przez panią profesor Olgę Sidorowicz, do różnych przedstawień szkolnych i recytacji w czasie akademii z okazji obowiązujących wówczas świąt państwowych, np. święta 1 Maja.

Do dziś pamiętam recytowany wówczas przeze mnie w czasie akademii szkolnej (a także miejskiej) wiersz Wł. Broniewskiego:

*„Mokrą czerwienią, wzburzoną, wydętą,
W oknie otwartym chorągiew furkoce,
W czerwone święto, w zielone święto
Dzień się roztopił w słonecznej patoce”.*

czy też podczas akademii z okazji Rewolucji Październikowej wiersz Majakowskiego „*Lewą marsz...*”.

Takie to były czasy ...

Szczególnym wydarzeniem szkolnym była wycieczka całej klasy XI b z panią profesor Olgą Sidorowicz na spektakl do Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Przedstawienie było poprzedzone odwiedzinami, wówczas ruin, dworku w Bronowicach, gdzie ongiś odbywało się słynne wesele opisane barwnie przez Stanisława Wyspiańskiego w dramacie „Wesele”.



Od lewej na dolnym zdjęciu (najlepiej widoczni) stoją: Marian Łukasik, Urszula Micuła (uśmiechnięta), Rysiek Roztoczyński, Krystyna Książek, Roman Leski, Waldemar Gil, Emilia Gazda, Urszula Kucharska, profesor LO Olga Sidorowicz, Halina Skorupa, Janina Pociask, Antoni Kamiński i Zbigniew Tuszyński, za Zbigniewem po prawej Stanisław Składzień, w tyle pomiędzy Antonim i Zbigniewem widoczna głowa Janusza Miki, nad moim prawym ramieniem twarz Staszka Nylca, najbliższej głowy pani profesor Sidorowicz, nieco w tyle widoczne twarze: Zofii Kołodziej i Janiny Saramy.

Zdjęcia powyżej to pamiątka z wycieczki do dworku w Bronowicach (wówczas nieomal ruin).

Pani profesor Sidorowicz zaprowadziła nas także do Jamy Michalika przy ulicy Floriańskiej, słynnej kawiarni krakowskiej bohemy, gdzie gromadzili się ówcześni poeci, pisarze, malarze i aktorzy Młodej Polski, a w czasie naszej wycieczki mogliśmy sami poczuć atmosferę tego magicznego i niezwykłego miejsca oraz smak herbaty, lodów i ciastek... prawie jak za dawnych lat.

Szczególnym momentem w czasie tej wycieczki był oczywiście spacer po rynku krakowskim, który piękny jak zawsze, był wtedy niestety jakby wymarły.

W tamtych czasach „głębokiej komuny”, w cudownym dzisiaj na powrót Rynku Głównym w Krakowie, działały zaledwie 4 restauracje, co w porównaniu do kilkuset restauracji istniejących w Rynku Głównym i jego sąsiedztwie aktualnie, pokazuje, jak system komunistyczny w Polsce „wyrugował” życie kulturalne Krakowa, kulturalnej stolicy Polski.



Zdjęcie grupowe naszej klasy XI b na stopniach pomnika wieszczka Adama.

Pamiętam, jak, zbliżając się pociągiem do Krakowa, z daleka widziałem wielkie kominy Nowej Huty, budowanego w latach 50. nowego wielkiego miasta bez kościoła, zaplanowanego z premedytacją przez komunistów jako centrum robotnicze, które miało stopniowo zmniejszać znaczenie Krakowa jako miasta królewskiego, miasta polskiej inteligencji i Uniwersytetu Jagiellońskiego, dawnej stolicy Polski. Ten zamiar się komunistom na szczęście nie udało, ale tak było przez ponad 30 lat czasów PRL-u, od końca II wojny światowej aż do czasu wyboru Karola Wojtyły, kardynała właśnie z Krakowa na papieża, głowę Kościoła Katolickiego, który w czasie swojego pontyfikatu odwiedził ponad sto krajów na całej ziemi, wszędzie promując swoją osobą Kraków i całą Polskę, Jego ukochaną Ojczyznę.

Dzisiaj Kraków na nowo odzyskał swój blask i znaczenie, jest jednym z najliczniej odwiedzanych miast na świecie przez gości z krajów całego świata. W roku ubiegłym Kraków odwiedziło kilkanaście milionów ludzi.



Siedzący u stóp pomnika, od lewej: Antoni Kamiński i profesor Olga Sidorowicz i stojący przy niej Janusz Miko i Zofia Korabiowska.



Spacer po rynku z panią profesor Sidorowicz w środku, po Jej lewej stronie Zbyszek Tuszyński, po prawej stronie Antoni Kamiński, w tle pomnik Adama Mickiewicza i kościół mariacki.

Pomnik Adama Mickiewicza był także wtedy jednym z symboli legendar-
nego Krakowa i tam właśnie w roku 1966 z dumą zrobiliśmy sobie pamiątko-
we zdjęcia podczas wycieczki szkolnej z panią profesor Olgą Sidorowicz.

Dwa lata później, w marcu 1968 roku, zobaczyłem ten sam pomnik „ADA-
SIA” zasypyany tysiącami kwiatów z powodu buntu studentów, najpierw na
Uniwersytecie w Warszawie, a potem także w Krakowie, związanego z wysta-
wieniem „Dziadów” Adama Mickiewicza w reżyserii Dejmka w Teatrze Naro-
dowym w Warszawie z wyraźnymi (według rządzących) aluzjami skierowa-
nymi przeciwko naszym „przyjaciołom” Moskalom.

Nawiasem mówiąc, miałem przyjemność w latach 60. (czyli w czasie na-
uki w liceum) być na spektaklu „Dziady” Mickiewicza w Teatrze Rapsodycz-
nym w Krakowie, w którym kiedyś jako aktor grał swoje teatralne role Karol
Wojtyła, wówczas student Wydziału Polonistyki na UJ w Krakowie, potem
Jan Paweł II, papież, który w czasie swojego pontyfikatu wiele razy odwiedził
Kraków, swoje ukochane miasto, które rozślawiał na cały świat.

Wtedy w marcu 1968 roku, w połowie wszystkich ulic wiodących do rynku
stały podwójne rzędy funkcjonariuszy MO i ORMÓ, legitymując przechodzą-
cych, aby żaden student nie mógł wejść na teren Rynku Głównego, gdzie znaj-
duje się pomnik naszego narodowego wieszcza Adama.

Ja wówczas byłem studentem zaocznym Wydziału Geologii Poszukiwaw-
czej na AGH w Krakowie i mogłem się wylegitymować jako pracownik, a nie
tylko jako student. Stąd też mogłem na własne oczy zobaczyć ten absolutnie
wyjątkowy obraz „ADASIA” zasypanego kwiatami.

Demonstrujący studenci zostali w pamiętnym „marcu 1968 roku” wielokrot-
nie „spalowani”, a zajęcia na wszystkich uczelniach, zarówno w Warszawie,
jak i Krakowie zostały przerwane na kilka tygodni.

Powracając do wspomnień szkolnych, pamiętam, że prywatnie pani pro-
fesor Olga Sidorowicz, często poza miłością do języka ojczystego i szeroką
wiedzą na temat literatury pięknej, przekazywała nam również wskazówki
praktyczne dotyczące codziennego życia. Za wzór stawiała nam uczniom li-
ceum, swojego męża pana Mieczysława Sidorowicza, który jak pamiętam był
wówczas Kuratorem Oświaty w Rzeszowie. Otóż pani Sidorowicz zachęcała
nas, uczniów LO, abyśmy wzorem jej męża korzystali z koszul non iron, które
były wówczas obok płaszczy ortalionowych hitem przybyłym z dalekiej wów-



czas Italii. Pani Sidorowicz mówiła do nas: „ Chłopcy! Mój Mieczyk korzysta tylko z koszul non iron. Wygląda w nich pięknie, ja nie muszę prasować jego koszul!... Biercie przykład z mojego Mieczyka!... ”.

To było rzeczywiście urocze, aczkolwiek koszula non iron była wówczas bardzo droga... i nie było nas ani naszych rodziców stać na zakup takiego luksusu...

Powracając do nauczycieli języka polskiego, na szczególną uwagę zasługuje pani profesor Irena Janda, która była autorytetem w zakresie historii literatury polskiej. Ja, wyposażony (zakupiłem w Krakowie dodatkowe podręczniki historii literatury polskiej prof. Chrzanowskiego, prof. Wyki) w szczególną wiedzę w tym zakresie, należałem wraz z kilkoma kolegami, również miłośnikami j. polskiego, do grupy nazwanej przez panią Jandę „Galerią spod pieca”. Wtedy szkoła ogrzewana była węglem i paliło się w piecach kaflowych.

Pierwszym moim nauczycielem języka polskiego w „ogólniaku” w klasie ósmej (czyli I LO) był prof. Wiktor Pietrzykowski, ówczesny dyrektor LO. Był to człowiek znakomicie zorganizowany i zapamiętałem go jako, według mnie, najlepszego pedagoga, nauczyciela o wyjątkowym poczuciu sprawiedliwości i poszanowaniu odmienności. Należał on do tych nauczycieli, u których dobrą ocenę mógł otrzymać zarówno ten, który systematycznie pracował, jak i ten, który w danym dniu był dobrze przygotowany.

Pamiętam zdarzenie, kiedy pewnego dnia do odpowiedzi poprosił koleżankę, która była, jak na owe czasy, mocno „wyzwoloną” młodą kobietą (ubiór, fryzura, zachowanie) i przez większość nauczycieli nieakceptowaną, co wyrażało się także w ocenach. Natomiast pan Pietrzykowski po sumiennym przepytaniu koleżanki dał jej wysoką pozytywną ocenę i w ten sposób jego autorytet w moich oczach (myślę, że nie tylko w moich) urósł na miarę najlepszego i sprawiedliwego pedagoga w szkole.

Ta szkoła mnie kształtowała, wskazała, co w życiu jest ważne. To ona w jakiejś części „doprowadziła” mnie do późniejszych ról w życiu.

Osobą, której chciałbym poświęcić szczególną uwagę jest mój wychowawca, profesor Zbigniew Fladerer, mgr prawa po UJ. Profesor Fladerer był również wychowawcą klasy (10 lat wcześniej), do której uczęszczał Krzysztof Penderecki, później sławny polski kompozytor.



A propos Mistrza Krzysztofa Pendereckiego... Miałem przyjemność gościć Pana Krzysztofa Pendereckiego w siedzibie miasta jako Burmistrz Miasta Dębicy.

Mistrz Krzysztof Penderecki odwiedził mnie pewnego razu w sprawie swojej mamy, która oczywiście mieszkała w Dębicy, przyjaźniła się z panią profesor Sidorowicz i razem z panią Łukasik, kierowniczką Biblioteki Miejskiej przy ul Słowackiego, tuż obok liceum, często spotykały się na porannej kawie właśnie w bibliotece, która sąsiadowała z mieszkaniem państwa Sidorowiczów. Często zapraszały do swego towarzystwa na kawę panią Weronikę Michalską, która sprzątała bibliotekę, a prywatnie była moją teściową...

Z panem Krzysztofem Pendereckim miałem także przyjemność w jednym czasie, ale różnych porach tego samego dnia, udzielać wywiadów dla Radia Kraków przy ul. Szlak w Krakowie.

Ja, jako burmistrz Dębicy, opowiadałem wówczas w Radiu Kraków o planach związanych z rozwojem miasta, a pan Krzysztof Penderecki, słynny już wówczas kompozytor, deklarował w swoim wywiadzie, że podobnie jak mistrz Tadeusz Kantor po latach wracał do swojego rodzinnego Wielopola, tak i on zamierza wracać częściej do korzeni, odwiedzając swoje rodzinne miasto Dębicę. Tak też się stało. Krzysztof Penderecki, światowej sławy kompozytor, przyjeżdżał od czasu do czasu, przynajmniej raz do roku, z całą orkiestrą i chórem do Kościoła pw. Ducha Świętego w Dębicy, dyrygując orkiestrą i chórem.

To były wspaniałe koncerty Mistrza Krzysztofa Pendereckiego w Dębicy.

Powracając do czasów szkolnych, pan prof. Zbigniew Fladerer, wychowawca klasy XI b, do której miałem przyjemność chodzić, prywatnie był mężem pani Ireny Fladerer, która uczyła mnie fizyki i chemii w Szkole Podstawowej nr 1 w Dębicy. Pani Irena Fladerer była w czasie II wojny światowej więźniem obozu hitlerowskiego i jedną z tysięcy kobiet, które zostały skrzywdzone przez bestialski system niemiecki.

Otóż, kilkanaście lat później, pewnego jesienno-go dnia w 1980 roku, już po sierpniu Solidarności, spotkałem Panią Irenę Fladerer, wówczas emerytowaną nauczycielkę, na ulicy Kolejowej w Dębicy przed smażalnią ryb, którą wówczas wraz z bratem prowadziłem z dużym powodzeniem, jako nasz pierwszy rodzinny biznes. Otóż pani Fladerer na mój widok w białym uniformie kuchara powiedziała wesoło: „Brawo chłopcy!! Nareszcie w Dębicy są POLSCY



ŻYDZI!", wyrażając w ten sposób aprobatę dla naszej przedsiębiorczości i odwagi. Z bratem Tadeuszem we wrześniu 1979 roku otworzyliśmy przy ul. Kolejowej w Dębicy w pobliżu dworca PKP i PKS smażalnię ryb, a w rok później, także przy ul. Kolejowej sklep wielobranżowy wzorowany na podobnym rodzinnym biznesie naszej rodziny w Bytomiu.

Codziennie w naszej smażalni smaczną, chrupiącą, świeżo usmażoną rybę atlantycką zjadało z apetytem od 100 do 300 klientów, którzy wracali z pracy w Dębickich Zakładach Opon Samochodowych (tak wówczas nazywała się TC Dębica, w której w tamtych czasach pracowało bez mała 7 tysięcy pracowników, którzy dojeżdżali do pracy koleją i autobusami z sąsiednich miejscowości).

Pani Irena Fladerer, znała realia jeszcze przedwojennej Polski, kiedy to w 15- tysięcznej Dębicy było około 40 małych restauracyjek czy żydowskich sklepików z przekąską i realia lat powojennych, kiedy w nieomal 50-tysięcznej Dębicy, do której do pracy dojeżdżało ponad 15 tys. pracowników, było zaledwie 3 restauracje i może trzy bary niskiej jakości. To była rzeczywistość Polski Ludowej, rządzonej przez komunistów, którzy wyeliminowali wszelkie możliwe formy spotkania się ludzi w miejscach publicznych (przez 40 lat obowiązywał zakaz zgromadzeń publicznych).

Początek lat 80. był to rzeczywiście czas kiedy coraz więcej Polaków tworzyło swoje małe „biznesy”, biorąc, jak się wtedy mówiło „sprawy w swoje ręce”.

Czas odwilży...niestety trwał krótko i zakończony stanem wojennym wprowadzanym przez reżim komunistyczny 13 grudnia 1981, który przerwał brutalnie odradzającą się oddolną gospodarność polskiego społeczeństwa, które, pomimo zakazów i nakazów organizowało się samodzielnie, tworząc liczne własne małe firmy.

Szczególne znaczenie dla odzyskania wiary w siebie miało przebudzenie się Polaków podczas I pielgrzymki Jana Pawła do Ojczyzny w 1979 roku, kiedy to polski Papież na Placu Zwycięstwa wybłągał, aby Duch Święty zstąpił i odnowił Ziemię - naszą Ojczyznę. Miliony Polaków, które spotkały się wówczas z Ojcem Świętym na Jego pielgrzymkowym szlaku w Warszawie, Gnieźnie, na Jasnej Górze i Błoniach Krakowskich oraz w Nowym Targu, poczuły jedność w modlitwie i moc w działaniu. Rok później NSZZ Solidarność w Polsce na oczach zdumionego świata powiedziała STOP komunie,





16 grudnia 1981r, audyencja generalna w auli Pawła VI na Watykanie, pierwsza publiczna audyencja Jana Pawła w czasie stanu wojennego ogłoszonego w Polsce przez reżim komunistyczny w niedzielę 13 grudnia 1981r., w czasie której bracia Antoni i Tadeusz Kamiński byli w Rzymie i mieli zaszczyt rozmawiać z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, a wcześniej uczestniczyli w wielkiej manifestacji włoskich związków zawodowych pod Colosseum w Rzymie, potępiającej stan wojenny w Polsce i wyrażający poparcie dla NSZZ Solidarność.

najpierw w Gdańsku, a potem w całej Polsce. Idea ta szybko przeniknęła do wszystkich krajów podległych Moskwie.

Niestety już 13 grudnia 1980 roku reżim PRL-u ogłosił stan wojenny, który bezpardonowo ograniczył energię i działania oddolne zmierzające do rozwoju gospodarczego Polski.

Natomiast narastająca inwigilacja „bezpieki” dotycząca bohaterskiej i „niewygodnej” dla reżimu PRL-u części społeczeństwa z terrorem włącznie, którego epicentrum było bestialskie zamordowanie księdza Jerzego Popiełuszki, 19 października 1984 r., zmusiła do opuszczenia Polski blisko milion Polaków, wśród nich byłem i ja.

13 września, 1984 roku, pomimo wielu pozytywnych okoliczności, jakie wydarzyły się w moim życiu: utworzenie własnego rodzinnego biznesu, udział pracach Komisji Apostolstwa Świeckich IV Synodu Diecezji Tarnowskiej, urodziny syna Piotra, budowa domu, opuściłem Polskę i udałem się w niezna-

ne (bez znajomości j. angielskiego) do USA. Tam w 1986 stworzyłem własną firmę budowlaną AT Construction Company, w której pracowało wielu bliskich mi dębiczan, w tym także Marian Pękala, jeden z kolegów z maturalnej klasy XI b.

Powracając z emigracji z USA, w latach 1984 – 1990, zamierzałem podzielić się swoim doświadczeniem i wiedzą pozyskaną wcześniej zarówno w kraju, jak i zagranicą z odradzającą się Ojczyzną. Zgłosiłem oficjalnie do Państwowej Komisji Wyborczej swoją gotowość bycia członkiem Parlamentu, a po dogłębnej analizie i konsultacji do Senatu RP. Jednakże otrzymałem od Państwowej Komisji Wyborczej oficjalną odpowiedź, że nie mogę kandydować ani do Sejmu, ani do Senatu z powodu przebywania poza granicami Polski ponad 5 lat. Po odwołaniu poprzedniego Zarządu Miasta, we wrześniu roku 1991 zostałem wybrany przez Radę Miasta Burmistrzem Miasta Dębica.

Jako priorytety swojej kadencji przyjąłem kontynuację budowy infrastruktury technicznej Dębicy, warunku rozwoju miasta, poprzez budowę Oczyszczalni Miejskiej wg polskiego projektu i technologii z 50% dofinansowaniem z Ministerstwa Ochrony Środowiska. Poprzedni zarząd miasta podpisał wstępną umowę na budowę nowej oczyszczalni z partnerem z Niemiec. Projekt był oparty o technologię niemiecką i wg mnie na kilkadziesiąt lat uzależniał miasto od kosztów rat kredytu dewizowego oraz komponentów koniecznych dla eksploatacji oczyszczalni dostarczanych przez zagranicznych dostawców (z Niemiec). Jako burmistrz miasta, mając swoje doświadczenie jako przedsiębiorca i dalekowzroczny gospodarz miasta, za takiego się wówczas uważałem, po uzyskaniu zgody rady miasta, zaprosiłem przedstawicieli inwestora z Niemiec i po kilkudniowych rozmowach, które prowadziłem osobiście z Niemcami w Dębicy w obecności Tadeusza Kamińskiego, ówczesnego senatora RP i przewodniczącego rady oraz radnych miejskich i liczного gremium pracowników Urzędu Miasta Dębicy, przekonałem przedstawicieli inwestora z Niemiec (pomimo wstępnie podpisanej przez poprzedni zarząd miasta umowy), że w Dębicy funkcjonują skuteczne oczyszczalnie ścieków przemysłowych oparte na polskich technologiach (wizja lokalna wraz z delegacją Niemców np. w Fabryce Farb i Lakierów) oraz że miasto posiada możliwości wykorzystania polskiej technologii, której wybór pozwoli na dofinansowanie tej inwestycji przez polski rząd o 50% (znaczące zmniejszenie kosztów).



Konkluzja była taka, że miasta Dębicy nie stać na drogą inwestycję w wykonaniu niemieckim.

Drugim, niemniej ważnym i znaczącym przedsięwzięciem dla przyszłości



Spotkanie Burmistrza Miasta Dębica (Antoni Kamiński stojący po lewej) z sześciuosobową delegacją inwestora z Niemiec (na zdjęciu po prawej) w obecności Senatora RP Tadeusza Kamińskiego (drugi od lewej), radnych miasta Dębica i naczelników Urzędu Miasta Dębicy w sprawie odstąpienia miasta od wstępnej umowy budowy oczyszczalni ścieków w oparciu o technologie i finansowanie z Niemiec.

miasta Dębicy, było w czasie mojej krótkiej kadencji jako burmistrza zdecydowane wzmocnienie infrastruktury telekomunikacyjnej i pozyskanie dla miasta i powiatu dębickiego, od ministra telekomunikacji, uprawnień operatora telefonii lokalnej, którą finalnie pozyskała Spółka Telekomunikacja Dębicka. Dzięki decyzji o przyznaniu uprawnień operatora telefonii lokalnej wzrosła liczba telefonów (do kilku tys., a oczekiwanie na nowy numer skróciło się z kilku lat do kilku tygodni). Miasto już na początku lat 90. stało się bardziej przyjazne dla szybko rozwijającej się wówczas przedsiębiorczości.

Trzecim bardzo ważnym warunkiem dobrze i sprawnie działającego miasta było zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom. Dlatego powołanie straży miejskiej (niezależnej od policji), jednej z pierwszych w Polsce, na wzór podpatrzonej przeze mnie w amerykańskich miasteczkach straży miejskiej, nastawionej głównie na zapewnienie bezpieczeństwa jego mieszkańców,

było jednym z priorytetów mojego działania jako burmistrza.

Po rezygnacji z funkcji Burmistrza Dębicy w uznaniu moich osiągnięć dla dobra publicznego i dzięki rekomendacji Pawła Łączkowskiego, wicepremiera Rządu RP, Krzysztofa Pawłowskiego, Senatora RP i Andrzeja Arendarskiego prezesa Krajowej Izby Gospodarczej zostałem przyjęty do Programu East Center European Scholarship Program, który był finansowany przez rząd USA. Po półrocznym międzynarodowym kursie zarządzanym przez Georgetown University w Waszyngtonie, zorganizowanym w Cieszynie dla 80 przedstawicieli z Polski, Czech, Słowacji i Węgier oraz zdany egzaminie z j. angielskiego zostałem skierowany na stypendium naukowe Uniwersytetu Le Moyne w Syracuse, w stanie Nowy Jork.

Powrót ze stypendium w USA w roku 1995 był punktem zwrotnym w moim życiu i karierze zawodowej.

Swoją wiedzę i doświadczenie jako przedsiębiorca, samorządowiec i jako społecznik, zdobyte zarówno w Polsce, jak w USA a także w Europie pragnąłem coraz bardziej świadomie wykorzystać dla dobra publicznego, w tym w szczególności dla tworzenia nowych przedsięwzięć edukacyjnych, których celem jest przygotowanie młodych ludzi do pracy i samodzielnego życia, poprzez dawanie im przysłowiowej „wędkę a nie rybki”.

Przez ostatnie 11 lat placówki oświatowe, które tworzę i którymi zarządzam, są skierowane do młodzieży z niepełnosprawnościami intelektualnymi, dla której po wielu latach starań otworzyłem początkiem 2025 roku Zakład Aktywności Zawodowej dla Osób Niepełnosprawnych, w którym pracę otrzymało 20 osób w tym 10 uczniów i absolwentów szkół prowadzonych przez Fundację Educare et Servire, którą powołałem w marcu 2004 roku.

Po powrocie ze stypendium w USA we wrześniu 1995 założyłem w Dębicy szkołę zawodową na wzór amerykańskiego college'u, w otwarciu której wziął udział prof. Paweł Łączkowski z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu; b. wicepremier Rządu RP oraz Poula Thidi, konsul USA w Krakowie. Formalnie jest to policealne studium zawodowe, które było częścią startującej wówczas Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, w której w latach 1998-99 byłem pełnomocnikiem rektora ds. współpracy międzynarodowej i z ramienia rektora organizatorem wizyt na uczelniach w USA, gdzie zostały podpisane umowy o współpracy pomiędzy WSIZ i kilkoma



uczelniami w USA.

W roku 2000 utworzyłem samodzielną Szkołę Nowych Technologii i Tu-



Praktyki zagraniczne dla uczniów i absolwentów ESNT i T obok dobrej kadry nauczycieli, do której dołączył także Piotr Kamiński (na zdjęciu pierwszy z prawej), absolwent zarządzania turystyką na UJ i menadżer szkoły, były mocną stroną ESNT i T i spowodowały, że ESNT i T stała się coraz mocniejszym ośrodkiem kształcenia kadr dla turystyki na Podkarpaciu.

rystyki w Dębicy, która stała się znaczącą szkołą kształcącą kadry dla turystyki i od 2004, prowadzona przez Fundację Educare et Servire przez 10 kolejnych lat realizowała program praktyk zagranicznych dla uczniów i absolwentów na Cyprze, Rodos i Majorce.

Od 2014 roku Educare et Servire Fundacja Antoniego Kamińskiego jest organem prowadzącym szkoły specjalnej dla osób z niepełnosprawnościami w stopniu lekkim i umiarkowanym.

Program szkoły specjalnej branżowej I stopnia wykorzy-

Dynamiczny rozwój ESNT i T możliwy był dzięki coraz lepszej współpracy Fundacji Educare et Servire z przedsiębiorcami zagranicznymi branży hotelowej na Cyprze, Rodos i Majorce, którzy przyjęli na siebie główne finansowanie projektu.

Na zdjęciu powyżej Antoni Kamiński wraz z zarządem sieci EDEN Hotels na Majorce, którzy wiosną 2007 odwiedzili Dębicę i Kraków. Od lewej przed siedzibą Fundacji EDUCARE et Servire stoją: Antoni Kamiński, Prezydent Fundacji i Dyrektor Szkoły, Josse Coll, menadżer senior EDEN Hotels wraz z małżonką, Jose Pujadas, Prezydent Eden Hotels wraz z małżonką, i Miguel Pujadas, architekt EDEN Hotels, syn Państwa Pujadas.





Przez 7 lat (2005 -2012)Fundacja EDUCARE et SERVIRE we współpracy z siecią hotel EDEN HOTELS i Europejską Wyższą Szkołą na Balearach organizowała na Majorce szkolenia i pracę dla około 100 młodych ludzi rocznie z Podkarpacia, w większości uczniów i absolwentów ESNT i T, którzy najpierw uczestniczyli w sześciotygodniowych szkoleniach, a potem pracowali od 2 do 7 miesięcy jako pomocnicy kucharzy, kelnerów i jako personel sprzątający. Powyżej uczestnicy Kursu Hotel Ecsuela z Polski wraz z Zarządem z trenerami Hoteli EDEN HOTELS. Z prawej strony, przy logo kursu Hotel Ecsuela, stoi mgr Paweł Kudroń, Dyrektor Programu Mallorca, reprezentujący Fundację EDUCARE, partnera tego wyjątkowego przedsięwzięcia, które bez wsparcia funduszy UE, finansowane przez Firmę EDEN HOTELS, było wzorem współpracy międzynarodowej EDUCARE et SRVIRE z przedsiębiorcą i uczelnią z zagranicy.

stuje doświadczenie w branży gastronomicznej i hotelarskiej zdobywane stopniowo przeze mnie przez ponad 45 lat, począwszy od smażalni ryb, jako pierwszego rodzinnego biznesu, poprzez pracę fizyczną w restauracji, pizzerii i backery w USA, poprzez zarządzanie praktykami zagranicznymi we współpracy z przedsiębiorcami na Cyprze i na Majorce oraz projektami szkoleniowymi realizowanym we współpracy z WUP w Rzeszowie oraz przedsiębiorcami w Polsce.

Szkoła Usług Hotelarskich, Sztuki Gotowania i Innych Zawodów jako szkoła branżowa I stopnia dla osób z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim, kształci w zawodach pracownik pomocniczy obsługi hotelowej i pracownik pomocniczy gastronomii oraz w zawodach kucharz, cukiernik i pracownik obsługi hotelowej dla uczniów w normie intelektualnej o potrzebie kształcenia specjalnego.



Europejska Szkoła Nowych Technologii i Turystyki w Dębicy w roku 2005 podpisała także współpracę z College'em Uniwersytetu Stanowego Nowy Jork w Cobleskill SUNY. Na zdjęciu powyżej od lewej stoją: Jury Nemkow, ekspert międzynarodowy j. angielskiego, mgr Elżbieta Zydroń nauczyciel ESNT i T, dr Susan Jagendorf-Sobierajski, Dyrektor Programów Międzynarodowych SUNY, Cobleskill College, Antoni Kamiński, dyrektor ESNT i T, mgr Agata Tarnawska nauczyciel j. angielskiego, Magdalena Piwowar, sekretarka ESNT i T.

Powracając do barwnych i niespodziewanych wydarzeń szkolnych w latach 60. i osoby pana profesora Fladerera nie sposób pominąć dzień, w którym dwóch kolegów z naszej klasy Paweł Barczyszyn (+) i Jacek Łatkiewicz przynieśli w plecaku na lekcję łaciny kota, który w czasie trwania zajęć wyszedł z plecaka i miaucząc, zaczął wędrować po sali wzbudzając niemałe emocje i piski dziewcząt, zwłaszcza kiedy niespodziewanie ocierał się o nogi niektórych z nich. Pani profesor Oleńska, postrach większości uczniów w szkole, nie zwracając uwagi na kota wędrującego po klasie, przepytała do końca lekcji wszystkich uczniów i uczennice, bez zmrużenia oka wymierzając większości oceny negatywne, po czym ze stoickim spokojem opuściła klasę. „Sensacyjne to wydarzenie” oczywiście szybko rozniosło się po całej szkole. Wyczyn naszych kolegów był oceniany skrajnie: począwszy od zgorszenia aż zachwyt. W tej sytuacji w wielkim napięciu czekaliśmy na lekcję wychowawczą,



Od 1 lutego 2025 Educare Et Servire Fundacja Antoniego Kamińskiego, po uzyskaniu statusu ZAZ nadanego przez Wojewodę Podkarpackiego, utworzyła Zakład Aktywności Zawodowej dla 20 pracowników z niepełnosprawnością znaczną i umiarkowaną. ZAZ Educare będzie prowadził małą restaurację i cukiernię w Dębicy przy ul. Krakowskiej 47 oraz wykonywał prace dla GRAND Chotowa w zakresie usług pralniczych, prac pomocniczych gastronomicznych oraz sprzątnięcia otoczenia hotelowego oraz sprzątnięcia pokoi hotelowych. W nowo utworzonym ZAZ Educare pracę pozyskało 10 uczniów i absolwentów szkół prowadzonych przez Fundację Educare et Servire.

aby poznać ocenę/opinię naszego wychowawcy pana profesora Fladerera, który mieszkał w tym samym bloku co pani Oleńska, w tej samej klatce i na tym samym piętrze...

Aby poznać ocenę pana profesora Fladerera nie musieliśmy czekać do godziny wychowawczej, bowiem wykorzystał „dyplomatycznie” lekcję fizyki, której również nas uczył i w czasie tej lekcji pokazał swoją ocenę i preferencje wobec Pawła Barczyszyna i Jacka Łatkiewicza, głównych sprawców „sensacyjnego” zdarzenia. Otóż na pierwszy ogień do odpowiedzi zostali poproszeni obaj: Paweł i Jacek. Okoliczności te potęgowały „wyczyn” naszych kolegów i tym bardziej postawa profesora Fladerera wobec nich wywołała nasze zdumienie i „podziw”, kiedy obaj winowajcy podczas lekcji fizyki odnieśli pełny sukces i otrzymali bardzo dobre oceny,

a w oczach naszego wychowawcy stali się bohaterami, którzy obronili honor klasy. Pan Fladerer nie krył tego, iż był dumny z ich wyczynu.

Pani Oleńska zaś była de facto znakomitą „łacinikiem” i perfekcjonistką w dydaktyce, ucząc nas języka klasycznego, języka łacińskiego, z którego podręczniki były zbiorem, antologią fragmentów znakomitych dzieł związanych ze starożytnym Rzymem, jego kulturą, historią i bohaterami. Lektura tych czytańek była prawdziwym estetycznym i filozoficznym przeżyciem, zwłaszcza dla tych z nas, którzy łacinę i starożytną historię kochali albo przynajmniej lubili. Poza wszystkim język łaciński, chociaż jest współcześnie językiem „martwym” to jednak stanowi podstawę wielu języków europejskich włącznie z językiem angielskim uważanym dzisiaj za język uniwersalny. Łacina była przez wiele wieków używana przez Rzymian, którzy, jak wiemy, panowali w znacznej części basenu Morza Śródziemnego i obowiązywał jako język wykładowy na większości uniwersytetów. Obowiązywała także przez prawie 2 tys. lat w Kościele katolickim. Dzisiaj nadal współczesna medycyna, farmacja, biologia opiera się wciąż na nazwach łacińskich.

W języku łacińskim można też przytoczyć większość pięknych aforyzmów, przysłów i mądrości Rzymian.

Jednym z nich, do którego miałem szczególną uwagę było:

„Otia post negotia. Ignavis semper ferie.”, co znaczny:

Odpoczynek (powinien być) po pracy. Ale dla leniwych zawsze są wakacje/ ferie.

Pani Oleńska miała pseudonim „tygrysica”, chyba z powodu swojej fryzury i koloru włosów. Jako „stara panna” była postrachem szkolnych par. Wystarczyło, że zobaczyła w czasie dużej przerwy spacerujących razem korytarzem z kubkami ciepłej kawy (zbożowej) koleżankę i kolegę, obydwójce stawali się przedmiotem wzmożonej presji nadgorliwej i mało tolerancyjnej nauczycielki.

Muszę jednak oddać szacunek pani Oleńskiej, że dzięki nauce łaciny poznałem wiele wartościowych i pięknych utworów i polubiłem wszystko, co wiąże się z kulturą starożytną, a potem okresem Odrodzenia/ Renesansu i wielkich odkryć geograficznych, które rozpałały moją wyobraźnię, aż do momentu, kiedy sam zacząłem odkrywać świat, najpierw Europę Wschodnią: ZSRR, Rumunię, Bułgarię i Zachodnią (pierwsze winobranie we Francji w 1979), a potem Amerykę (emigracja na ponad 5 lat od 1984 r), gdzie „okryłem”, że język angielski posia-



da bardzo dużo wyrazów z rdzeniem z wyrazów łacińskich.

Do Ameryki pojechałem bez znajomości języka angielskiego, ponieważ poza łaciną w szkole średniej uczyłem się, jak większość uczniów, języka rosyjskiego. Z perspektywy czasu uważam, że język rosyjski to także piękny słowiański język i do dziś pamiętam znane strofy Puszkina:

„Burja mgłoju niebo krojet

Wichry strasznyje krutja

To kak zwier ana zawojet

To zapłaczet kak ditja”

Uczył nas tego języka pan Józef Nowak, pseudonim „czołko”...

Chciałbym też wspomnieć także kilka słów o naszym pozalekcyjnym życiu „towarzyskim”.

Otóż wzorem znakomitego wówczas zespołu estradowego „SKRA”, którym kierował Jerzy Maślanka i który wraz z zespołem muzycznym liczył około 20 starszych od nas o około 4-6 lat koleżanek i kolegów, z dużym powodzeniem występował w różnych miastach, nasz rocznik maturalny również zorganizował swój zespół estradowy. W znacznie mniejszej skali niż „SKRA” bawił on publiczność w okolicznych wioskach, gdzie udawaliśmy się autobusem zamówionym przez poszczególne gminy, które nas zapraszały do swoich domów kultury i szkół. Dla naszego zespołu była to możliwość spotykania się razem po szkole i realizacja naszych „aktorskich” talentów, np. pisanie i opowiadanie skeczy czy śpiewanie piosenek. Ja, jak pamiętam, byłem „konferansjerem”. Była to dla nas także znakomita zabawa, zarówno w czasie prób, jak i w czasie występów, a także po tych występach, kiedy często bawiliśmy się przy wspaniałej muzyce zagranicznej, nowych wówczas, zespołów: The Beatles, The Rolling Stones, Elvis Presley czy równie wspaniałej polskiej muzyce tamtych lat i legendarnych wykonawców, jak Czesław Niemen, Piotr Szczepanik, Stan Borys czy zespoły Niebiesko-Czarni, Czerwono-Czarni, Blackout, Czerwone Gitary. Wśród członków zespołu były również pary, nasze piękne szkolne miłości, które skrzętnie ukrywane przed nauczycielami, tutaj miały swoją przestrzeń i czas. Pewnego razu, zimową porą udaliśmy się ze swoim zespołem do Jastrzębki Starej i solidne opady śniegu uniemożliwiły nam powrót do Dębicy w planowanej porze. Dopiero interwencja pana Dymińskiego, majora WP, ojca Lucyny Dymińskiej, która należała zespołu, umożliwiła nam bezpieczny powrót do domu.





Powyżej zdjęcie grupowe większości absolwentów LO im Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, którzy jubileusz 50-lecia matury 1966 rozpoczęli od wspólnego uczestniczenia we Mszy Świętej w kościele pw. Miłosierdzia Bożego w Dębicy, którą koncelebrowali ks. Józef Dobosz, proboszcz kościoła Miłosierdzia Bożego w Dębicy, ks. Stefan Wal, nauczyciel religii dla uczniów LO w latach 1962-66 i ks. Stanisław Składzień, proboszcz kościoła w Mielcu, absolwent LO, kolega z klasy XI b.



Powyżej podpisy wszystkich uczestników jubileuszowego spotkania: koleżanek i kolegów, matura 1966.





Na 50-lecie był między innymi nasz (chyba wówczas najmłodszy) nauczyciel pan Mieczysław Kogut, który uczył nas prac technicznych; na zdjęciu powyżej, pierwszy z prawej strony. Z lewej strony rozmawia ze mną Antoni Węgrzyniak, kolega z klasy XI a, z którym wraz z koleżankami Marią Kostyrą z kl. XI c i Krystyną Brożyną z kl. XI d oraz Stanisławem Mikrutem z kl. XI a (głównym sponsorem jubileuszu) tworzyliśmy Komitet Organizacyjny Zjazdu 50-lecia naszej matury, rocznik maturalny 1966.



Powyżej Antoni Kamiński, oficjalnie wita koleżanki i kolegów na 50-leciu matury 1966, które odbywało się w Restauracji LORD w Dębicy. W tle konferansjer i członek specjalnego zespołu estradowego z Krakowa, który na zaproszenie Stanisława Mikruta, kolegi z klasy XI a i prywatnie Prezesa Fabryki Farb i Lakierów Śnieżka S.A. bawił nas do „białego rana”. Stanisław Mikrut był głównym sponsorem naszego Jubileuszu.



Na koniec pragnę powrócić raz jeszcze do wspomnień szkolnych i naszego wielkiego jubileuszu 50-lecia matury 1966 – 2016.

Poniżej tekst powitania przygotowany i wygłoszony przeze mnie (na prośbę koleżanek i kolegów) przed rozpoczęciem jubileuszowego balu w Hotelu Lord w Dębicy.

„Prosiłem Boga o drzewo, dał mi las, prosiłem Boga o wodę, dał mi ocean, prosiłem Boga o przyjaciela dał mi Was...”.

To wielki zaszczyt i przyjemność zarazem móc uroczystie powitać Zacnych Profesorów i Grono Żółtych Jubilatów, czyli Was Drogie Koleżanki i Koledzy Roczniaka Maturalnego 1962 - 1966.

Czynię to z wielką satysfakcją w imieniu własnym i komitetu Organizacyjnego Zjazdu na 50-lecie naszej matury. Proszę o powstanie Marysię Kostyrę, Krysię Brożynę, Stanisława Mikruta i Tolka Węgrzyniaka, członków komitetu organizacyjnego, z którymi od ponad roku czyniliśmy systematyczne starania, aby dzisiaj móc się spotkać jeszcze raz razem i uroczystie oraz godnie świętować nasz Żółty Jubileusz egzaminu dojrzałości, tj. MATURY.

Kosztowało nas to nieco wysiłku i zaangażowania, ale dziś z pewnością mamy z tego tytułu ogromną satysfakcję. Chciałbym tutaj pokreślić serce i dar naszego kolegi Stanisława Mikruta, dzięki któremu nasze jubileuszowe spotkanie będzie szczególnie okazałe.

Z wielką atencją pragnę powitać Grono Profesorskie, które przez 4 lata (1962-1966) starało się przekazać nam wiedzę, która pozwoliła nam zdać egzamin dojrzałości. To Oni, nasi Nauczyciele i katecheci razem z naszymi Rodzicami zaszczerpili w nas wzorce postaw, z którymi 50 lat temu poszliśmy „zdobywać i zmieniać świat”:

Witam serdecznie (w imieniu własnym i nas wszystkich) Grono Profesorskie w osobach:

pani profesor Anna Gwóźdź, pan profesor Andrzej Mol, pani profesor Maria Nowak, pani profesor Czesława Ryszawa, pani profesor Eugenia Skiba, pan profesor Czesław Surowiec, pani profesor Zofia Wawraszek, pan profesor Mieczysław Kogut, ksiądz profesor Stefan Wal

Witam równie serdecznie Wszystkich Was Drodzy Maturalni Przyjaciele , koleżanki i koledzy – Żółci Jubilaci – którzy przybyliście na 50-lecie naszej MATURY





Zdjęcie z wcześniejszego zjazdu absolwentów LO matura 1966 r, przed frontonem kościoła pw. Świętej Jadwigi, na którym widoczni są także nasi profesorowie, którzy uczyli nas w latach 1962-66.

z bliska i z daleka (z różnych miejsc Polski, nawet z Meksyku).

Życzę nam Wszystkim, abyśmy dzisiaj – maturzyści sprzed 50 lat – potrafili uczynić z tego JUBILEUSZU wielkie przeżycie duchowe, wyrażone radością tego spotkania i utrwalone na zdjęciach, którymi się będziemy wymieniać wraz z okruciami wspomnień, opisów zdjęć, anegdot sprzed lat i komentarzy. Może warto „odrobić jeszcze jedno zadanie domowe” i zebrać nasze wspomnienia i zdjęcia w jedną wspólną publikację...

Jesteśmy pokoleniem lat sześćdziesiątych XX wieku – dekady należącej do młodości, ze swoją koronką, nową muzyką nazywaną big beatem, gdzie w szczególności królował rock-and-roll i twist. A także bardziej sentymentalni: Piotr Szczepanik, Czerwono-Czarni i guru naszych czasów, niezapomniany Czesław NIEMEN.



Wielu z nas ma w swoim dorobku sukcesy naukowe i zawodowe. Każdy ma swoje indywidualne sukcesy osobiste i rodzinne. Warto, żeby się podzielić naszym unikalnym doświadczeniem z kolejnymi pokoleniami Dębiczan i Polaków.

Cytując klasyka: Doskonale wiemy, że : DANE NAM BYŁO ŻYĆ W CIEKAWYCH CZASACH Pozwólcie, Kochani, że wymienię kilka z nich :

1966 – 1000-lecie Państwa Polskiego i Millenium Chrztu Polski

1967 – Niemen śpiewa „Dziwny ten świat” w Opolu

1974 – Polska wicemistrzom świata w piłce nożnej

1978 – wybór na papieża kardynała Karola Wojtyłę

1979 – 1. pielgrzymka JP II do Polski, Plac Zwycięstwa

1980 – NSZZ SOLIDARNOŚĆ , 1881-stan wojenny

1990 – Początek nowej Polski , III RP

1999 – Polska przystępuje do NATO

2004 – Polska zostaje członkiem UE - autostrady, lotniska, możliwość podróżowania, pracy i mieszkania na terenie wszystkich krajów UE

2005 – Jan Paweł II odchodzi do Pana

2016 – 1050 – lecie Chrztu Polski

Można powiedzieć za słowami piosenki Niemena, że to wszystko było i jest „Gdzieś, obok nas...”

Ale także za słowami tej samej piosenki z tamtych lat możemy powiedzieć :

„Więc chodź póki czas z życia pić każdy haust,

Czerpać je, wdychać je, poznać trud, poznać gniew,

Szczęścia smak, walki smak, bo żaden cień, żaden blask

Nie może przejść obok, obok nas.!!!”

Wielu z nas w różnych etapach naszego życia było zaangażowanych w sprawy społeczne, naukowe, rodzinne. Proponuję, abyśmy zostawili po sobie wspólnie śladw postaci, np. publikacji .

Przed nami niezwykły, JUBILEUSZOWY wieczór wspomnień ...

Antoni Kamiński, absolwent LO, kl. XI b .

Dębica, grudzień 2024 – marzec 2025 r.



ALICJA KRZAK

(matura 1979 r.)

Moja polonistka...



Alicja Krzak

Zdaniem psychologów im jesteśmy starsi, tym jaśniej i wyraźniej pamiętamy to, co działo się, gdy dopiero wkraczaliśmy w dorosłość. „Wzgórze pamięci” to pojęcie w psychologii odnoszące się do wspomnień z okresu młodości. Potrafimy przywołać obrazy, emocje, uczucia i zdarzenia z tego okresu życia, niepozabawione jednak kontekstu refleksji wynikających z życiowych doświadczeń.

Jako absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy i z zawodu nauczyciel szczególnie miło wspominam zajęcia z Panią Haliną Niziołek. Bardzo lubiłam lekcje języka polskiego. Pamiętam wyjątkową atmosferę tych zajęć prowadzonych przez naszą drobną, elegancką Polonistkę siedzącą zawsze z niebywałą gracją, w nienagannej pozycji. Mimo filigranowej postawy z łatwością panowała nad czterdziestoma licealistkami. Subtelność, delikatność, ujmująca kultura osobista, zaangażowanie i pasja nieodłącznie kojarzą mi się z panią profesorem.



Wycieczka klasowa. Klasa IV d. 1979 r.

Z odległej perspektywy czasu (45 lat po maturze) trudno określić, co jest najcenniejsze z tego, co zostało nam z lekcji języka polskiego. Z pewnością wymienić

trzeba „ogólną” znajomość literatury (w końcu to liceum ogólnokształcące), ale chyba ważniejsze było wpojenie nam „umiłowania” czytania.

Czytaliśmy bardzo dużo, lektury obowiązkowe i wykraczające poza program nauczania. Umiejętnie prowadzona analiza postaw i zachowań bohaterów literackich pozwalała nam samodzielnie odkryć, co jest istotne, co cenne, co właściwe, co dobre, a co złe. Utkwiła mi w pamięci dyskusja prowadzona podczas omawiania „A jak królem, a jak katem będziesz” i wyrażona przez panią profesor negatywna ocena „wiejskiego cwaniactwa” prowokująca do własnych przemyśleń na ten temat. Wskazywane podczas zajęć zależności między postawami ludzi a złożonością uwarunkowań społecznych wpłynęły na nasz osąd wstrząsającego zachowania chłopca z noweli „Rozdziobią nas kruki, wrony”. Dzięki pani Niziołek potrafiliśmy odczytywać przekaz literacki, dostrzegać



Wycieczka klasowa. Klasa IV d. 1979 r.

procesy społeczne. Stąd „Noce i dnie” to dla nas nie tylko „Tolibowski z nenufarami”, to przede wszystkim powieść o narodzinach inteligencji.

Na lekcjach języka polskiego odczuwało się tchnienie patriotyzmu. Dla pani profesor szczególnie ważne było przesłanie utworów poetyckich czy prozatorskich poświęconych „tym, co mają drogę do nieba otwartą za służbę Ojczyźnie”. Te zajęcia zawsze wyróżniały się autentycznymi emocjami.

Myślę, że pani profesor Halina Niziołek w szczególny sposób wpłynęła na kształtowanie naszego systemu wartości, za co jestem



Wycieczka klasowa. Klasa IV d. 1979 r.

Jej wdzieczna.

Nauczycielka skutecznie naprowadzała nas na tory samorozwoju, więc z przekonaniem czytaliśmy nie tylko to, na co zwracały uwagę opracowania i co obejmował program nauczania. Dlatego też do dziś, oprócz najbardziej znanych cytatów np. z „Trenów” Kochanowskiego typu „pełno nas, a jakoby nikogo nie było”, dzięki pani profesor przywołuję słowa matki poety: „Ludzkie przygody, ludzkie noś”. A kiedy śpiewam w kościele „Czego chcesz od nas Panie...” wciąż przypomina mi się mistrz z Czarnolasu, który jest autorem tej pieśni.

Czytanie to nie tylko książki, to również czasopisma. Sięgaliśmy więc po nie za namową pani polonistki. W zeszycie do języka polskiego cyklicznie zamieszczałyśmy krótkie streszczenia przeczytanych opracowań i artykułów z czasopism literackich. Ambitnie sięgaliśmy po „Życie Literackie” i „Literaturę”. Zachęcane byliśmy także do oglądania spektakli Teatru Telewizji. Pani profesor szczerze interesowała się tym, co czytamy oprócz (lub zamiast) obowiązkowych lektur. Kultowa była wtedy literatura iberoamerykańska, więc czytaliśmy kolorowe zbiory opowiadań regularnie ukazujące się w księgarni w rynku.

Podziwiam także panią profesor za konsekwencję w egzekwowaniu od nas pamięciowego opanowania „Koncertu Jankiela”! Czterdzieści razy na lekcjach języka polskiego słyszałyśmy, że „cymbalistów było wielu...”. Pewnie i teraz, tak z marszu, potrafiłabym wyrecytować ten fragment Mickiewiczowskiej epopei.

Psychologowie badający procesy powstawania „Wzgórza pamięci” nie wspominają nic o „Dolinach niepamięci”. Drzemią w nich pewnie wspomnienia, które ożyją w sprzyjających okolicznościach. Wiem, że te z lekcji języka polskie-

go z panią profesor Haliną Niziołek będą zawsze niepowtarzalne i budujące wiarę w sens nauczycielskiego trudu!



Studniówka. Klasa IV d. 1979 r.

Dębica, 9 maja 2024 r.

MAŁGORZATA LIPIŃSKA

(matura 1979r.)



Lidia Górską

Lidziu, droga, niezapomniana Koleżanko,

spotkałam Cię po raz pierwszy, gdy 1 września 1975 roku przekroczyłam progi Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, szkoły, która na kolejne cztery lata połączyła nas więzami koleżeństwa. Serdecznymi więzami, które przetrwały wiele lat, także po ukończeniu Szkoły.

Już w pierwszych chwilach w nowym zespole klasowym nie sposób było nie zauważyć Twojego war-kocza w kolorze ognia i brązowych oczu żywo spoglądających na świat spoza okularów. Wesole spojrzenie, którym ciekawie zerkąłeś dookoła, odzwiercie-dlało to, co Ci w duszy grało... optymizm, poczucie humoru, pogodę ducha. Każdego dnia spędzonego w murach szkoły zarażałeś nas swoim niewzru-szonym optymizmem, że będzie dobrze, że przetrwamy lekcję powtórzenio-wą z matematyki czy sprawdzian z chemii lub fizyki, choć z pewnością sama byłaś pełna obaw czy naprawdę damy radę... Patrząc z perspektywy czasu po-dziwiam Twoją umiejętność radzenia sobie z trudnymi sytuacjami, konflikta-mi. Poczuciem humoru, żartem rzuconym od niechcenia potrafiłaś rozbroić każdą „bombę”, ciężką atmosferę czy problem, jakie pojawiały się w naszych codziennych uczniowskich sytuacjach. Nie sposób nie wspomnieć o Twojej umiejętności dostrzegania w ludziach zawsze tego, co dobre. Byłaś Lidziu ko-leżanką, która daleka była od oceniania innych „kopania dołków” pod innymi, dla Ciebie najważniejszymi wartościami były lojalność, przyjaźń, wsparcie dla innych.

Nawet po ukończeniu liceum dbałaś o utrzymanie kontaktu z koleżan-kami z klasy. To Ty inicjowałaś i angażowałaś się w organizowanie naszych spotkań związanych z rocznicami zdanej matury. Znajdowałaś czas i energię,



byśmy mogli ponownie spotykać się, wymieniać wspomnieniami, dzielić się nowinkami, osiągnięciami naszego dorosłego życia.

Pamiętam, z jakim zaangażowaniem opowiadałaś o podjętej pracy w szkolnej bibliotece, o realizowanej inicjatywie tworzenia mini muzeum, kącika wspomnień z życia Liceum. Wykorzystywałaś swoje liczne kontakty, by szukać zdjęć, pamiątek i wzbogacać gromadzoną kolekcję, by utrwalać dla kolejnych roczników uczniów dawno minione czasy z życia szkoły. Przybliżać im autorytety w osobach Profesorów oraz osiągnięcia uczniów, którzy tworzyli historię tej szkoły.

A jeśli ktoś wpadł do Twojego mieszkania na pogaduchy, miał możliwość delektowania się pysznym ciastem marchewkowym... I Twoim towarzystwem...

Lidziu, „jak bardzo trzeba być mądrym, by zawsze być dobrym”, Ty właśnie taka byłaś. Jaka szkoda, że tamte chwile spędzone z Tobą są dziś zamkniętym rozdziałem i możemy Cię już tylko wspominać... Na zawsze jednak pozostaniesz w naszej pamięci - dziewczyna z ognistym warkoczem, o pięknym, dobrym sercu.

Dębica, 2 września 2024 r.



WIRGINIA LIS

„Dobre dobrego początku...” - wspomnienie

Motto:

*„Szkoło, szkoło, gdy cię wspominam,
Tęsknota w serce się wgryza,
Oczy mam pełne łez”.*

Julian Tuwim

Lata szkolne i miłe chwile mijają szybko i znikają, ale pozostają wspomnienia. Może właśnie dla tych wspomnień warto o nich pamiętać! Lektura książki Haliny Niziołek „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” opowiadającej o I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy skłoniła mnie do powrotu myślami i sercem do czasów młodości, do refleksji dotyczących moich licealnych przeżyć, a przede wszystkim do wyrażenia słów wdzięczności i szacunku dla wszystkich i wszystkiego, co stanowi o „pożytkach” wyniesionych przeze mnie z tej szkoły. Są one spore i dotyczą m. in. sfery kultury.

Na przykład dużym dobrem dla mnie był udział w jednej z uroczystości

szkolnych w gronie absolwentów. Recytowałam wówczas wiersz Juliana Tuwima „Nad Cezarem”. Wiersz był ciekawy, a zwrotki pisane po polsku przeplatały się z łacińskimi. Strofę z tego utworu zacytowałam jako motto do moich wspomnień. Pamiętam, że przed występem pan dyrektor Wiktor Pietrzykowski osobiście wysłuchał mojej recytacji, gdyż zależało mu na jak najlepszym zaprezentowaniu szkoły. Recytowałam więc z przejęciem:

*„Szkoło, szkoło, gdy cię wspominam,
Tęsknota w serce się wgryza(...)*

„Cezarze! Dum haec geruntur Magnis itineribus...”.
Występ udał się wspaniale.



Wirginia Lis (Kołodziej) w czasach licealnych.

A łacina była wówczas obowiązkowym przedmiotem nauczania. Z dobrym skutkiem robiła to pani profesor Helena Oleńska. Budziła respekt, szacunek i uznanie uczniów, zmuszała do pilnej nauki. Do dziś mam w pamięci różne łacińskie aforyzmy, złote myśli, sentencje: „Historia magistra vitae est”, „Quidquid agis prudenter agas et respice finem” czy horacjańskie „Non omnis moriar”.

I choć niekiedy bywało trudno i sypały się dwójki, to przecież kipiała w nas młodość, radość i marzenia o ikarowych lotach.

Pamiętam, że tak jak we wspomnieniach Haliny Niziołek: „gdy - rozchotani i rozgadani – wybiegliśmy po lekcjach ze szkoły, witała nas senna, niespieszna atmosfera miasta, szczególnie odczuwalna na pobliskim rynku – obmytym deszczem lub rozgrzanym słońcem, zaśniewanym lub szarym od mgły, ale przez nas ulubionym, tak jak i mała kawiarenka „U Kiciowej”...”.



Od lewej: Róża Gawleska, Hanka Wiśniewska, Wirginia Kołodziej, Danuta Lang, Wanda Lech, Maria Leśniak

„Tak bardzo chciało się żyć”.

Szkoła nasza pulsowała życiem kulturalnym, organizując wiele imprez artystycznych dla uczniów, a także dla społeczności Dębicy. Najserdeczniej zapisała się w moim sercu i pamięci Wieczornica Mickiewiczowska zorganizowana z okazji setnej rocznicy śmierci poety.

Pani profesor Irena Janda z uczniami z mojej klasy przygotowała wspaniałe przedstawienie. Wykorzystała w nim wszystkie najważniejsze utwory poety: „Konrada Wallenroda”, „Pana Tadeusza”, „Dziady”, „Ballady i romanse”. Mnie przypadła rola Karusi z ballady „Romantyczność” i Aldony z „Konrada Wallenroda”. Byłam niezwykle wzruszona, kreując te postacie i pamiętam, że zostałam nagrodzona rześzystymi brawami. Do dziś lubię recytować wygłaszane wówczas przeze mnie teksty, bo – jak w owej balladzie „Romantyczność” – „Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko”...

Tamto przedstawienie to był nasz wielki sukces klasowy. A pani profesor Irenie Jandzie za wspaniąłą działalność pozalekcyjną należy się ciepłe, pełne wdzięczności i szacunku wspomnienie. Mój sukces recytatorski powtórzyłam po 67 latach w październiku 2022 roku w czasie Narodowego Czytania. Ta ciekawa impreza odbyła się w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Dębicy i cieszyła się dużym zainteresowaniem.

Wielkim „pożytkiem” dla mnie były też koncerty muzyczne organizowane w naszym liceum przez Państwową Organizację Imprez Artystycznych „Artos”. Bywało, że po raz pierwszy mieliśmy okazję usłyszeć wspaniałe utwory, poznać kompozytorów i wykonawców. Do dziś pamiętam ognisty „Taniec z szablami” Chaczaturiana czy piękną arię Skołuby ze „Strasznego dworu” Moniuszki: „Ten zegar stary niby świat kuranty ciął jak z nut...” zaśpiewaną przez samego Bernarda Ładysza.

Po mistrzowsku wykonane utwory rozwijały w nas młodych wyobraźnię, wrażliwość, budziły uczucia i marzenia. „Bo nie wiadomo, nie wiadomo wcale, jak się wielkość, talent, powołanie w życiu rozpoczyna”. Słuchaliśmy oczarowani. Pamiętam, że potem – wypełniona tą muzyką – „wracałam zdyszana ze szkoły, a po ulicach lekkiej jesieni fruwały ze mną jasne anioły...” – takie, jak w pięknym wierszu Tuwima „Wspomnienie”.

Do „pożytków” wyniesionych z tej szkoły mogę zaliczyć mój udział w wielu akademiach, w zespole tanecznym, gdzie tańczyłam krakowiaka czy sztuce teatralnej na podstawie baśni o Kopciuszku, wystawionej w DK „Śnieżka”,

w której występowałam jako wróżka z własnym układem tanecznym.

Był to początek naszego późniejszego zauroczenia muzyką, sztuką i teatrem. Dziś możemy z dumą powiedzieć: „Z takich jak my, był Penderecki”, który w Dębicy się urodził i ukończył nasze liceum.



Od lewej: Janusz Jasiński, Zbigniew Fladerer (wychowawca), Józef Śliwa, Michał Kulinowski, Wojtek Tetiuk.



Wielu absolwentów naszej szkoły rozwija swoje zainteresowania w zespole „Igłopolanie” czy występuje w wystawianych od wielu lat w naszym mieście operach.

„Pożytki” wyniesione z mojej szkoły, np. zainteresowania muzyczne i teatralne, wykorzystałam w długoletniej pracy nauczycielskiej w Liceum Ekonomicznym w Dębicy. Muzyka, poezja, uroda świata ubarwiają przecież nasze życie. Tak pięknie to wyraził w swych „Pieśniach” mój ulubiony poeta Gałczyński:

„Garniemy się do muzyki,
Muzyka to jest nasz festyn,
Kochamy trąbki i smyki,
Obój, klarnet i klawesyn.
(...)
Dnie i noce z nami biegają,
A my z nimi ku przodowi,
W trudzie tworząc piękno, piękno,
Które znów służy trudowi...”.

Bo dębickie liceum przysposobiło mnie również do rzetelnej i dającej satysfakcję pracy („z dnia na dzień tkaninę tkamy wzorzystą dla pokolenia”), zatem mam powody, by zachować tę szkołę w żywej, serdecznej pamięci.

Niech nasza Alma Mater dalej się rozwija i trwa!
Niech będzie matką dla wszystkich swych dzieci.

Dębica, listopad 2024 r.



Prof. zw. dr hab. inż. **JANUSZ MROCZKA**, dr h.c. (mult.), czł. zw. PAN

Nie dać zapomnieć ...



Janusz Mroczka

*„Szanujmy wspomnienia,
Smakujmy ich treść
Nauczmy się je cenić
Szanujmy wspomnienia,
Bo warto coś mieć
Gdy zbliży się nasz fin de siècle”
Skaldowie 1976r.*

Już ludzie pierwotni odczuwali potrzebę zapisania tego, co działo się w ich życiu, czego doświadczali. Świadczą o tym rysunki przedstawiane na kamieniach. Potem była era rękopisów, druku, a obecnie Internetu. To sprawiło, że zapisane w różnej formie wspomnienia trafiają do najodleglejszych zakątków świata.

Życie każdego z nas to nieskończona kolekcja chwil. Chwil tych zwyczajnych i tych wyjątkowych, które zapamiętaliśmy mimo upływającego czasu.

Wspomnienia to pisana forma zbudowana na pamięci ludzkiej i sposobie postrzegania innego od nas bytu. To forma wyrazu, to specyficzny sposób ludzkiej komunikacji, w której nasze odczucia, doświadczenia podróżują w czasie, w nadziei, że dotrą do naszych wnuków, prawnuków, które sięgną po to, co my, pisząc, chcieliśmy im o nas przekazać.

W sposobie przekazu wykorzystujemy empatyczną formę współdzielenia się losem. Tą drogą pragniemy nawiązać ponadpokoleniową więź, potwierdzić podobieństwo i tożsamość. Swoim doświadczeniem (może w naiwny sposób) pragniemy uchronić młodsze pokolenia przed zagrożeniami, których my w naszym życiu doświadczaliśmy. To może nasza naiwność, że tymi wspomnieniami pragniemy stworzyć przyszłym pokoleniom świat, w którym będą w pełni podmiotem w otaczającej ich rzeczywistości.

Rzeczywistości, gdzie szacunek, współczucie, bliskość drugiego to nie



zrządzenie losu, ale rzeczywista, realna forma współdziałania, pozbawiona chciwości, egoizmu, przemocy, braku wyobraźni, szacunku do natury i drugiego człowieka.

Pisząc wspomnienia, trwamy w tym niekończącym się procesie istnienia i tworzenia makro i mikroświata. Nadbudowę tej wspólnej czasoprzestrzeni stworzyły prawa fizyki, a jej niepoliconą formę - spójność praw matematyki.

Tak zapisane fakty zachowują i uzurpują sobie prawo do dziedzictwa, odkrywania nieprawdy i mataczenia, ujawniania zakłamej historii, ale także pisania o zapomnianych ludzkich losach, ich intelektualnych osiągnięciach, wzlotach i upadkach, o naszym pięknym i szarym życiu. Wspomnienia to też środek służący do zdejmowania patyny z tych brązowych posągów ludzi zasłużonych, wyniesionych na postumenty przez ideologiczne struktury realnego komunizmu.

To wspomnienia są tą formą, która zachowuje prawa do wszelkiego dziedzictwa, do odblokowywania uwięzionego własnego „ja”, a metafora - nadbudową formy języka piszących wspomnienia.

Wspomnienia należy traktować jako fundament hermeneutyk, gdyż ukazujemy nasze otwarcie na odkrywanie i demaskowanie różnorodnych dyskursów; w tym dyskursów kierujących naszym dyskursem. To uwalnia nas od bezkrytycznego dogmatyzmu.

Dla wspominającego historyczny walor własnych wspomnień jest mało istotny. Liczy się bowiem forma, kształt, barwa i moc niegdyśszych osobistych odczuć.

Wcześniejsze wspomnienia, które napisałem w marcu 2000 roku, a które zostały zamieszczone w zbiorze pt. „I Liceum Ogólnokształcące im Króla Władysława Jagiełły w Dębicy we wspomnieniach nauczycieli i uczniów”, Ewa Nowacka, Dębica 2020 r.; ukazały się w Dolnośląskiej Bibliotece Cyfrowej (<https://dbc.wroc.pl/dlibra/publication/164233>) w styczniu 2024, roku, co sprawiło, że są dostępne w każdym zakątku świata.

Tutaj pragnę złożyć podziękowanie śp. Lidii Górskiej, - anglistce i bibliotekarce liceum, która przez wiele lat archiwizowała pisane przez byłych absolwentów „Jagiellonki” wspomnienia i Ewie Nowackiej - polonistce, która je opracowała i wydała jako zwarty, wspinały dokument, ukazujący życie szkoły w minionym stuleciu. To wspomnienia z lat 1900 – 2020. Jestem



przekonany, że po ich lekturze współczesność potwierdzi intuicję piszących, co do misji, profilu człowieka, wyzwań cywilizacyjnych. Zaprezentowane wspomnienia nie są efemerycznym fantomem w przestrzeni czasu około stu lat i miejsca, gdzie żyli, czy żyją jego autorzy, ale mają swoje korzenie w historii „Jagiellonki” i dotyczą istoty wielkości i istnienia.

W dniu 2.12.2023 roku, uczestniczyłem w spotkaniu autorskim byłej profesorki liceum Haliny Niziołek, które odbyło się w murach „Jagiellonki” w obecności władz Miasta i Powiatu Dębickiego i grona bardzo licznej grupy wychowanków autorki oraz innych roczników absolwentów. Po jego zakończeniu na zaproszenie pani dyrektor liceum Ludmiły Stelmach – Kołodziej, udałem się do restauracji „Pappas” przy ul. Batorego na uroczysty obiad w obecności autorki epopei o „Jagiellonce”, „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie” oraz wicedyrektor Agnieszki Panek i polonistki Ewy Nowackiej. Spotkanie to było bardzo mile; czułem się jak w gronie osób mi bardzo bliskich. Poproszono mnie wówczas o wspomnienia, do II tomu opracowania, z 2020r. które będzie stanowiło element obchodów zbliżającego się jubileuszu 125-lecia szkoły. Nie mogłem odmówić, ale zastanawiałem się głośno, co mam napisać? Pani Halina Niziołek, która mnie już знаła, jako doświadczona „nauczycielica” zaproponowała, aby przybliżyć moje relacje z różnymi nauczycielami, co da wgląd w uwarunkowania uczeń – nauczyciel pół wieku temu i to w bardzo trudnych czasach realnego socjalizmu.

Rozpaczam od wspomnień z 2020 roku, dokonując pewnego uszczegółowienia dwóch sentencji, które cytuję.

W większości byli to ludzie dobrze przygotowani do pracy pedagogicznej. Nie kierowali się panującą modą na określone tematy (społeczne, polityczne itp.). Osobowość moich nauczycieli harmonizowała z deontologią typową dla przedstawicieli środowisk niepodległościowych. W swojej aktywności zawodowej dawali wyraz przeświadczeniu, że zawód nauczyciela zobowiązuje ich do realizacji wzniosłych norm moralnych. Swoją pracę traktowali jako misję, którą spełniają wobec niezależności polskiej kultury. Dbałością o te ideały i stanowczością głoszonych tez, obowiązkowością, systematycznością, gorliwością, nam, jako uczniom, niewiele miejsca zostawiali na młodzieńcze wybryki. Stąd też niepodporządkowanie się temu można było odczuć w częstotliwości wywołani do tablicy. Z perspektywy lat widać, jak w moim pokoleniu ten



dydaktyzm zostawił trwały ślad i chyba spełnił swoją pozytywną rolę. Były jednostkowe przypadki, jak zresztą w każdej społeczności, gdzie nauczyciel swoją pozycję wykorzystywał do poniżania, dzielenia, hołubienia dzieci ludzi wówczas znaczących. Niezrozumiałym dla nas było zaniżanie ocen z danego przedmiotu osobom, które były w tym przedmiocie najlepsze w klasie czy porównywanie ich doskonałych opracowań z opracowaniami miernymi, ale wykonywanymi przez dzieci ludzi, o których względy zabiegano.

W różnych dyskusjach znajduję uzasadnienie, że nie wszyscy spotykani przeze mnie ludzie byli moimi przyjaciółmi. Dzisiaj mogę powiedzieć, że tak było i traktuję to zjawisko pochlebnie dla siebie, zważywszy na fakt, że było ich niewielu, a ich zachowanie w żaden sposób nie wpłynęło na moje życie. W pełni ponoszę odpowiedzialność za swe życie tego okresu, gdyż jak pomyśle, mogło potoczyć się inaczej, a przecież z perspektywy czasu wyszedłem z tego okresu z tarczą.

Pierwsze uszczegółowienie dotyczy stwierdzenia : W większości byli to ludzie dobrze przygotowani do pracy pedagogicznej. A drugie: nie wszyscy spotykani przeze mnie ludzie byli moimi przyjaciółmi.

Podczas spotkania w restauracji „Pappas” pani dyrektor zapytała mnie, czy mam świadectwo dojrzałości i czy mógłbym skan przekazać szkole. Odpowiedziałem, że jak tylko znajdę, to tak. Znalazłem, przekazałem je do szkoły i zamieszczam je w tych wspomnieniach, (fot. 1) potwierdzając to, o czym wcześniej pisałem. Dla uściślenia: dotyczy to ocen z języków. Pozostałe oceny są w miarę adekwatne do moich ówczesnych umiejętności.

Jako że w procesie nauczania tkwię od pięćdziesięciu lat jako nauczyciel akademicki, pragnę w tych moich wspomnieniach w sposób pośredni odnieść się do ówczesnych uwarunkowań procesu nauczania i wychowania.

Ludźmi rządzą namiętności. Jest ich wiele. Pragnę wspomnieć te, które w moim odczuciu i mojej interakcji: uczeń - nauczyciel mogą odgrywać istotną rolę. Są to szacunek, uwielbienie, podziw, autentyczność, strach, nienawiść itp. Jest ich wiele bo wynika to ze złożoności procesu nauczania i wychowania. Myślę, że autentyczność, strach i nienawiść mogły dominować w szkole w czasach mojego dzieciństwa, gdy byłem uczniem Szkoły Podstawowej nr 2 i później Liceum Ogólnokształcącego nr 1 im. Władysława Jagiełły w Dębicy. Aby łatwiej odnieść się do moich - bądź co bądź subiektywnych - wspomnień,





Uczęszczałem do renomowanej szkoły podstawowej, dębickiej dwójki. Była ona już w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku szkołą wiodącą w powiecie dębickim. Posiadała odpowiednio wykształconą kadre

nauczycieli, wystarczającą ilość pomieszczeń do prowadzenia zajęć z dziećmi, dobre wyposażenie w sprzęt, spory zasób najnowocześniejszych pomocy naukowych i środków dydaktycznych; ta szkoła, jako wiedząca, miała wówczas promieniować na inne, podnosząc kulturę ogółu nauczycieli i unowocześniając działalność wszystkich pozostałych. W jej siedzibie odbywały się konferencje pedagogiczne dla nauczycieli z całego powiatu. Tu organizowano również konferencje metodyczne i okresowe narady kierowników ośrodków metodycznych poszczególnych przedmiotów nauczania. W szkole tej było siedmioro nauczycieli pełniących funkcje kierowników tych ośrodków; byli to: Janina Szczeklik (biologia), Józefa Klamut (geografia), Zofia Zub (matematyka), Ludwik Tyrpin (wychowanie muzyczne), Stanisław Kozek (prace ręczne), Alfreda Masło (klasy I – IV), Mirosława Granatowicz (klasy III – IV). Solidnie uczyła w tej szkole fizyki również Emilia Garstkowa, która uczyła mnie również matematyki i która była później wicedyrektorem szkoły.

To z ich pomocą pierwsze kroki w nauce stawiałem, to oni mi jej piękno ukazali.

Jak już wielokrotnie pisałem, moją osobowość ukształtowały różne interakcje z wieloma ludźmi; od jednych czerpałem wiedzę, od innych doświadczenie życiowe czy poczucie humoru i zwyczaj dystansowania się od siebie. Dzisiaj mogę powiedzieć, że już od najmłodszych lat miałem szczęście spotykać na swojej drodze ciekawych ludzi. Oto kilku z nich. Jako uczeń Szkoły Podstawowej nr2 w Dębicy chodziłem na obiady do stołówki szpitala, gdzie spotykałem Siostry Służebniczki z Dębicy. Dziecięca ciekawość zawsze kierowała mnie do stolika, przy którym spożywały posiłek. Dyskretnie odczekałem ich czas skupienia na modlitwie, a następnie ze słowami „Szczęść Boże” przysiadłem się do nich. Po posiłku zamienialiśmy wiele słów. W pierwszym dniu spotkania gdy przedstawiłem się jako uczeń szkoły podstawowej i młodszy syn Zofii i Romana Mroczków, na ich twarzach pojawiło się zdziwienie. Gdy wróciłem do domu, mama już wiedziała, że zaczepiam Siostry w stołówce. Następnym razem podszedłem do Sióstr przepraszając, że im przeszkadzam i tłumacząc to dziecięcą ciekawością. Tak nawiązałem z nimi kontakt. Bardzo mi ta znajomość schlebiała. One (było ich dwie w identycznych białych habitach) pracowały na bloku operacyjnym. Inne pracowały na salach chorych, inne w pralni, szwalni, kuchni. Widok Sióstr zakonnych w takim



miejscu jak szpital, w moim wyobrażeniu był gwarantem prawdziwej opieki i oddania się ludziom chorym. To budowało moją wrażliwość. Z Siostrami Służebniczkami z Dębicy spotykałem się również w innych okolicznościach, kiedy już - jako młody licealista - bawiłem się z kolegami na murze odgraniczającym dom Sióstr od podwórka państwa Sęczyków. Myślę, że te zabawy nie były akceptowane przez właścicieli graniczących posesji. Ale młodość miała swoje „prawa”. W tamtym czasie dane mi było też poznać ks. Teofila Deca. Był początek lat sześćdziesiątych. Ksiądz Teofil Dec bywał wieczorami w naszym domu i przy drzwiach zamkniętych rozmawiał z moimi rodzicami. Ta konspiracja mnie - jako dziesięciolatka - bardzo intrygowała i zmuszała do podsłuchiwania przez uchylone drzwi. Leżąc na podłodzie w sąsiednim ciemnym pomieszczeniu, słyszałem tylko szczątki tych rozmów. Niestety nie pozostały w mojej pamięci.

Już jako uczeń liceum, a później kiedy jako student, odwiedzałem rodziców i chodziłem z mamą na cmentarz, spotykaliśmy ks. Teofila Deca przed domem Sióstr. Wówczas zobaczyłem bliskość, jaka łączyła mamę z tym kapłanem. On, z charakterystyczną dla siebie szlachetną wyniosłością, witał mnie serdecznym spojrzeniem, i wypowiadając zdrobniałe imię mamy, obdarowywał ją słownymi grzecznościami. Zauważyłem, że łączyła ich nie tylko relacja: nauczyciel - uczennica z dawanych licealnych czasów, ale trudne losy lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oraz dogłębna, wnikliwa znajomość faktów i realiów tamtych lat. Miałem też wrażenie, że łączy ich jakaś misja i że z czegoś, co udało się im osiągnąć, są obecnie zadowoleni, ale z wypowiadanych słów trudno mi było wywnioskować, jakie wydarzenia były przez nich omawiane.

Obecnie, mogę powiedzieć, że "historia zatoczyła koło". Kiedy wszedłem dnia 2.12 2023 r. w obecności pani dyrektor Ludmiły Stelmach - Kołodziej do auli liceum na spotkanie autorskie pani profesorki Haliny Niziołek, w środkowej części auli zobaczyłem dwie osoby duchowne (fot. 2). Kłaniając się obecnym, skierowałem się w ich stronę. Zapytałem siostrę zakonną czy jest ze zgromadzenia Sióstr Służebniczek z Dębicy. Potwierdziła zaciekawiona dlaczego o to pytam. Odpowiedziałem, że to niekontrolowany odruch, podyktowany jakąś „siłą wyższą”. Po chwili zmiętygowania dodałem, że to bliskie relacje jakie łączyły moich rodziców z dębickim Zakonem w latach ostatniej



połowy minionego stulecia, są tego przyczyną.

Po uroczystości odbyłem z siostrą dr Agnieszką Skrzypek SBDNP ciekawą rozmowę. Po powrocie do Wrocławia wysłałem jej książkę poświęconą mojej osobie, która dostępna jest w Dolnośląskiej Bibliotece Cyfrowej (<https://dbc.wroc.pl/dlibra/publication/154984>). W rewanżu otrzymałem od niej wydaną w formie książki jej pracę doktorską pt. „Służebniczki Dębickie w diecezji tarnowskiej w latach 1891-1989”, Biblioteka Dębickich Gryfów, Dębica 2016 r. z dedykacją oraz list gratulacyjny (fot. 4) po lekturze wydanej o mnie monografii. Te fakty zapoczątkowały naszą znajomość, która w formie mailowej i telefonicznej trwa do dzisiaj.

Grudniowa uroczystość w auli dębickiego liceum wzbudziła we mnie wspomnienia jubileuszu 100-lecia „Jagiellonki”. Uroczystości rozpoczęły się w piątek 16 czerwca 2000 roku, a zakończyły w niedzielę 18 czerwca 2000r. po południu. Z mojej klasy nie było nikogo; no cóż „nic dodać nic ująć”, słowem: c'est la vie. Z tego też powodu moja obecność ograniczyła się do ogólnych spotkań.

Pamiętam uroczystą akademię w Domu Kultury „Mors”. Olbrzymią salę widowiskową wypełnili absolwenci i uczestnicy zjazdu.



Moje wystąpienie w Domu Kultury „Mors”. Po mojej prawej stronie Augustyn Kowalczyk, z którym następnego dnia zapoznałem się i zaprzyjaźniłem. Po lewej Henryk Roztoczyński, którego w 1988 r. poznałem w jego klinice na północy Chicago w Stanach Zjednoczonych.



ZGROMADZENIE SIÓSTR SŁUŻEBNICZEK BOGARODZICY DZIEWICY NIEPOKALANEJ POCZĘTEJ

ul. Bojanowskiego 8-10, 39-200 DĘBICA, tel. +48 14 670 40 51, e-mail: sekretariatgeneralny@siostry.net

Dębica, 6 stycznia A.D. 2024

Szanowny Pan
prof. dr hab. inż. Janusz Mrocza
Katedra Metrologii Elektronicznej i Fotonicznej
Wydział Elektroniki, Fotoniki i Mikrosystemów
Politechnika Wrocławska

Szanowny Panie Profesorze,

z karafki napić się można, uściśnięwszy ją za szyjkę i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło.

Po otrzymaniu prezentu 10 tomu „Problemów metrologii elektronicznej i fotonicznej” i jego lekturze uklęknęłam i szczerze podziękowałam za wiele talentów, jakimi Bóg zechciał obdarzyć Pana Profesora, a także za Pana ogromną, rzetelną i uczciwą pracę, dzięki której powstały fascynujące odkrycia i wynalazki służące innym, za pracę dzięki której z pewnością niejeden zmarłychwstał.

Z szacunkiem zaś chylę czoło przed Panem Profesorem, który *zausznikiem i klientem niczym nie bywając, przyjacielem wielu i zwolennikiem umie być do końca*, bo potrafi odpowiednio dać rzeczy słowo, żyjąc w epoce, która zawsze usprawiedliwiając masę ogółu, niemiłosiernie wszystkiego chce od indywiduów. I choć wie Pan, że jest z narodu, w którym od lat blisko dwustu każda książka wychodzi za późno, a każdy czyn za wcześnie, mimo to, a może przede wszystkim właśnie dlatego, wierzy Pan iż to jedno poprawiwszy można zbawić naród.

Chylę czoło przed Człowiekiem, który czerpie swą siłę z wiary w ideały i dąży do Ideału, którego słowo – jest czynu testamentem, który daje świadectwo Prawdzie pokazując, że *heroizm nie jest w samych bitwach, ale na wszystkich polach życia i nieustannie, a oryginalność to sumienność w obliczu źródeł*.

Czynię to z głębokiego poczucia wdzięczności, sprawiedliwości i powinności wobec przeszłych i przyszłych pokoleń.

Karol i Karolina hr. Raczyńscy, którzy przed przeszło wiekiem sprowadzili służebniczki z Wielkopolski do galicyjskiej Dębicy, mieli na wstędze herbowej dewizę: *Vitam impendere vero*. Starali się rzeczywiście według niej postępować, poświęcając dla społeczności dębickiej wiele ze swoich ziemskich dóbr. Jako dębiczanie swoimi znakomitymi osiągnięciami i szlachetnością ducha pieczętuje Pan te słowa, dlatego w imieniu służebniczek dębickich dziękuję Panu, Szanowny Panie Profesorze - Honorowy Obywatelu Miasta Dębicy. *Carum est, quod rarum est*.

Z wyrazami szacunku

s. M. Agnieszka Skrzypek

s. dr M. Agnieszka Skrzypek SBDNP

List gratulacyjny od s. Agnieszki Skrzypek.



Z przodu widowni była scena, w tle której znajdowała się makieta gmachu licealnego, a przed nią stół nakryty czerwonym suknem, za którym zasiedli luminarze naszej „Jagiellonki”; w większości profesorowie wyższych uczelni. Wśród tych 15 wyróżnionych znalazłem się również ja. Prowadzący to spotkanie ówczesny dyrektor poprosił każdego o kilka słów refleksji z okresu, kiedy był uczniem.

Początek tych wystąpień był ciekawy. Każdy z mówców swoim wystąpieniem nie przekraczał czterominutowego limitu czasu. Wodzom fantazji dał się jednak ponieść mój przedmówca, który – mówiąc o swojej pracy i osiągnięciach – przekroczył wielokrotnie przydzielony czas. Tym zachowaniem zwrócił na siebie uwagę słuchających, a mnie wprowadził w osłupienie. Swoją wypowiedź wcielił się bowiem w rolę Konrada Wallenroda lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych minionego stulecia. Uczynił z siebie jakąś prawie mesjanistyczną postać! Ze zdziwieniem odebrałem tę jego wypowiedź, a postrzegana przeze mnie rzeczywistość ugięła się pod potęgą jego wyobraźni i samouwielbienia. W czasie trwania tej przeciągającej się mowy zwróciłem się do prowadzącego uroczystość z prośbą o zakończenie tych wystąpień, gdyż widać było na widowni zniecierpliwienie, znużenie i zmęczenie, a ja nie wiedziałem, o czym mógłbym w tej sytuacji mówić. Pamiętam błagalne spojrzenie prowadzącego i słowa „Niech to będą pokoleniowo młodsze wspomnienia, ale dotyczące szkoły”. Jego zatrwożonemu wzrokowi i minie uległem.

Zrobiłem to jak potrafiłem - bardzo krótko i z należytą grzecznością, ale z wrodzoną mi swadą. Dzisiaj skwitowałbym to dodatkowym cytatem Marii Czubaszek: „Nie chodzi o to, żeby być patriotą, ale o to, żeby nie być idiotą”. Na reminiscencje mojej wypowiedzi nie czekałem długo. Już wieczorem, na wieczorne wspomnień połączonym z bale, podszedł do mnie młody człowiek i przedstawiając się jako prokurator z Krosna i były absolwent liceum, który ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, rzekł: -Chcę powiedzieć - dziękuję za to, co pan powiedział po wypowiedzi swojego przedmówcy. I kontynuując dodał: - Jest pan odważny, bo nikt tak trafnie przy tak licznych audytorium by tego nie skomentował - chylę czoło!

Następnego dnia, w niedzielę, kiedy w murach liceum kontynuowane były spotkania klasowe, spotkałem Augusta Kowalczyka - aktora teatralnego i filmowego, reżysera i dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie. Podszedł



do mnie i zapytał, czy ja jestem humanistą, bo tą metaforyczną, bardzo trafną wczorajszą wypowiedzią zwróciłem na siebie uwagę całego audytorium. - Mina przedmówcy zaświadczyła o trafności pana wypowiedzianych słów – dodał. Przedstawił się informując, że jest absolwentem tutejszego liceum z roku 1944/45. Zainteresowany tym faktem, kontynuowałem rozmowę. - To pan musi znać moją mamę.

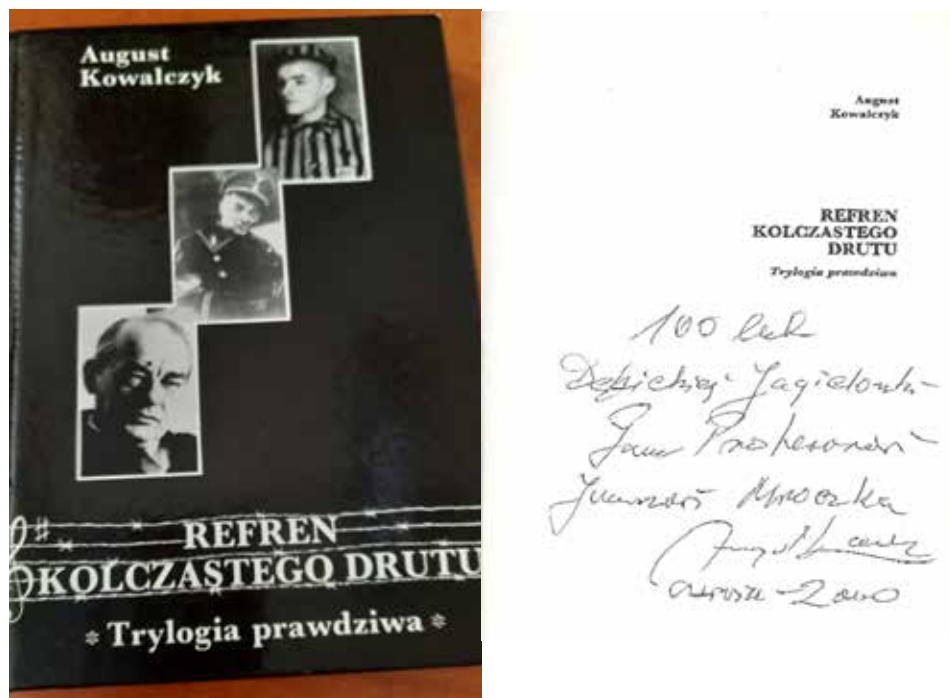
Kiedy wypowiedziałem jej imię - Zofia, on szybko dopowiedział - Łukasiewicz (jej rodowe nazwisko). A potem z jego ust usłyszałem same superlatywy o mojej mamie; o jej skromności, inteligencji, manierach. Zwrócił szczególną uwagę na jej kaligraficzne pismo, biegłą znajomość łaciny i języka niemieckiego oraz pamięciowe opanowanie licznych utworów Mickiewicza, Słowackiego czy Norwida.

Po chwili sięgnął do aktówki i wyjmując z niej książkę pt. „Refren kolczastego drutu” powiedział:- To dla pana z moją dedykacją (fot. 5), z podziwem dla wczorajszego wystąpienia. Po czym uściśnął mi dłoń i dodał: - Jest pan wierną kopią swojej matki, niemal sobowtórem, tylko dlaczego ulokował pan swoje zdolności w naukach technicznych?

To była wzruszająca rozmowa. Nie znałem treści otrzymanej, książki, która opisuje nieudaną próbę z 1940 roku przedostania się jej autora na Zachód, pobyt w niemieckich więzieniach i w obozie w Oświęcimiu oraz dramatyczną ucieczkę z tego obozu w czerwcu 1942r. Wiedziałem tylko, że August Kowalczyk jako aktor wcielał się umiejętnie, z talentem w rolę hitlerowskich oprawców, znając ich bezwzględność z autopsji. Na koniec rozmowy zapytałem czy ma jakieś wspomnienie, które przychodzi mu na myśl w takich chwilach, jak ta uroczystość w „Jagiellonce”. Chyba czekał na takie pytanie i przygotował się wcześniej, bo otworzył książkę w miejscu zaznaczonym żółtą zakładką. Był to dokument nadający mu Honorowe Obywatelstwo Gminy Bojszowy (fot. 6). Na szczególną uwagę zasługuje dopisane na tej stronie zdanie autora.

Tę książkę przekazałem pani dyrektor Ludmile Stelmach – Kołodziej we wrześniu 2023 r. Mimo osobistego sentymentu dla prezentu, który otrzymałem od sławy polskiej sceny i ekranu, uważałem, że „racja stanu” „Jagiellonki” tego wymaga.





Prezent od Augustyna Kowalczyka wraz z dedykacją.



Dyplom Honorowego
Obywatela Gminy Bojszowy
dla Augustyna Kowalczyka.

Na zakończenie wspomnień z obchodów stulecia mojego liceum „Jagiellonki” wróć jeszcze do uroczystej akademii w Domu Kultury „Mors”. Kiedy schodziłem ze sceny, podszedł do mnie dyrektor liceum Edmund Galas. Powitałem Go serdecznym spojrzeniem i słowami: panie dyrektorze!. On, skupiony, wyciągnął do mnie dłoń i zapytał: - Czy mogę z panem chwilę porozmawiać. Przystanęliśmy. Uścisk Jego dłoni był mocny, a wzrok skupiony. Po chwili powiedział: - Ja chcę pana przeprosić za tę naganę z 1968r. Przerwałem mu szybko dalszą wypowiedź słowami: - panie dyrektorze, w latach sześćdziesiątych upływającego stulecia pan był moim dyrektorem, nauczycielem, wychowawcą i do chwili obecnej nic tej relacji nie zmieniło, a upływający czas też jej nie zmieni. I chcę powiedzieć, że to ja jestem panu dyrektorowi winien przeprosiny za moje zachowanie, jakże odmienne od utartych kanonów, narzuconych przez zróżnicowane wiekowo i mentalnie grono pedagogiczne tamtych czasów.

Ogniska soczewek naszych oczu skupione były w jednym punkcie. Wzajemne wzruszenie narastało z każdą chwilą, co odczuwałem w postaci silniej, zaciskającej się, dużej, spracowanej dłoni oraz zawilgocenia gałek ocznych. Nie dałem sobie przerwać i kontynuowałem: - Musi pan dyrektor wiedzieć, że to dzięki pańskiej woli, determinacji i sprawczości ja skończyłem szkołę, zdałem maturę i dzięki temu mogłem dalej się uczyć. To, co osiągnąłem w życiu zawodowym, zawdzięczam panu i wybranej, nielicznej grupie nauczycieli, którzy chcieli i potrafili zaakceptować moje niepokorne zachowanie i moją intelektualną odrębność. Odczuwałem, że wzruszenie dyrektora Galasa osiąga apogeum, czego oznaką były łzy w kącikach jego oczu. Ten widok spowodował, że i ja nie opanowałem moich emocji i się rozpłakałem (od tamtego czasu Dom Kultury „Mors” stał się dla mnie miejscem wzruszeń; nie chcąc go określić dosadniej – „salą łez”). Pamiętam, że w tym momencie pan dyrektor objął mnie swoim ramieniem, przycisnął do siebie i powiedział - Janusz, byłeś uczniem, którego szanowałem i podziwiałem za odwagę i intelekt. To tacy jak ty olimpijczycy - a byłeś pierwszym w historii szkoły finalistą olimpiady fizycznej - tworzyli wizerunek szkoły, a to dawało mi satysfakcję w mojej, jak sam doświadczałeś, niełatwej pracy. Teraz, jako utytułowany profesor, dorosły i doświadczony nauczyciel akademicki widzisz, jak niełatwa to była praca w szkole w tamtych trudnych dla wszystkich czasach. Emocje szybko opa-

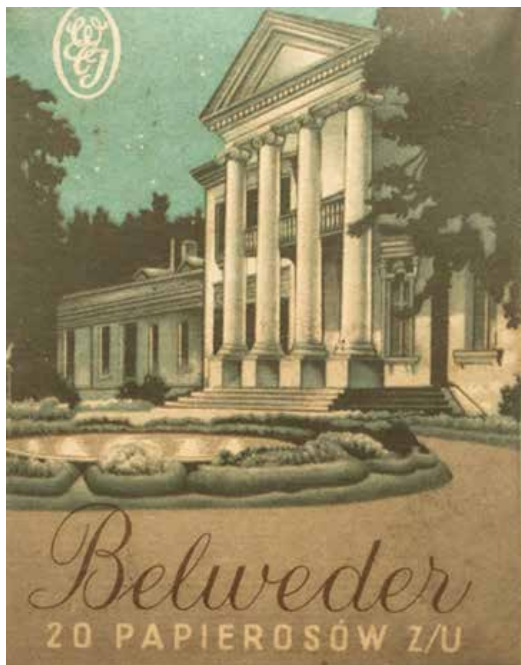


dłty i rozmowa skierowała się na inne wspomnienia, zapytania, grzeczności. Trwała długo. Dzisiaj mogę powiedzieć, że dyrektor Edmund Galas był mi bliższą osobą i że zawsze mogłem na niego liczyć. Wielu faktów, które mi opowiedział, nie znałem, wielu, które ja mu opowiedziałem, On nie znał. Wiele z nich dotyczyło relacji nauczyciel – uczeń w różnych uwarunkowaniach osobowościowo - społecznych z dużą dozą kompleksów, niespełnionych nadziei, niepowodzeń rodzinnych przenoszonych na grunt szkoły przez grono pedagogiczne. Moja osobowość, sposób wychowania, wrodzone zdolności, środowisko, w którym wyrastałem w latach szkoły podstawowej i następnie średniej, stały w opozycji do wartości, które reprezentowała część moich nauczycieli. Nie mogłem zrozumieć nawet słów, którymi się posługiwali: „wycień” (wytnij), „przycień” (przytnij), „włanczam” (włączam), „wyłanczam” (wyłączam), „poszłem” (poszedłem), „mlete”, (coś zmielone) itp. Kiedy dopytywałem się, jak to można zapisać, stawałem się wrogiem. Nauczycielka, która miała mi dawać prywatnie korepetycje z języka niemieckiego w szkole podstawowej (taka była wola mojej mamy), mimo uzgodnionych terminów i innych formalności, nigdy mnie na nich nie zobaczyła. No cóż, taki byłem. To chyba było przyczyną jej (już jako nauczycielki w liceum) ostracyzmu wobec mnie. Prawie na każdej lekcji dowiadywałem się, że z takich jak ja, wyrastają porywacze samolotów. Wyprowadzałem ją z błędu, mówiąc, że natura obdarowała mnie niewyobrażalnym łękiem przestrzeni, stąd nie mogę zostać pilotem. Raz jeden z kolegów po wypowiedzi o porywaczach wstał i dał pani profesor dobrą radę, żeby po skończeniu przeze mnie szkoły nie latała samolotami, a przynajmniej do chwili aresztowania mnie za sugerowane przez nią czyny.

Ta wypowiedź pozwoliła mi przez jakiś czas „złapać oddech”, choć podobne przykre sytuacje się powtarzały. O tym wszystkim dowiadywał się dyrektor, któremu na mnie donoszono. Długo nie reagował, ale po pewnym czasie postanowił mnie o to zapytać. Zrelacjonowałem mu wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Po tygodniu wezwał mnie do siebie i poprosił, żebym nie reagował na zaczepki, a najlepiej, żebym wychodził wówczas z klasy. Nie ukrywam, że robiłem to bardzo dyskretnie z niesamowitą jak na mój wiek konsekwencją. Zdarzało mi się niekiedy przez to spóźnić na kolejną lekcję. Zapytany, gdzie byłem, ze spuszczonym wzrokiem odpowiadałem, że u Pana dyrektora. Byłem pewny, że nikt go o to nigdy nie zapyta. Każdego roku od lutego kiedy zbliżały



się finały olimpiad, za zgodą dyrektora większą część czasu spędzałem w pracowni fizycznej. I tak w komforcie, prawie indywidualnego nauczania, dobiegłem do matury.



Belweder – marka polskich papierosów wytwarzanych w zakładach Polskiego Monopolu Tytoniowego od początku PRL-u. Papierosy pakowane po 20 sztuk, sprzedawane były w tekturowych pudełkach, których obwolutę zaprojektował Jerzy Perkowski.

Pan dyrektor niejednokrotnie mógł poznać arsenał moich słownych „zawiłości” i wybryków.

W szkole, modą ukrywaną przed profesorami, było palenie papierosów. Ta przypadłość nie ominęła również mnie. Paliłem papierosy, „Belwedery”; (fot. 7) (taka maniera) nie w męskich - zatłoczonych, zadymionych ubikacjach czy w krzakach leszczyny na granicy z posesją pani profesor Zdzisławy Grundboeck. Robiłem to bardzo spontanicznie - w ubikacji żeńskiej na drugim piętrze, siedząc na taborecie przy oknie. W deszczowy dzień majowy nakrył mnie na tym „procederze” pan dyrektor. Kiedy wszedł do ubikacji, wstałem i skinąłem głową na dzień dobry. Surowym wzrokiem spojrzał na mnie i zapytał:- Co ty tu robisz? Przemaszając za zaistniałą sytuację doda-

łem: - Panie dyrektorze, pomyliłem się tak jak pan. Spojrzał na mnie surowym wzrokiem (za fasadą którego krył się dyskretny uśmiezek, potwierdzający zrozumienie mojej wypowiedzi), a wychodząc dodał: - Żeby mi to było ostatni raz. I tak było; zawsze dotrzymywałem słowa. Raz zapytał, czy przestałem palić. Odparłem, że ograniczyłem do stosownego minimum; i tylko poza szkołą.

Innym epizodem było sprzątanie za karę strychu z kilku kolegami. Umorusani do granic wyobraźności, na zakończenie prac usiedliśmy na wysprzątanym stropie. Ja przygotowałem drobny poczęstunek. Kiedy rozlewałem do „musztardówek” wino „Malaga”, nadszedł dyrektor. Oniemiałem. On, patrząc

na mnie, zszedł z pomostu, którym przyszedł i po chwili milczenia, zapytał: - Co to ma znaczyć?

Skruszony wyszeptalem: „fajrant”. Opuściłem rękę, w której trzymałem butelkę, a w kierunku drugiej, w której trzymałem „musztardówkę” z nalany winem, dyrektor wyciągnął swoją, mówiąc: - Napiję się z wami - za dobrą robotę. Taki był dyrektor Galas - prawdziwy „belfer”, potrafiący trafiać do młodzieży. Nikt by tego się po nim nie spodziewał; ale tą spontanicznością zdobywał nas. A mnie się znowu upiekło. I w tak „rozrywkowej” atmosferze dotarłem do matury. Po drodze było jeszcze wiele epizodów, chociażby pochod 1 - majowy tydzień przed maturą. Pani profesor Stanisława Gawrysiowa skomentowała moje zachowanie: - Ciebie to chyba Bóg opuścił.

Chyba byłem jej pupilem. Bardzo mnie lubiła i nierzadko udzielała mi „matczyńskich” rad. Pamiętam, że pewnego razu, na przerwie przed lekcją historii chciała coś powiedzieć, ale nie mogła uciszyć rozkrzyczanej młodzieży. Przyszedłem jej z pomocą. Wrzasnąłem na cały głos; - Cicho, a kiedy klasa ucichła dodałem; - Dajcie coś babci powiedzieć.

Popatrzyła na mnie złowrogo, a później do mnie podeszła i powiedziała: - Następnym razem dostaniesz po łbie. Natychmiast ją przeprosiłem.

Profesor Stanisława Gawrysiowa uczyła moją mamę w 1945 r., znała się też z ojcem, a dla mnie była obrończynią na radzie pedagogicznej, przeciwstawiając się sugestiom relegowania mnie ze szkoły. Znamienne są jej słowa, które później do mnie dotarły: - Jemu, jak przychodzi do szkoły, należy wlać, aby wystarczyło mu na te pięć godzin. Ale to ona po udzielonej mi przez dyrektora naganie, po incydencie z obrazami powiedziała też, że - jako ukaranemu - przysługuje mi ostatnie słowo. Korzystając z tego powiedziałem, że przy moim wzroście, nawet posiłkując się taboretami z ubikacji żeńskiej na drugim piętrze, nie mógłbym dosięgnąć dolnych ramek tych obrazów. Całą prawdę przekazałem dyrektorowi w Domu Kultury „Mors”, 32 lata później (ja byłem pomysłodawcą tego czynu, którego efekt stał się możliwy dzięki wzrostowi kolegi, „kumpla z ulicy” (nie był on uczniem liceum), którego o to poprosiłem za stosowne wynagrodzenie).

Moich młodzieńczych występów było wiele; można by rzec, co tydzień „news”. Dzisiaj to wygląda śmiesznie, ale wówczas wymagało nie lada odwagi. Rolę „Stańczyka” odgrywałem sam na nieświadome zapotrzebowanie części,



będącego mi w opozycji intelektualnej, grona nauczycieli („jeden przeciw rzymskim legionom”). Niezapomniany, wesoły epizod miał np. miejsce na lekcji biologii, kiedy w zastępstwie pani profesor Heleny Gałuszki przyszła młodsza profesor Zofia Wawrzaszek - licealna piękność, modnisia, przeurocza blondynka. Miała zawsze misternie ułożoną fryzurę (kok lub gruby spleciony warkocz), była też zawsze elegancko, modnie ubrana np. w spódniczki „mini”, co skłaniało do obracania głów ją mijających.

Ja na lekcji biologii siedziałem w pierwszej ławce; nie było to podyktowane moją posturą, ale dydaktycznym przymusem, który roztoczyła nade mną profesor Helena Gałuszka, za wybryk, który ją osobiście dotknął (potem okazał się prostackim pomówieniem małomiasteczkowej społeczności). Do dzisiaj mimo - licznych przeprosin - bardzo tego żałuję. Zostałem niestety namówiony i wykorzystany przez moich starszych kolegów. Ale czego się nie robi dla „kumpli z ulicy”? Po długiej rozmowie profesor mi wybaczyła, ale roztoczyła nade mną szczególną opiekę. Za to do dzisiaj jestem jej wdzięczny, bo swą osobowością, dydaktyzmem, poświęceniem okiełznała moją uczniowską frywolność. To dzięki niej mogę się też pochwalić dobrą znajomością biologii, której się uczyłem z podręcznika Villego. Gdy po rozdaniu dyplomów opuszczałem mury szkoły, pogratulowała mi i z matczynym gestem mnie pożegnała, mówiąc: - Jestem pewna, że będą z ciebie ludzie. Dla mnie, swoją stanowczością, zdecydowaniem, siłą charakteru i ducha, mądrością, dalekowzrocznością została „Sapieżą Dębickiego Liceum” (primus inter pares).

W pewnym okresie, dość często z racji chorobowych przypadłości profesor Gałuszki, mieliśmy zastępstwa. Czekałem z utęsknieniem, kiedy w drzwiach pracowni pojawi się wyczekiwana profesor Zofia Wawrzaszek. Zawsze chodziła ubrana w jasne sweterki z głębokim dekoltem (kolor w tonacji żółtej i kształt trójkąta odpowiadał drogowym znakom ostrzegawczym) ozdobionych broszką w postaci kwiatka (typu gerber). Mój wzrok skupiałem na tym kwiatku, co trwało zauważalnie długo. Pod nosem wyszeptałem pytanie: „Czym ten kwiatek się odżywia?”. Karcącym spojrzeniem pani profesor nie pozwalała mi jednak na dłuższe rozmyślanie. Po lekcji na korytarzu profesorka podeszła do mnie, mówiąc - No, no, teraz już wiem, jakim jesteś gagatkiem. Nie byłbym sobą, gdybym nie odpowiedział, że nie znam tego określenia – Czy ma ono charakter aprobatywny - zapytałem?



To kolejna profesorka, którą bardzo lubiłem (chyba z wzajemnością), z racji rozumienia żartów i intelektualnych uwarunkowań poważałem, szanowałem za wiedzę i stosowne zbliżenie się mentalne do młodzieży.

Mógłbym opisać jeszcze wiele różnych sytuacji, ale - na koniec - wspomnę moją maturę. To próg, który jest już tak dawno za mną! Egzamin z matematyki zdawałem tylko pisemny (wcześniejsze moje postępy i olimpiada matematyczna, zwalniały mnie z części ustnej). Z fizyki byłem w całości zwolniony jako olimpijczyk. Natomiast matura z języka polskiego to było wydarzenie, które zapamiętałem i będę pamiętał do końca życia.

W majowy ranek w stosownym ubiorze zjawiłem się w szkole. Maturę pisałem w auli. Wskazano mi stolik, przy którym usiadłem. Nieopodal usiadła polonistka z którą miałem zajęcia. Początkowo zdziwiło mnie to, ale uświadomiłem sobie, jakim „uczuciem mnie darzyła”.

Kiedy podano tematy, wstałem i kierując wzrok w jej kierunku – machałem rękami. Dałem jej tym do zrozumienia, że traci czas, bo nie mam żadnych zabronionych pomocy naukowych, czego się spodziewała. Temat, który wybrałem, bardzo mi odpowiadał („Etos pracy w utworach Młodej Polski”). Pisałem do końca obowiązującego czasu, nie odrywając wzroku od tekstu. Na twarzy pilnującej mnie polonistki widać było narastający niepokój. Kiedy zasygnalizowano zbliżający się koniec, wstałem i złożyłem pracę. Byłem z siebie bardzo zadowolony. Wychodząc z sali, skierowałem wzrok w stronę pilnującej mnie pani nauczycielki. Ukłonem i stosownym gestem podziękowałem jej „za troskę” w czasie pisania. Radość moja wynikała z faktu, że temat bardzo mi odpowiadał, a pracę poprawiał będzie niemający ze mną zajęć nauczyciel. Jednak moja radość trwała krótko, bo uświadomiłem sobie, że mimo pozytywnego wyniku matury pisemnej, którego byłem pewny, czeka mnie za kilka dni część ustna.

Jak się dowiedziałem, pracę napisałem z wyróżnieniem, ale to nie zmieniło faktu, że będę musiał zdawać część ustną, bo dwóje wpisane przez moją nauczycielkę w stosowne kratki dziennika, wypełniały je do końca. Po powrocie do domu wróciłem do „własnego świata” gier ulicznych i zapomniałem o wszystkich czekających mnie maturalnych troskach.

I tak przyszedł ten ostatni dzień zmartwień – egzamin ustny z języka polskiego. Nie ukrywam, że nie czułem się komfortowo, bo moja polonistyczna wiedza nie pozwalała mi stąpać pewnie.



Komisji egzaminacyjnej przewodniczyła nauczycielka, która mnie uczyła języka polskiego, co już sytuowało mnie na przegranej pozycji. Kiedy wyciągnąłem pierwsze pytanie, zwątpiłem i po krótkiej chwili wrzuciłem je z powrotem na stosik, z którego je wyciągnąłem. Bez zastanowienia złapałem za kolejny pasek z pytaniem.

W tym momencie wszedł do klasy dyrektor Galas. Zanim swym charakterystycznym spojrzeniem ogarnął całość, już musiał wysłuchać na mój temat skargi. Podeszedł więc do mnie i zapytał: Co zrobiłeś?

Wstałem i zrelacjonowałem mu zaistniałą sytuację, przytaczając treść pytania z pierwszej kartki: „Udowodnij stwierdzenie Flaszena, że gdyby nie było Brandysa, należało by go stworzyć”. I zaraz dodałem komentarz, że moja nieudolna na ten temat wypowiedź, nie przyniosłaby nam (tu spojrzałem wymownie na moją polonistkę) splendoru. W tym momencie dyrektor kazał mi usiąść i przeczytać pytanie z kartki, którą trzymałem w dłoni. Przeczytałem więc: „Inwokacja – dokonaj analizy i syntezy utworu”. Wstałem i ze stosownym patosem zacząłem deklamować: „Litwo ojczyzno moja...”. Kiedy wypowiedziałem ostatnie słowa opisu dworu:

„Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.

Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,

że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza”,

wypowiedź przerwał mi pan dyrektor. Zdziwiony zapytał: - Czy ty znasz „Pana Tadeusza” na pamięć? Bez chwili zastanowienia odpowiedziałem szybko: tak i przeprosiłem, że się zagalopowałem i nie zakończyłem mojej wypowiedzi na inwokacji. Po chwili dodałem: - Co ten wpojony nam, wszechobecny romantyczny patriotyzm potrafi zrobić! Zapanowała cisza (odbierałem to jako zapowiedź sukcesu – bo coś się będzie działo; a czas zawsze działał na moją korzyść). Po chwili pan dyrektor powiedział: - Skoro tak, to może przypomnij nam spowiedź Księdza Robaka. Myślę, że tym stwierdzeniem zaskoczył wszystkich, mnie również. Ale, że gesty pokerowe nie były mi obce, odczytałem to jako pokero-we „sprawdzam”. W tym momencie wiedziałem, że kroczę po zwycięstwo. Po aktorsko odegranej chwili zastanowienia, poszukując w pamięci księgi X, zacząłem:

„Robak, nim zaczął mówić, w Klucznika oblicze

Wzrok utkwiał i milczenie chował tajemnicze.



*A jako chirurg naprzód miękką rękę składa
 Na ciele chorującym, nim ostrzem raz zada:
 Tak Robak wyraz bystrych oczu swych złagodził,
 Długo nimi po oczach Gerwazego wodził,
 Na koniec, jakby ślepym chciał uderzyć ciosem,
 Zastonił oczy ręką i rzekł mocnym głosem:
 «Jam jest Jacek Soplica...»
 Klucznik na to słowo
 Pobladnął, pochylił się i, ciała połową
 Wygięty naprzód, stanął, zwisał na jednej nodze,
 Jak głąz lecący z góry, zatrzymany w drodze"... .*

I tu przerwał mi pan dyrektor, zwracając się do mojej nauczycielki: - Mogę pogratulować takich uczniów, a po chwili dodał: - To cieszy. Mnie podał rękę, gratulując i dodając, że nie znał moich humanistycznych zdolności. I zaraz wyszliśmy razem, nie usłyszawszy końcowej oceny. Odebrałem to jako tryumfalizm zwycięzcy nad pokonaną. Tak zakończyła się nierówna walka nauczyciela z uczniem. Wspominam to teraz ku przestrodze dla potomnych. Nauczyciel ma siać ziarno wiedzy w oczekiwaniu, że plon da obfity, a nie przeciwstawiać się siłom natury, która obdarowuje nie zawsze łatwych uczniów. I dodam za Albertem Einsteinem „Nauka w szkołach powinna być prowadzona w taki sposób, aby uczniowie uważali ją za cenny dar, a nie za ciężki obowiązek.”

Myślę, że uwieczniona na świadectwie dojrzałości ocena z języka polskiego jest wyrazem złożoności uwarunkowań, w których świadomie czy nieświadomie tkwiłem. Mógłbym odnieść się jeszcze do oceny z języka rosyjskiego, ale przecież nie ma sensu otwierać kolejnej „puszki Pandory”. Ale przychodzi mi na myśl chęć sparafrazowania słów Norwida: „Gorzki to chleb jest „to liceum”. I bez patetycznego stwierdzenia, że ktoś ten chleb upiekł, a ktoś go musiał jeść, pozostawię byłym i przyszłym uczniom i nauczycielom do medytowania, i przeniesienia sensu słów Norwida na czas im obecny. Ten „chleb” jest pożywny i cenny, a jego okruchy trzeba podnosić z poszanowaniem, bo „takie będą Rzeczpospolite”, jacy my będziemy.

Gdy dziś wspominam moją maturę (maj 1971 roku), to pamięć ewokuje dławiące mnie wówczas wzruszenia i przeogromną radość z tego, że zdałem. Towarzyszą temu liczne migawki niespodziewanych spotkań, fragmenty



zdarzeń. Początkowo w zakamarkach pamięci nie odnajdowałem żadnych refleksji minionego okresu, ani cienia patosu, który mógłby się pojawić, gdybym chciał sobie uświadomić wagę przeżywanych chwil.

Ale dyrektor Galas zapadł mi w pamięci na całe życie. To ikona tamtych czasów, kiedy przez 23 lata pełnił funkcję dyrektora. To neosemantyczne użycie tego określenia w stosunku do osoby dyrektora Galasa uważam za w pełni uzasadnione, bo był on, jest i będzie symbolem szkoły. To człowiek – legenda; bardzo pracowity, uczciwy, doradzający, pomagający, o bogatym empatycznym wnętrzu, (szczególnie w stosunku do młodzieży pochodzącej z wiosek), z twardymi, niezmiennymi zasadami, nietolerujący wazelinarzy i lizusów (a takich wówczas nie brakowało). Jak każda wielka osobowość miał pewne słabości. Tą słabością była np. jego wiara w marksizm, a obcy, narzucony wówczas system komunistyczny – myślę – nie pozwalał mu być sobą. Z tym „schorzeniem” musiał radzić sobie sam, z racji pozycji w społeczności Dębicy, bałwochwalczej partyjnej gloryfikacji, jego skrywanej partyjnej dumy, pewności siebie, pochodzeniowych uwarunkowań, czy różnych innych zależności. Chcąc to wszystko zrozumieć, należy dyrektora Galasa postrzegać jako osobowość wielowątkową, wielopłaszczyznową, człowieka, który chciał i potrafił pogodzić bezstronność z politycznymi i moralnymi uwarunkowaniami tamtych, bardzo trudnych czasów. To on i jego osobowość zbudowały autorytet i wielkość szkoły. Piszę to ja, którego poglądy były w skrajnej opozycji do jego poglądów, czego jako uczeń nie ukrywałem. On wiedział o tym, co stwierdził w rozmowie po latach w Domu Kultury „Mors”. Wspominał też o moich wyjazdach do Krakowa w pamiętnym marcu 1968 r., nie tylko do księgarni na pl. Szczepańskim, gdzie kupowałem zbiory zadań z fizyki i matematyki w języku rosyjskim, z których się uczyłem do olimpiad z fizyki i matematyki. Tam też nabyłem przetłumaczone na język rosyjski cztery tomy wykładów Feynmana z fizyki, które pomogły mi w dalszej karierze naukowej.

Aby dochować wierności faktom, nie zgubić duchowego klimatu czasów, w których dyrektor Galas żył, gdzie miał swą „miłość, cel i biedowanie” oraz przeżywał te wszystkie zwątpienia, dramaty, upadki, sukcesy i wzloty, przywołałam myśl Friedricha Nietzschego, w której słysząc Jego przesłanie: „I dopiero gdy wszyscy o mnie zapomnieją, wtedy wrócę do was”.

Myślę, że najlepszym sposobem oddania mu czci i złożenia hołdu jest nie



pozwoić o nim zapomnieć, co niniejszym czynię i pisząc o miejscu, które tworzył, gdzie pracował, a w którym ja się uczyłem, rozwijałem, zmierzałem ku dojrzałości i do niej dorastałem. I tu pragnę przytoczyć słowa Brunona Schulza: „Lojalność naszej układowej natury nie jest nieczuła na wielkość autorytetu”. Zrozumienie tej przewrotnej sentencji (zrodzonej w czasach józefinizmu) może być pomocna, aby dać namiastkę uwarunkowań życia w strukturze szkoły i tej lokalnej społeczności, którą tworzyli uczniowie i grono pedagogiczne, bardzo zróżnicowane klasowo i mentalnie. Czy nie był to ukryty „galasinizm”?

Dyrektor zarządzał szkołą „twardą ręką” według dyrektyw partyjnych (nie znanych ogółowi) przy pomocy nauczycieli tworzących grono pedagogiczne. Od tych czynników zależało wszystko. Jakie było to grono? I tutaj niech pomoże metafora: „Dopóty dzban nosi wodę, dopóki mu się ucho nie urwie”. Jakość tego ucha zależy od gliny, z jakiej ten dzban jest ulepiony.

Pytanie retoryczne: co miał do dyspozycji ówczesny dyrektor? Odpowiem: narzucone wytyczne i takich a nie innych nauczycieli. W dużej części grona pedagogicznego można było zauważyć odcinanie się od świata najnowszych trendów, godzenie się z narzuconą ideologią, skazywanie na jałowość wegetacji, prowincjonalnego sposobu myślenia, osobowościową samotność, a niekiedy życiową niezaradność. To wszystko tworzyło atmosferę zapominania o wielkości, a oddawania się małości, pogłębiało w społeczności lokalnej dulszczyznę i zaściankowość.

Pisząc te wspomnienia zastanawiam się, ile w tym opisie jest relacji mistrz – uczeń, o której wcześniej pisałem czy mówiłem w wygłoszonym w Sali Senatu Politechniki Wrocławskiej w 2007 r. wykładzie na ten temat, którego zapowiedzią było zdjęcie z Rio de Janeiro (obecnie umieszczone na str. 735 w książce Haliny Niziołek „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie...”). Czy obecne czasy, gdzie sceptycyzm stał się nieodzownym składnikiem nauki, a szacunek reliktem przeszłości, jest miejsce na tę relację? Myślę, że tak, bowiem pragnienie wiedzy, nieograniczona chęć poznania i zrozumienia otaczającej nas rzeczywistości są zakorzenione w istocie ludzkiej. To samo dotyczy powołania nauczycielskiego i chęci nauczania drugiego człowieka. Zastanawiam się, czy w kontekście niniejszych wspomnień zawód nauczyciela nie nazwać „profesją”, bowiem wyrażenie to zawiera możliwe do wyobrażenia niuanse - od utartej rutyny przez wyzbyte iluzji życie, po wzniosłe poczucie powołania. Czy istnieje



bardziej uprzywilejowana umiejętność? Proces rozbudzania ciekawości, wyzwalanie marzeń, wprowadzanie młodego człowieka w nieznane meandry wiedzy to realizacja możliwości transcendentnych. Z własnego doświadczenia wiem również, że to mistrzostwo bywa ułomne, a raczej musi być ułomne, bowiem nie sposób przeciwstawić się ludzkim słabościom, takim jak próżność, zazdrość, zawiść, nienawiść, zdrada. Ale jest nadzieja, czego uczy nas historia minionych lat, że nawet najbardziej wyrafinowane metody oddziaływania, nacisku triumfującego materializmu nie są w stanie powstrzymać człowieka przed wznoszeniem się ku lepszemu własnemu „ja”. To nasze „ja” jest wyznacznikiem naszej autentyczności, czyli podstawowym warunkiem procesu samorozwoju i osiągnięcia satysfakcji życiowej. Musimy mieć świadomość, że to nasze „ja” ma dwa znaczenia: nasze wyidealizowane „ja” oraz nasze realne „ja”, a warunkiem poczucia pełnego ludzkiego spełnienia jest maksymalne zbliżenie się tych naszych indywidualnych „ja”. Ważne jest to szczególnie w procesie nauczania, gdzie to nauczyciel i uczeń powinni być autentyczni, a tym samym poznać i mieć możliwość oddziaływania na składowe własnego „ja”, unikając w tym procesie zapożyczeń z mediów społecznościowych Facebooka czy Instagrama celem wzbogacania niczym nieograniczonej autoprezentacji. To zarówno u młodych jak i starszych ma niebagatelny wpływ na ich psychiczny dobrostan, a społecznie powoduje to zatarcie granicy między tym co prawdziwe, a co fałszywe. Dzisiaj winniśmy sobie zadać pytanie czy warto być sobą i na jak długo? To słowo „autentyczność” winno być kluczem dobrobytu, psychicznego dobrostanu przyszłego materialnego i kulturowego świata.

Uważam, że warunkiem sine qua non przynależności do elitarnej grupy nauczycielskiej jest właśnie być autentycznym. To autentyczność dokonuje uściślenia kategorii elementarności, która jak wiemy może dwuwartościować, jak też wykluczać daną grupę społeczną czy zawodową. To autentyczność implikuje w elicie zawodowej nauczycieli autorytet moralny i poznawczy, nakładając jednocześnie na nich obowiązek współodpowiedzialności (z rodzicami - opiekunami) w kształtowaniu umysłów i charakterów kolejnych pokoleń młodzieży. „Najgorzej, gdy szkoła ucieka się do takich metod, jak zastraszanie, przymoc czy sztuczny autorytet. Metody te niszczą u uczniów naturalne odruchy, szczerłość i wiarę w siebie, czyniąc z nich ludzi uległych.” pisał Albert Einstein

Myślę, że tak zdefiniowana tu autentyczność powinna być paradygmatem



określającym tożsamość elity nauczycieli. Istotną wartością winna być też merytoryczna rozległa wiedza i sposób jej przekazu. Mówiąc w prosty sposób: dobry nauczyciel winien być postrzegany jako „mędrzec” i „artysta”, a to stanie się naturalnym środkiem wywołującym proces synergii pomiędzy uczniem i nauczycielem. „Szkoła jest naszym paszportem na przyszłość, ponieważ jutro należy do tych, którzy przygotowują się do stawienia temu czoła” (Malcom X).

Kryzys moralny, będący znakiem epoki, w której przyszło nam żyć, wynika przede wszystkim z braku skutecznych mechanizmów krytycznej oceny własnego wizerunku.

Ocena taka jest prawie niemożliwa w obliczu powszechnej zuchwałej podmiotowości, objawiającej się degeneracją perspektyw absolutnych na rzecz perspektyw indywidualnych. Jestem przekonany, że jedynym z warunków koniecznych w drodze ku zaprzeczeniu tej postmodernistycznej mentalności jest skuteczne rozliczenie z przeszłością, ale pozbawione cech poszukiwania sensacji, tropienia i oczerniania.

Umiłowanie prawdy jako fundamentu społecznej koegzystencji rodzi powinność moralną, niełatwą do wypełnienia. Istotne jest zrozumienie, że prawda nie zależy od osądu człowieka i kontekstu, w którym istnieje.

Coś, co miało miejsce, co się wydarzyło a nie zostało zapisane, przestaje istnieć i umiera. Pisząc wspomnienia, dokonujemy rekonstrukcji minionych przeżyć i wydarzeń, co jest z punktu widzenia psychologii i socjologii procesem depersonalizacji, czyli niekiedy nawet patologicznym odczuwaniem siebie. Są to procesy intuicyjne, a narrator i słuchacz to niekiedy ta sama osoba.

Zgromadzona wiedza to wiedza komunikacyjna, mająca swoje źródło w procesie uczenia się, przyswajania faktów, werbalnego przekazu oraz wiedza koniunktywna, wynikająca z przekazu rodzinnego, kręgów kulturowych czy grup wspólnych wartości. Piszę o tym, aby pokazać, jak dla każdego z nas ważne są wspomnienia, a zebrane w jeden zbiór - książkę - istotne dla całych społeczności połączonych wspólnym kręgiem wartości, wspólnymi celami. Piszę to, by pokazać, że - przytaczając powyższe, niekiedy bardzo trudne fakty - nie ulegam idiosynkrazji - ale kieruję się pragnieniem, aby w procesie synkracji z innymi poznać prawdę o tych, którzy ją zacieraają, bagatelizują czy świadomie ignorują.

To, co dane mi było zaobserwować po hucznych uroczystościach 100-lecia szkoły w 2000 roku, to zadziwiający spokój. Zrozumiałem, że kiedy milkną



echa fanfar, a cisza dnia codziennego skłania nas do refleksji, zauważamy, że zapamiętane ad hoc fakty, rozmowy, spotkania budzą w nas zdumienie, a nawet niepokój. Nie inaczej było ze mną. Ta zaduma, to łączenie różnych faktów zapamiętanych w przeszłości, trwają do dzisiaj.

Po wyjeździe z Dębicy moje kontakty osłabły i ograniczyły się do formalnych grzeczności czy wymiany życzeń noworocznych (i tu ukłon do pani sekretarki Zofii Stelmach). Nie wiedziałem o kolejnych jubileuszach. Nikt mnie o nich nie poinformował. Zrozumiałem, jak krucha była moja znajomość, a okazywana wcześniej troska w stosunku do mojej osoby była de facto bez troską. Po śmierci mamy moje wizyty w Dębicy ustały całkowicie. Po ukazaniu się 10. tomu opracowania „Problemy Metrologii Elektronicznej i Fotonicznej” poświęconego mojemu 70-leciu urodzin, postanowiłem wysłać to wydanie tym dębickim notabloom, z którymi wcześniej utrzymywałem kontakt. Nie otrzymałem informacji zwrotnej, co uświadomiło mi, że nie powinienem zaprzętać już moją osobą ich pamięci, bo radzą sobie sami. A to mnie cieszy.

Życie nie lubi próżni. Już 16 lipca 2023 r. otrzymałem od byłego dyrektora naszego liceum Leszka Klabachy maila, w którym w imieniu autorki Haliny Niziołek prosił o recenzję jej książki „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” W rozmowie telefonicznej wyraziłem zgodę. W dniu 18 lipca 2023r. o godz. 12.21 otrzymałem drogą mailową plik z tą książką. Jej lektura tak mnie pochłonięła, że po 20 godzinach czytania, godzinnej drzemce i filiżance mocnej kawy zabrałem się do pisania opinii (umieszczonej na tylnej okładce książki, którą, 19 lipca o godz. 18.13 przesłałem na ręce pana Leszka Klabachy, zajmującego się cyklem wydawniczym książki. Po powrocie z miesięcznego pobytu w Kołobrzegu, gdzie rokroczne spędzam z rodziną wakacje, postanowiłem zadzwonić do liceum. Pani sekretarka Zofia Stelmach (pamiętająca szkołę od czasów dyrektora Galasa) poznała mnie i poinformowała, że nowym dyrektorem jest pani Ludmiła Stelmach - Kołodziej. Poprosiłem o kontakt. To był pierwszy tydzień września i pierwsze dni urzędowania nowej pani dyrektor. Po otrzymaniu telefonu, przedstawiłem się, pogratulowałem jej stanowiska, które objęła i powiedziałem, że chcę przesłać kolejne tomy cyklu książek wydawanych pod moją redakcją, aby je dołączyć do tych, które już są w liceum. Myślę, że bardzo ją ten telefon zaskoczył. Serdecznie podziękowała.

Szybko przeprosiłem, sygnalizując, że zadzwonię za tydzień. I tak rozpo-



czał się mój nowy rozdział kontaktów z dębickim liceum. Spakowałem paczkę z książkami, dołączając tom dziesiąty poświęcony mojej osobie oraz prezent, który otrzymałem od Augustyna Kowalczyka - absolwenta liceum z 1945 roku, podczas obchodów 100-lecia liceum w 2000 roku. Po otrzymaniu paczki z książkami pani dyrektor Ludmiła Stelmach - Kołodziej przesłała mi serdeczne podziękowania wraz z zaproszeniem do odwiedzenia szkoły, sugerując datę spotkania na grudzień 2023r., z możliwością uczestniczenia w planowanym wstępnie spotkaniu autorskim pani profesor Haliny Niziołek - autorki książki, którą recenzowałem.

Oto ta recenzja:

Zabiegani, zmęczeni codziennością trudno nam znaleźć sposób jak zachować spokój w dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości. Z pomocą przychodzi nam Profesor Halina Niziołek napisaną książką pt. „LUDZIE, LUDZIE, CUDA W TEJ BUDZIE...”. Jako wieloletnia nauczycielka ma świadomość, że nie można mienić (zbawić) świata, ale przez obcowanie z młodymi można ich ochronić przed gwałtownymi zmianami w tym świecie. Przedstawiając życie szkoły, autorka w łatwy sposób przekazuje ponadczasową wiedzę. Ukazując nas, uczniów i nauczycieli jako uzależnionych od natury i współpracujących ze sobą ludzi, wskazuje jak budujemy swoje intelektualne wnętrze, a swoimi syntetycznymi wypowiedziami wzbudzamy podziw czytelnika, co jednocześnie pozwala nam odnaleźć siebie.

Inteligentna, otwarta, odważna, ukazująca różnorodność swoich zachowań, bez kompleksów, przyjazna, z dużym dystansem do siebie, szanująca odmiennność drugich – to obraz autorki po lekturze napisanej przez nią książki. Swoim postępowaniem wyrażonym słowem pisanym buduje narrację uzdrowienia polskiej szkoły poprzez odnowę moralną i powrót do elementarnej uczciwości. Treść tej książki jest diagnozą, która winna być traktowana poważnie i zdobyć szerokie uznanie. To budzi pewne nadzieje, przynajmniej wśród takich jak ja optymistów. Cieszę się niezmiernie, że książka Haliny Niziołek trafia do rąk czytelnika. A radość to tym większa, że Pani Profesor Halina Niziołek była nauczycielką mojego liceum, w którym ukształtowała się moja osobowość. Mistrzostwo autorki polega na tym, że bohaterami książki jesteśmy my wszyscy - uczniowie, nauczyciele - słowem cała społeczność liceum w ostatnim stuleciu.

Janusz Mrocza



mgr Halina Niziołek
nauczycielka języka polskiego
w I Liceum Ogólnokształcącym
im. Króla Władysława Jagiełły
w Dębicy

Dębica, 30.09.2023r.

Sz. P.
Prof. dr hab. inż. JANUSZ MROCZKA
Katedra Metrologii Elektronicznej i Fotonicznej
Wydział Elektroniki, Fotoniki i Mikrosystemów
Politechnika Wrocławska

SZANOWNY PANIE PROFESORZE,

Na początek powiem słowami hrabiego Aleksandra Fredry: „Wielki splendor na mnie spływa”, że Pan Profesor zechciał być recenzentem mojej wspomnieniowej książki „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” o dębickim liceum, którego Pan jest wybitnym absolwentem. Jestem dumna, że podtrzymuje Pan Profesor naszą telefoniczną znajomość, z radością i sentymentem powracając wspomnieniami do „kraju lat dziecińczych” – Galicji; jak sam to żartobliwie określa.

Gratuluje „Godnego” Jubileuszu i serdecznie dziękuję za podarowanie mi pięknie wydanej publikacji „Problemy metrologii elektronicznej i fotonicznej 10. Księga dedykowana Prof. Januszowi Mroczce z okazji 70. rocznicy urodzin i 46-lecia pracy na Politechnice Wrocławskiej”, którą „studiuję” z zainteresowaniem i która pozwoliła mi choć trochę poznać Pana Profesora działalność dydaktyczną, organizacyjną, a – przede wszystkim – osiągnięcia w rozwoju nauki „znaczącej dla przyszłych pokoleń” (jak o publikacji napisała Pani Profesor Agnieszka Iwan z Wojskowego Instytutu Techniki Inżynierii im. Profesora Józefa Kosackiego).

Książka, która przedstawia Pana Profesora jako „Szczęśliwca pokochanego przez Naukę” (to celna opinia Profesora Ryszarda Romaniuka z Politechniki Warszawskiej), „jak w soczewce ukazując Pańskie mistrzostwo” (to znów słowa Pana Doktora Jerzego Deneki, Dyrektora Rady Doskonałości Naukowej).

Kolejne rozdziały tej publikacji utwierdzały mnie w przekonaniu, że Pan Profesor jest człowiekiem niezwykłym, daleko odbiegającym od utrwalonego stereotypu naukowca skupionego tylko na swej dziedzinie wiedzy, że obserwuje Pan życie okiem filozofa i humanisty, że posiadał Pan mądrość życiową pozwalającą na godne przeżywanie życia i zrozumienie dla otaczających Pana ludzi, zachowując równocześnie pogodę ducha i gotowość do podejmowania różnych wyzwań cechującą zazwyczaj ludzi młodych.

Pani Profesor Agnieszka Iwan napisała, że „symbioza między naukami technicznymi i humanistycznymi odzwierciedla Pana złożoną, fascynującą naturę”. A ja dodam – cytując „refren” wiersza Pani Profesor Joanny Pawlat: „Wtedy jest najpiękniej!”.

Trochę ubolewam, że nie poświęcił się Pan Profesor studiom humanistycznym, bo zapewne też stworzyłby Pan nowy kierunek nauki np. związany z teorią literatury. Wówczas prace Pana nie byłyby dla mnie taką niezrozumiałą chińszczyzną. Ale jakże to byłaby strata dla fizyki!

Przekonałam się, że Pan Profesor jest człowiekiem empatycznym, posiadającym nieczęsty dar dystansu wobec siebie i otaczającej rzeczywistości (co kwituje Pan częstym powiedzeniem: „No cóż, takie życie!”), bezpośrednim, serdecznym, dowcipnym, niezależnym, prezentującym zawsze własne zdanie, mówiącym piękną polszczyzną, błyskotliwie ripostującym – w lekkim, żartobliwym, swobodnym tonie.

„Odpowiednie dać rzeczy słowo”, czyli trafić celnie w samo sedno – tę sztukę Pan Profesor posiadał w stopniu doskonałym.

Jestem dumna, że poznałam Pana Profesora – wybitnego uczonego, który – jak ja – w młodości uczył się w murach dębickiego liceum i stamtąd „wyfrunął” w dorosłość.

Panie Profesorze – dziękuję za wszystko i życzę wszystkiego dobrego.

Halina Niziołek

List gratulacyjny od pani profesor Haliny Niziołek.





Spotkanie w hotelu „Gold” po moim przyjeździe do Dębicy: ja z małżonką w towarzystwie pani dyrektor Ludmiły Stelmach-Kołodziej i pani profesor Haliny Niziołek.

UCHWAŁA NR LXXXII/602/2023 RADY MIEJSKIEJ W DĘBICY

z dnia 27 października 2023 r.

w sprawie przyznania odznaczenia "Honorowy Obywatel Miasta Dębica"

Na podstawie art. 18 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (t.j. Dz. U. z 2023 r. poz. 40 z późn. zm.) oraz § 1 pkt 1, § 2 uchwały Nr LXIX/512/2022 Rady Miejskiej w Dębicy z dnia 14 grudnia 2022 r. w sprawie przyznawania honorowych wyróżnień Miasta Dębica z późn. zm., Rada Miejska w Dębicy uchwala, co następuje:

§ 1. W uznaniu szczególnych zasług dla Miasta Dębicy przyznaje się **Panu Januszowi Mrocze** odznaczenie „Honorowy Obywatel Miasta Dębica”.

§ 2. Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

Przewodniczący Rady
Miejskiej w Dębicy

mgr Józef Sieradzki





Chwila otrzymania dyplomu: po lewej Józef Sieradzki – przewodniczący Rady Miejskiej Dębicy, po prawej Mariusz Szewczyk – burmistrz Dębicy, w środku – autor.



Dyplom Honorowego Obywatela Miasta Dębica.



Ze wzruszeniem dziękowałem za otrzymane wyróżnienie. W tle dzieło Paula Gauguina jako symbol mojego przekazu myślowego łączącego mnie z Dębicą.



Ja z małżonką oraz panią Haliną Niziołek w towarzystwie radnych w sali widowiskowej „Mors”, od lewej: Jerzy Kulaj, Renata Barszcz, Ludmiła Stelmach-Kołodziej, Jerzy Polniaszek, Iwona Przydzielska, Paweł Hayn.

**Wystąpienie prof. Janusza Mroczi
Honorowego Obywatela Miasta**

*„Niczego w życiu nie należy się bać,
Należy to tylko rozumieć.”*

Maria Skłodowska - Curie

Szanowny Panie Burmistrzu,
Szanowni Członkowie Rady Miejskiej,
Dostojni Goście zaszczycający uroczystość i mnie osobiście.

Otrzymana dziś godność i ta uroczystość jest dla mnie wielkim darem społeczności Miasta Dębicy.

Panie Burmistrzu, na Pańskie ręce składam podziękowania dla całej wspólnoty Dębicy. Radzie Miejskiej dziękuję za przychyłność dla procedury i uchwałę nadającą mi to wyróżnienie.

Dziękuję Pani Dyrektor I LO im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, Radnej Miejskiej Ludmile Stelmach-Kołodziej za dostrzeżenie, w uprawianej przeze mnie nauce i pełnieniu misji nauczyciela akademickiego, wartości zasługujących na wystąpienie z wnioskiem o tę godność. Tą godnością dane jest mi dołączyć do obecnej wspólnoty Dębiczan.

Życzę, aby ta wspólnota była otwarta na wszystkie przejawy i kultywowanie wiedzy oraz studiowanie prawdy we wszystkich jej przejawach: filozoficznym, naukowym i praktycznym; aby była prawdziwym zwierciadłem kultury materialnej i duchowej.

Mój przekaz myślowy zawsze opieram o wybrane przeze mnie symbole. Niech dzisiaj tym symbolem będzie najbardziej znane dzieło Paula Gauguina, francuskiego symbolisty, przedstawiciela postimpresjonizmu – obraz „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy? Obraz powstał w 1897r. To kulturowa alegoria. Językową elipsą zaprasza on do medytacji nad tajemnicą naszego przeznaczenia. Dzieło to jest pytaniem o pochodzenie, tożsamość i przeznaczenie człowieka.

Dla ukazania swojej koncepcji wybrał Gauguin ogromne płótno o szerokości ponad 3,5 m. Zapełnił je wieloma postaciami, tworzącymi pozornie niezwiązane ze sobą grupy. Obraz ma jednak pewien porządek, na który wskazywał sam artysta. Jego odczytywanie należy zacząć od śpiącego dziecka po prawej stronie. Zakończenie opowieści znajduje się na przeciwległym brzegu: to stara kobieta, zrezygnowana i pogodzona z nadchodzącą śmiercią. Pomiędzy tymi biegunami rozciągają się młodość i dorosłość, tworząc cały cykl życia człowieka. To co po śmierci, symbolizuje z kolei niebieska figura bóstwa. Na tym nie kończą się możliwości interpretacji poszczególnych fragmentów obrazu.



Wyraźnie wyeksponowana została postać zrywająca owoc z drzewa. Czytelne jest tu skojarzenie z biblijną Ewą sięgającą po zakazany owoc. Alegoryczne znaczenie mają również zwierzęta. Białego ptaka przy staruszcze po lewej stronie sam malarz opisywał jako symbol daremności pustych słów. Z kolei małe kotki otaczające dziewczynkę odczytywane są jako symbol jej czystości.

Wracając do siebie, pytam i odpowiadam:

Skąd przychodzę ? Odpowiadam, z Dębicy – to 27 kwietnia 1952 r. na porodówce szpitala przy ul. Krakowskiej wydałem pierwszy głos, a potem to edukacja w szkołach dębickich zakończona w murach I LO im. Króla Władysława Jagiełły w 1971r. To „Jagiellonka” ukształtowała moją osobowość.

Kim jestem? Pracownikiem naukowym, który za podstawę swojej egzystencji przyjąłem cztery równania Maxwella, i z ich pomocą, jako narzędziem poznania budowałem modele interakcji promieniowania elektromagnetycznego z materią. Tym wnosilem mój wkład w tworzącą się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych minionego stulecia fotonikę, która obecnie dynamicznie się rozwija. Jej kreatorami są dzisiaj kolejni nobliści z fizyki. Ostatnio 3 października 2023 r. jako jeden z trzech, prof. Ferenc Krausz z Instytutu Maxa Plancka w Monachium, który wygenerowaniem impulsu o czasie trwania jedną attosekundę zapoczątkował rozwój fizyki attosekundowej, pozwalającej śledzić ruchy elektronów wewnątrz atomu.

Dokąd zmierzam? Moim marzeniem jest, aby z udziałem moich wychowanków zawiązała się polska grupa z różnych uczelni, celem której będzie zbudowanie w strukturze światłowodu lasera grzebieniowego generującego impulsy femtosekundowe w szerokim zakresie widma promieniowania, dając tym samym narzędzie do analizy i syntezy białek w różnych jednostkach chorobowych z jednoczesną możliwością ich modyfikacji.

Tym zaszczytem „Honorowego Obywatela Dębicy” wskazujecie mi „gniazdo”, z którego, jak pisze w swoje książce „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie ...” Halina Niziołek, „wyfrunąłem” w 1971 roku. W ten sposób przywracacie mi drugą młodość, nie pozwalając zostawić za sobą tego co Dębica mi dała.

Serdecznie dziękuję za to wszystko.

Życzę zachowania dobrej formy emocjonalnej, intelektualnej i fizycznej, abyśmy mogli wrócić do normalności, w której wolne myślenie, odwaga poszukiwania prawdy i zdrowy rozsądek wypełnią przestrzeń stosunków międzyludzkich, widzenia i szanowania drugiego człowieka.

Treść mojego wystąpienia wygłoszonego w sali widowiskowej „Mors” po otrzymaniu wyróżnienia.



Za powyższą opinię autorka przesłała na moje ręce list z podziękowaniem.

Dnia 27 października 2023 około godz. 16 zadzwonił do mnie burmistrz Dębicy informując mnie, że Rada Miejska w Dębicy w uznaniu szczególnych zasług dla Dębicy przyznała mi odznaczenie „Honorowy Obywatel Miasta Dębica”. Dwa dni później otrzymałem formalne zaproszenie na uroczyste wręczenie tego odznaczenia. Do Dębicy przyjechałem z małżonką 11 listopada. Zamieszkaliśmy w hotelu Gold nieopodal miejsca, gdzie odbyła się ceremonia wręczenia. W godzinach popołudniowych na zaproszenie pani dyrektor I Liceum im. Króla Władysława Jagiełły Ludmiły Stelmach-Kołodziej, w towarzystwie pani Haliny Niziołek spotkaliśmy się w restauracji hotelowej w dniu 11 listopada (fot. 9–10).

Dnia 12 listopada w godzinach popołudniowych na zaproszenie Burmistrza miasta Dębicy Mariusza Szewczyka, w towarzystwie dyrektor liceum Ludmiły Stelmach – Kołodziej, małżonka i ja udaliśmy się do restauracji hotelu Gold na uroczysty obiad.

O godz. 18.00 w Domu Kultury „Mors” w Dębicy odbyło się uroczyste wręczenie honorowych odznaczeń i wyróżnień (fot. 10–13). Do sali przybyła dębicka publiczność, władze miasta i powiatu oraz bliscy osób nagradzanych. Kiedy wszedłem do sali, po prawej stronie w środkowym rzędzie zauważyłem profesora Andrzeja Mola, który wstał kierując się w moją stronę. Zauważyłem to, jak również fakt, że to zejście sprawia mu nie lada problem. Szybko podbiegłem do niego. On - wzruszony – wykrzyknął:- Drogi Januszk! Szloch odebrał mu mowę. Po chwili pogratulował mi zaszczytu, informując, że - niestety - sytuacja w domu nie pozwoli mu być do końca uroczystości. I znowu wzruszenia i łzy w tej pięknej sali. To udzieliło się również mnie podczas wywiadów dla prasy, radia i telewizji. To chyba zbyt mocne wrażenia z lat młodości, tak u starszych jak i u mnie, wyciskają łzy.

Parę miesięcy wcześniej we wrześniu 2023 r. nastąpiła w „moim liceum” zmiana dyrekcji i przekazanie steru szkoły w ręce kobiety. To nowa jakość, czy efekt filozofii parytetów tu miał miejsce? Nie wiem. Po ośmiu dekadach męskich uniesień nastąpił ich kres. Szkoła w minionych dekadach na przełomie tysiąclecia (trzech ostatnich dekadach) miała momenty istotnych słabości, (mówiła o tym społeczność Dębicy, jak i obiektywne wskaźniki formalnych ocen). Poddawała się żywemu organizmowi człowieka, jego prawom, stąd samoistnie



i konsekwentnie godziła się na formę imitowania życia, przedstawiania i odtwarzania. I tu za Platonem można powtórzyć. „Najlepsze życie to takie, które łączy troskę z bez troską” Ale w przypadku szkoły, należało powiedzieć stanowcze nie. Kształcenie i wychowanie młodzieży to święta powinność i należy ją traktować z największym szacunkiem i poświęceniem. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie młodzieży chowanie”... . Musimy mieć świadomość, że to funkcjonalizm, konstruktywizm purystyczny, wizualizm robią nas przedmiotowymi w tej rzeczywistości.

Jak pamiętam, za moich czasów (lata 1966–1971) szkoła była na tyle silna (mimo panoszącej się doktryny realnego socjalizmu), że mogła sobie pozwolić, a nawet wyzwolić się spod nacisku życia i człowieka. Wytwarzała sztuczne odpowiedniki życia, które okazywały się bardziej naturalne, żywe, bo łatwo poddawały się abstrakcji (wymykając się spod cenzury), przestrzeni i czasu. Zdolne były do osiągnięcia absolutnej jedności (były niewidoczne i dlatego przetrwały). To wynikało z wewnętrznej postawy grupy nauczycieli, ich życiowych warunkowań wewnętrznej siły motywacji, wynikających z przyjętych przez nich wartości. Tę grupę tworzyli nieliczni profesorowie: Stanisława Gawrysiowa, Helena Gałuszka, Olga Sidorowicz, Zdzisława Grundboeck. W moim odczuciu to oni stanowili tę elitarną część grona nauczycielskiego, która mogła podejmować dialog z dyrektorem Galasem poza formalną płaszczyznę relacji służbowych i drogą kompromisu kształtować rzeczywistość szkoły. Myślę, że dyrektor nie był w stanie się sprzeciwić ich prośbom. Ten niepisany twór (ta intelektualna synergia dyrektor – nieliczna grupa nauczycieli) decydował o wielkości i pozycji szkoły. Pisząc to dzisiaj zadaję sobie pytanie, które zrodziło się we mnie po licznych - niekiedy bardzo trudnych dyskusjach z częścią wymienionych nauczycieli (Gałuszka, Gawryś, Sidorowicz) oraz dyrektorem (po bardzo osobistych zwierzeniach w dialogu w Domu Kultury „Mors” w 2000 r). Czego zabrakło wówczas w tym intelektualnym, niewidzialnym dialogu, że nie podjęto próby wyzwolenia się od ideologii komunizmu - osobniczo czy zbiorowo? Stanowiłoby to piękną kartę historii szkoły i jakże pięknie harmonizowałoby ze zdjęciem (fot. 17) z 2.12.2023 r., kiedy mury szkoły po uroczystościach opuszczają duchowni absolwenci liceum 1991, 1995. Ten fakt niewyobrażalny w czasach mojej nauki w szkole - dzisiaj jest dowodem głębokich przemian i głębi intelektualnej tych nielicznych, którzy tę świadomość posiadli, chcieli





Przed wejściem do liceum (2 XII 2023r.): ks. Piotr Szwed
i siostra Agnieszka Skrzypek.

i potrafili wcielać najszlachetniejsze wartości w umysły młodych, mimo ogólnie roztaczającej się beztroski zarządzających minionych ostatnich dekad.

Bo fascynacja tworzenia czegoś dla kogoś winna być ważniejsza niż materialna forma tego tworzenia. Ten dekolaż rzeczywistości życiowej, to wytrącenie jej z utartej życiowej praktyki silniej porusza ludzką wyobraźnię niż surrealistyczna rzeczywistość naszych marzeń. To doświadczenie życiowe każdego z nas, obojętnie czy celem jest wzbogacenie materialne czy wzbogacenie intelektualne nas prowadzi. Tego wyrafinowania pozbawione są małe dzieci, do których tak tęsknimy, które skarcone, już po krótkiej chwili są radosne, wesole; są po prostu sobą. Przez to je uwielbiamy, kochamy – to prawdziwe „sło-

dziaki”. Z zachowań wnuków dziadkowie czerpią siłę, bowiem one mają energię i tym są silniejsze od dorosłych, że po każdym niepowodzeniu z optymizmem zabierają się do codziennego działania.

Kiedy wyznaczono ostatecznie datę spotkania autorskiego pani Haliny Niziołek na 2.12.2023r., a ja potwierdziłem na nim moją obecność, postanowiłem rozszerzyć moją opinię o książce „Ludzie, ludzie cuda w tej budzi...” pisząc „Dopełnienie” (fot. 18). Jego forma i treść odpowiadają laudacji, jaką przygotowuje się w uroczystościach akademickich. W ten sposób chciałem uhonorować panią profesor Halinę Niziołek za jej wysiłek, trud i poświęcenie podczas pisania tego wspaniałego dzieła. Tym dziełem wpisuje się ona w grono najwybitniejszych absolwentów i jednocześnie nauczycieli tworzących wąski krąg ambasadorów „Jagiellonki” poza jej murami.

Wrocław, 2 grudnia 2023 r.

Dopowiedzenie

*Optymistycznym rysem naszej epoki,
piętnowanej często za materializm, jest
fakt, że wybiera ona swych bohaterów
spośród jednostek, których cele leżą
wyłącznie w sferze intelektu i ducha.*

Albert Einstein (1921)

Każdy z nas staje się pisarzem tworzonej przez całe życie jednej i tej samej książki. Bez względu na to, jak bogatą formą ilustrowania posługujemy się, jak wielowątkową staramy się okazać fabułę i jak różnobarwną posługujemy się formą wyrazu, zawsze przekażemy swoim czytelnikom siebie: własne widzenie rzeczywistości, swoją wrażliwość, estetykę, swoją skalę wartości, swoją podmiotowość i doświadczenie wyrażone uogólnioną indywidualną metodologią postępowania.

Upływający czas nie zmienia naszego wnętrza i wizji wewnętrznej, bogaci nasz warsztat pracy, odmienia formy i styl, dobierając inne środki ekspresji, ale nieuchronnie powoduje spadek zdolności twórczych, utratę sił fizycznych podyktowanych procesem starzenia. Co ważne, że upływający czas, a w nim nasze wzloty, upadki, tragedie i triumfy dopełniają tego osobistego dzieła, które swoją pracą, byciem, uporem tworzymy jako „jedno dzieło zebrane”.

Chcąc uczcić spotkanie autorskie Profesor Haliny Niziolek, poświęcone książce pt. „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie...” jej autorstwa, pragnę dopowiedzieć kilka słów, aby dopełnić strony tej Jej „jednego dzieła zebranego”, które w moim odczuciu jest nowym rodzajem wyrazu artystycznego, ukazując całkowicie własną drogę odbiegającą od klasyków literatury. Ta odmienność to chęć uogólnień typowych dla miejsca i czasu (Galicja w czasach obcego systemu komunistycznego) oddziaływania Autorki (Galicjanki), która pragnie ukazać wewnętrzną prawdę faktu, a nie jedynie jego zewnętrzne otoczenie. Prezentowane wartości osadzone są w obrazie przeszłości i teraźniejszości.

Profesor Halina Niziolek swoimi publikacjami udowadnia swoje mistrzostwo, a prezentowanymi zagadnieniami i formą pragnie przekazać czytelnikowi „smak”, „zapach”, „melodię” czasów i miejsc, w których żyła, tworzyła, a obecnie służy intelektualnemu rozwojowi tych, którzy ją słuchają i czytają Jej dzieła.

Autorka jest bliska czytelnikowi, bo wyraża jego oczekiwania i jest z nim wczoraj i dziś. Pochylając się nad prostymi ludźmi nobilituje ich, wiedząc, że to oni tworzą tę nadbudowę i przyszłość narodu. Nie stara się szukać prostych uogólnień, chowając się za obraz zbiorowości. Pokazuje jednostkę, konkretnego człowieka.

To Jej praca, wysiłek, intelekt służy sprawie polskiej szkoły, by nie zniknęła w przyszłości. To co wnosi do polskiej kultury to eksponowanie w niej swoimi utworami Polski regionalnej; tych miejsc, krain, gdzie egzystencja człowieka karmi się wartościami. To Ona prowadzi nas dolinami sumienia, pomiędzy szczytami ideologicznymi, na których rozpościera się relatywizm obyczajowy i moralny. Ona jest pewna, że te doliny prowadzą do ocalenia człowieka i jego świata, jednocześnie ukazuje ciepłą jego stronę, rozciągając nad nami ogólnoludzki horyzont. To czyni Ją wielką, a Jej twórczość to zaświadcza. Natura obdarowała Ją zdolnościami kognitywistycznymi (ang. cognitive science).

Profesor Halina Niziolek książką pt. „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie...” wprowadza naszą szkołę „Jagiellonkę”¹ w kolejne stulecia i nie pozwala o niej zapomnieć, a w nas tchnęła drugą młodość, nie pozwalając zostawić nasze dawne życie za sobą.

Za to jesteśmy Pani Profesor Halinie Niziolek wdzięczni i za to ją szanujemy i podziwiamy.

Jestem przekonany, że dalsze Jej poczynania będą podążać wytyczoną przez Nią drogą, drogą rozwoju „naszej Jagiellonki”, a quo magis veritas propagetur et lux eius, qua salus humani enesis continetur clarin effluat!²

Janusz Chmielewski



Labores pariant honores

***Szanowna Pani Dyrektor,
Mgr Ludmiła Stelmach - Kołodziej***

Spółeczność licealna akceptując wybór na stanowisko Dyrektora honoruje Panią i uznaje, że może Pani służyć za wzór w poznawaniu i przekazywaniu prawdy.

Ten wybór to zaszczyt dla Pani, jak i dla I liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy.

To Pani szlachetność, inteligencja i wytrwałość, hartowane przez długie lata w surowej szkole moralnej środowiska z którego Pani pochodzi, i życie wypełnione czynem, zaprowadziły Panią do tego zaszczytu. Pragnę aby wsłuchiwała się Pani w głos społeczności licealnej, bowiem to umocni wzajemne zaufanie i mobilizować będzie do wspólnego dzieła na rzecz Liceum, którym dane jest Pani kierować. To pozwoli Pani stać się człowiekiem niezłomnej nadziei, która czerpie siłę z ufności do współpracowników, z którymi dane jest Pani współdziałać. To zbuduje trwałą emocjonalną i merytoryczną więź z Pani osobą. Wyrazem tej synergii będzie obecność wokół Pani licznej grupy tych przedstawicieli Szkoły, którzy dobro Liceum stawiają ponad własne partykularne interesy.

Życzę Pani dobrego zdrowia i wszelkiej pomyślności w sprawowaniu posługi na rzecz środowiska licealnego. Jestem przekonany, że Pani osobowość, dbałość o zachowanie wysokich norm moralnych, życie wypełnione czynem, w pełni pozwoli Pani zrealizować w murach Liceum starą rzymską maksymę „plus ratio quam vis”, a tym samym pogłębić podmiotowość w kierowanej przez Panią społecznością licealną.

Niech *Uniwersalne prawa życia* Sir Johna Templetona będą drogowskazami w szukaniu sposobów wykorzystania własnych zdolności i zdolności tych, z którymi będzie Pani chciała dyskutować i kształtować rzeczywistość Liceum.

Jestem przekonany, że Pani działania będą podążać wytyczoną drogą wiodącą do rozkwitu I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, szkoły która ukształtowała moją osobowość.

Z wyrazami szacunku i sympatii

Dębica, 2.12.2023



Dedykacja dla pani dyrektor Ludmiły Stelmach-Kołodziej zamieszczona w przekazanym upominku.





Podarunek przekazany pani dyrektor Ludmile Stelmach – Kołodziej.



Podczas uroczystości nie brakowało podziękowań, wzruszeń i serdeczności.



Podczas moich refleksji z lat szkolnych.

W trakcie uroczystości 2.12.2023 roku w podziękowaniu za nominowanie mnie do nagrody „Honorowy Obywatel Miasta Dębica” pozwoliłem sobie wręczyć w obecności społeczności dębickiej upominek pani dyrektor Ludmile Stelmach-Kołodziej. Była to książka Sir Johna Templetona słynnego inwestora z Wall Street i filantropa pt. „Uniwersalne Prawa Życia” w których zebrał mądrości stanowiące zbiór praw życia, które przekazuje ludziom, chcącym dzielić się swoimi zdolnościami z drugim człowiekiem, aby wspól-



Karczma w Zawadzie

nie kształtować rzeczywistość. To on ufundował najwyższą na świecie (w 2005 r. wynosiła 1,1 mln funtów) nagrodę przyznaną za wybitne osiągnięcia w badaniach duchowości człowieka. Dotychczas jedynym Polakiem uhonorowanym tą nagrodą w 2008r. jest ks. prof. Michał Heller z Tarnowa za pokonywanie barier między nauką a religią. W książce tej zamieściłem dedykację.

Pisząc wspomnienia, trudno nie wspomnieć o swojej klasie, a stosownym momentem niech będzie zjazd



Wejście do karczmy w Zawadzie.

klasowy, który był zorganizowany 21.09.1996 r. To po dwudziestu pięciu latach, chcieliśmy i potrafiliśmy się spotkać. Impreza miała miejsce w przydrożnej karczmie przy drodze E-40 w Zawadzie. Karczma - z przełomu XVIII



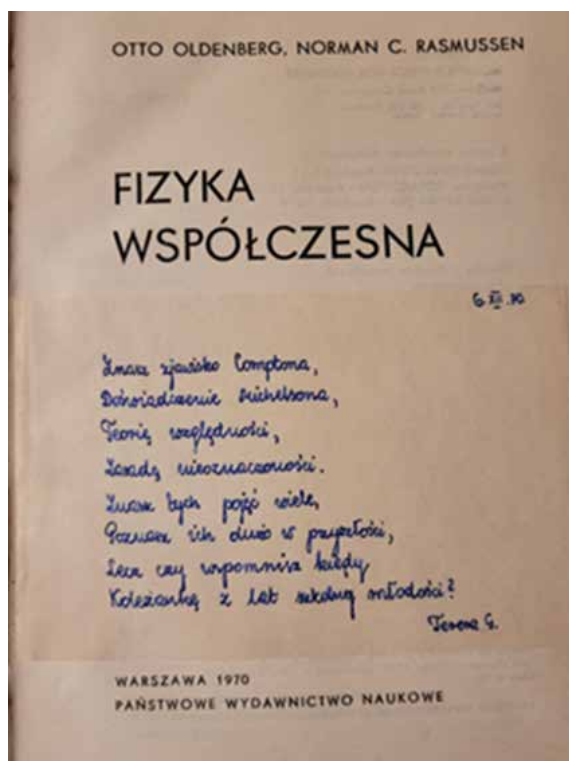
Spotkanie klasowe w Zawadzie, od lewej stoją widoczni Józef Kolbusz, Krystyna Kubicka- Kuchnik, Ula Karpińska-Gawlik, Elżbieta Konieczna-Wilk, Genowefa Magdziarz-Rzepka, Małgorzata Korga-Fabrowicz, Krystyna Cuper-Niedzielska, Janusz Golus, Bogusława Kaciłowicz- Łazarz, Teresa Gac-Wojtasińska, Krystyna Świetlik-Jabłońska, Anna Litak, Czesław Skupnik (ś.p. 2017 r.); niewidoczni: Ewa Zapart-Skupnik (ś.p. 2013 r.) i z czarnymi włosami to Ula Karpińska-Gawlik; kucają: Janusz Mroczka, Wanda Bielawska-Brześcińska, Tomasz Gawlik (ś.p. 2015 r.) i Jola Składzień-Garbal (ś.p. 2017r.); za grupą stoją: Edward Wielgocki i Włodzimierz Leginowicz.



Spotkanie klasowe w Zawadzie, mimo zmęczenia trudami podróży bawiłem się wspaniale.

i XIX wieku – murowana, z drewnianym podcieniem nakryta czterospadowym dachem „polskim” zaliczana jest do najpiękniejszych zabytków architektury i budownictwa ziemi dębickiej.

W 1970 były w niej kręcone filmy np. „Ojciec Królowej”, „Przypadki starościna Wolskiego”. Na ich potrzeby karczma została przebudowywana w stylu barokowym. Dla mnie było to duże logistyczne wyzwanie, bo o zjeździe dowiedziałem się stosunkowo późno, a koleżanki nie miały mojego adresu we Francji. Ale szczęście mi dopisało. Z Paryża do Warszawy i z Warszawy do Rzeszowa dotarłem samolotem, a z Rzeszowa do Zawady taksówką.. Spóźniony o ponad godzinę dołączyłem do bawiących się.. Na początku zostałem wypytany, jak wszyscy wcześniej, co robię, gdzie mieszkam, czy mam rodzinę itp. Kolejno musiałem rozpoznać i wymienić nazwiska obecnych. I tu, ku za-



Dedykacja Tereski Gac-Wojtasińskiej w upominku nikolajkowym z okazji mojego finału w olimpiadzie fizycznej (jako pierwszego finalisty w historii liceum).

skoczeniu wszystkich, wymieniałem bezbłędnie wszystkich.

Jak widać było, ten okres 25 lat nic fizycznie nas nie zmienił. Mentalnie właściwie też nie. Ci z ambicjonalnymi słabościami pozostali w swoim świecie kompleksów, co można było odczuć w zadawanych pytaniach. A po uzyskanych odpowiedziach, dawali upust swoim sarkastycznym komentarzom (i to w kulisach) pozostając mentalnie w czasookresie liceum i miejsca, z którego wyszli. Mimo tego, atmosfera spotkania była rodzinna i serdeczna.

Bawiłem się wspnianie, co zaświadczaają zdjęcia. Do dnia dzisiejszego nieprzerwany kontakt od szkoły podstawowej mam z Krystyną Cuper (po mężu Niedzielska) a w ostatnim czasie też z Tereską Gac (po mężu Wojtasińska),



Z Krystyną Cuper-Niedzielską podczas uroczystości w auli liceum.



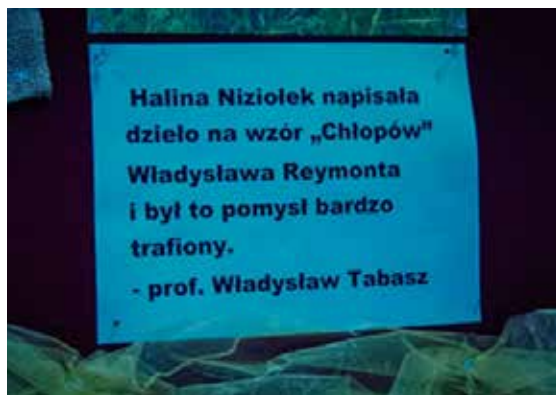
Tablo mojej klasy.

która w liceum była przewodniczącą mojej klasy. Po dostaniu się do finału olimpiady fizycznej w 1970 r. jako upominek mikołajkowy otrzymałem od niej książkę „Fizyka współczesna” z piękną dedykacją (fot 27). Taka była Tereska.

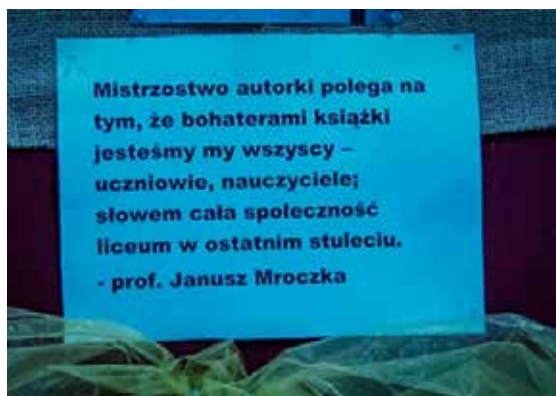
Kiedy odwiedzałem mamę w Dębicy, często robiłem zakupy w piekarni Rostoczyńskich. Wracając, wstępowałem do Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej przy ulicy Rzeszowskiej, gdzie pracowała Krystyna Cuper (fot. 28). Wspominaliśmy lata szkoły podstawowej i średniej. Ona, jako mieszkanka Dębicy, była na bieżąco zaznajomiona z różnymi faktami i wydarzeniami z Dębicy, o których chętnie słuchałem. Ostatnio Krystyna opowiedziała mi, że spotyka się z panią Haliną Niziołek w Dyskusyjnym Klubie Książki przy Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej przy ul. Akademickiej oraz na zajęciach Dębickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. To miła wiadomość, że absolwenci liceum różnych pokoleń wciąż się spotykają.

Kiedy podczas uroczystości 100-lecia poznałem Augusta Kowalczyka, uświadomiłem sobie, że szkoła w okresie okupacji łączyła również moją

mamę z Krzysztofem Pendereckim i Tadeuszem Łomnickim, których ja w latach osiemdziesiątych minionego stulecia poznałem osobiście. I tak rokrocznie na Starym Cmentarzu w Dębicy, kiedy Krzysztof Penderecki przychodził zapalić znicza na grobowcu Selbiraków vis-a-vis naszego grobowca Mroczków i Łukasiewiczów i z mamą wymieniali wspomnienia z dawnych lat. Tadeusza Łomnickiego poznałem w moim mieszkaniu we Wrocławiu przy ul. Rogowskiej, kiedy w towarzystwie Stanisława Nowaka - działacza związkowego Australii (wujka mojej żony) przybył do nas wraz z bratem Janem. Stanisław Nowak jako młody człowiek opuścił kraj z Armią Andersa. Po wojnie, wykształcił się w Anglii w dziedzinie nauk politycznych, po czym podjął pracę w Australii. Jego koleje losów opisuje Olgierd Budrewicz w książce „Wśród polskich kangurów”. Przez wiele lat nie dawał znaku życia. Nie utrzymywał kontaktów z Polską. Jako nieznany dla mojego pokolenia zjawiał się na moim ślubie w czerwcu 1980 r. To przez niego poznałem i zaznałem się z braćmi Łomnickimi. W latach osiemdziesiątych minionego stulecia kilkakrotnie odwiedzałem Tadeusza Łomnickiego w jego domu w Warszawie przy ul. Piwnej 21/23. Dzisiaj mogę powiedzieć, że „świat jest mały”, gdyż bratanica Krzysztofa Pendereckiego Iza pracuje z moją córką Justyną w Studium Języków Obcych Politechniki Wrocławskiej.



Cytat prof. Władysława Tabasza.



Cytat z myśli autora.

Kiedy podczas uroczystego spotkania autorskiego zobaczyłem na scenie dwa cytaty – jeden ze słowami prof. Władysława Tabasza – przyszła mi do

głowy refleksja, która zrodziła pytanie: co różni Halinę Niziołek od Władysława Reymonta. Obydwoje napisali epopeje: Reymont „Chłopów”, choć ani on sam, ani jego ojciec nie uprawiali ziemi, „Ziemie obiecane” o przemysłowej Łodzi, w której nigdy nie mieszkał, Halina Niziołek - „Poła zielone, wciąż widzę je...” opisując wioskę Bobrowę, w której się urodziła, spędziła dzieciństwo i młodość, „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie...” o szkole, gdzie się uczyła, a później już jako wykształcona polonistka uczyła młodzież licealną.

Reymont 13 listopada 1924 r. został ogłoszony laureatem Literackiej Nagrody Nobla (jak donosi literatura i na tej Reymontowskiej ścieżce spore znaczenie miał szczęśliwy zbieg okoliczności).

Halina Niziołek 29 listopada i 2 grudnia 2023 r. w instytucjach publicznych Dębicy miała swoje spotkania autorskie (i jak widzimy w retrospekcji minionego czasu, nie ma szczęścia do nagród). Czy nie warto temu szczęściu wyjść naprzeciw?

Halina Niziołek swoimi utworami pokazuje, że widzi dalej niż pozwala na to współczesna jej codzienność. Jest perfekcjonistką obranej dziedziny życia, prekursorem wyprzedzającym swoje czasy tak bardzo, że jej utwory mogą być inspiracją dla młodych umysłów i przyszłych pokoleń. Współczesny czas to urealnienie technicznych marzeń człowieka, który nie odczuwa z tego powodu szczęścia, a doświadcza coraz więcej dylematów. Świat obecny przekraczając ograniczenia rozumu – staje w obliczu totalnej destrukcji. Swoją twórczością, w postaci literatury z opisem regionalnych, społecznych zachowań, autorka podnosi poziom refleksji nad intelektualną i duchową kondycją człowieka współczesnego. Czyni go tym samym odpowiedzialnym za dialog tradycji ze współczesnością w takich egzystencjalnych kategoriach, jak praca, twórczość, wolność, piękno. To jej książki ukazują drogi do samorealizacji człowieka jako osoby i bytu w społeczeństwie. Jako nauczycielka i wychowawczyni, Halina Niziołek uczyła i wychowywała ku przyszłości. W swoim niekiedy pryncypialnym dydaktyzmie szukała dobra w sobie i wokół siebie, realizując trudne zadania pielęgnowania miłości do innych.

Oprawę artystyczną uroczystości dnia autorskiego w murach liceum przygotowali uczniowie wraz z gronem pedagogicznym. Przybyłych licznych gości powitała dyrektor liceum Ludmiła Stalmach-Kołodziej. Na część artystyczną, składały się piosenki z repertuaru Zbigniewa Wodeckiego, np. „Lubię wracać



tam, gdzie byłę” czy piosenka do słów Wisławy Szymborskiej „Nic dwa razy się nie zdarza”. Młodzież odczytywała wybrane fragmenty książki pt. „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie...” ze wszystkich rozdziałów, których treść była połączona z fotografiami zamieszczonymi w książce, a także widokami dawnej i współczesnej Dębicy. Tak przygotowana część artystyczna harmonizowała z odczytywanymi laudacjami, podziękowaniami, limerykami, wygłaszanymi przez uczniów, nauczycieli i przybyłych gości. Całość dopełniały liczne utwory muzyczne zespołu muzycznego z liceum. W atmosferze wdzięczności, wzruszeń i wspomnień autorka podpisywała swoje dzieło.

Z podziwem przyglądałem się tej wspólniejszej uroczystości. To piękna impreza, gdzie młodzież i ich nauczyciele swojej dawnej nauczycielce przygotowali ten występ. To prawdziwy prezent. Tym występem licealna młodzież zaprezentowała swój artystyczny profesjonalizm, a w interakcji z gronem nauczycielskim prawdziwy dydaktyzm. Cisnęły się do oczu łzy, a na usta słowa pieśni hymnicznej, pochwalnej o apostroficznym charakterze, chwalać wydarzenie oraz idee tej uroczystości „Gaudeamus igitur” („Radujmy się więc”).



Ja wśród polonistek uczących w liceum, od lewej: Sylwia Szuba-Cyran, Dorota Stępień, Ewa Nowacka, Katarzyna Zalewska, Renata Maciejowska.



Na pierwszym planie absolwentka Maryla Fidzińska, za nią poeta Roman Misiewicz, a następnie absolwenci, od lewej: Marta Pocica, Marcin Grecki, Joanna Niemiec, Jacek Niziołek, Dorota Niziołek; po środku: Anna Mazur (z perłami) – radna powiatu dębickiego.



Nauczyciele emerytowani: Anna Dominiak, Lucyna Bączek, Ryszard Kulig.



Pani dyrektor Ludmiła Stelmach-Kołodziej w zadumie nad przeszłością i tym, co jeszcze przed nią.



Na pierwszym planie od lewej: Ewa Kocoń i Zofia Zuber; po środku Dorota Lauria-Zalaśńska (w zielonym żakiecie) – skarbnik Rady Rodziców I LO w Dębicy; z tyłu absolwenci, m.in. Roman Misiewicz z żoną – poeta, uczeń Haliny Miziołek.



Z prawej strony Jerzy Kula, za nim Władysław Bielawa – radny Powiatu Dębickiego, a za nim Grzegorz Reguła – wicewójt Gminy Żyraków, po lewej od niego Stefan Bieszczad – honorowy Prezes Stowarzyszenia Wspólnota Ziemi Dębickiej; pierwsza z lewej Bożena Zielińska (w czerwonym żakiecie) – dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Dębicy.



Po mojej prawej stronie profesor Halina Niziołek, po lewej Piotr Chęciek – Starosta Powiatu Dębickiego; z tyłu za mną po lewej stronie Edward Wodzień – były uczeń i nauczyciel liceum.

Sto dwudziesta piąta rocznica powstania Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy uświadamia nam, przez jakie burzliwe czasy przeszła nasza szkoła i jej uczniowie. Dwie wojny światowe, odrodzenie się polskiej niepodległości i jej czwarty rozbiór to realia życia tamtych pokoleń i ich niełatwe status quo.

Mamy świadomość faktu, że przez opóźnienia wojenne i postkomunistyczne nie zawsze potrafimy nadążyć za światowym rozwojem technicznym, a zauroczeni nim tracimy ciągłość własnej, tradycyjnej kultury, i to zarówno technicznej, jak i humanistycznej. Musimy pamiętać, że to kadra nauczająca w szkołach jest odpowiedzialna za stan i przyszłość techniki polskiej, ale i za rozwój i odrębność polskiej kultury. W dyskusjach ze swoimi wychowankami, w których to upatrujemy realizację pokoleniowego przeskoku, winniśmy im uświadamiać, że istotnym zmianom merytorycznym kształcenia towarzyszyć powinny odpowiednie zmiany organizacyjne szkoły. Musimy też pamiętać, że istotnym i dominującym zagadnieniem winna być sprawa podmiotowości, którą wypracowujemy wszędzie, w różnych miejscach pracy. Szkoła – jako miejsce pracy poznawczej, działająca wedle wielorakiej metodologii, jest też szczególnym miejscem ugruntowania własnej podmiotowości. Powinien jej służyć każdy, bowiem to określa wymóg wolności środowiska nauczycielskiego. Autonomia szkoły to wyraz prawdy poznawanej i przekazywanej, to organiczny warunek podmiotowości całej społeczności, dla której szkoła spełnia swoje zadanie.

Po uroczystościach w auli liceum, w obecności pani Ludmiły Stelmach-Kłodziej udałem się do muzeum szkolnego. W progu powitała nas pani Maria Trojanowska, prowadząca to muzeum. W skupieniu i z zainteresowaniem oglądałem zgromadzone eksponaty i pamiątki przekazane przez byłych absolwentów i innych ludzi, dla których liceum to świadomość wyzwań jutra, spleciona z pamięci, tradycji i wielopokoleniowych doświadczeń „Jagiellonki”. Podczas pobytu dane mi było zasiąść w drewnianej uczniowskiej ławce. Wyróżniony zostałem pamiątkowym krzesłem, na którym złożyłem autograf. Pierwsze takie pamiątkowe krzesło znajduje się w muzeum z podpisem Krzysztofa Pendereckiego.

Zbliżając się do końca moich wspomnień, nie mogę ukryć, że chyba uwierzyłem w ich tzw. „społeczną funkcję”, mimo że nie w pełni wierzę w obiektywizm



piszących, czego doświadczyłem, czytając niektóre wspomnienia wydane w 2000 r. na 100- lecie szkoły. Piszący niekiedy świadomie czy nieświadomie nagina je do ideału swojej osoby. To naturalny odruch każdego człowieka, bo to on jest swoim własnym „ja”. A ogarnąć pamięcią ponad pół wieku to nie lada wyzwanie, choć - jak pisał Winston Churchill: „ Nic łatwiejszego jak spisywać wspomnienia, które zupełnie wyleciały z pamięci...”.

Wplatając nutę krytyki w swoje refleksje, nie szukam konfliktu (dlatego nie piszę np. imion czy nazwisk tych - mi nieprzychylnych).

Pisząc wspomnienia, chcąc nie chcąc staję się podmiotem mówiącym.

To daje mi prawo krytycznie odnieść się do społeczności szkoły moich lat jako zbiorowości postaw i zachowań. Uważam, że dość często nieświadomie powielamy schematy wpojone nam przez bliżej nieznane zbiorowości. Podążamy za tłumem, działamy za wszelką cenę. Jako jednostki, nie czujemy się przez to wolnymi. Myślę, że należy znaleźć czas na refleksję. - *Contemplata aliis tradere* (to co przemyślane i przekontemplowane winno być przekazy-



Dzięki uprzejmości pań bibliotekarek zapoznałem się kronikami szkoły.



Ponownie w ławce szkolnej, jak za dawnych lat.



Składanie autografu na muzealnym krześle.



Wspólnie z panią dyrektorką Ludmiłą Stelmach-Kołodziej trzymam podarowane mi krzesło z moim podpisem.

wane), jak głosi przekaz dominikański. To nas wyzwoli i pozwoli widzieć rzeczywistość w innych barwach. Umożliwi zauważyć zagrożenia, jakie niesie zaniechanie rozwoju etycznego człowieka, zniekształcenie pojęcia wewnętrznej wolności, wyrażającej się w krytycznym myśleniu, z jednoczesnym demonizowaniem cybertechnologii, sztucznej inteligencji itp. Chwałę szkołę jako „bastion” najważniejszych wartości: patriotyzmu, tradycji, szacunku, języka i sztuki. To w murach szkoły winno przeciwstawiać się powierzchownemu traktowaniu kategorii egzystencjalnych, takich jak praca, twórczość, piękno, wolność, widząc w nich drogi do samorealizacji człowieka jako osoby i bytu w społeczeństwie. W młodzieży należy wykształcać także ironiczny dystans do tyranii opinii publicznej, skupiając uwagę na najważniejszych wyzwaniach stojących przed pragnącym żyć odpowiedzialnie, mądrze i pięknie młodym człowiekiem.

Starajmy się, aby szkoła i społeczność szkolna znaczyły to samo, bowiem wtedy wypełni się nasza misja i powołanie służenia człowiekowi. Jak pamiętamy, Norwid wyraźnie rozgraniczał naród od społeczeństwa; i miał rację. Dla

mnie ten wielki romantyczny twórca to geniusz, którego jeszcze do końca nie w pełni rozumiem. To on sytuował człowieka - który winien hołdować najważniejszym wartościom, takim jak dobro, prawda i miłość - w centrum świata. Pozostając w intelektualnej przestrzeni Norwida, zbliżam się do końca moich wspomnień:

*Przeszłość – to jest dziś,
Tylko cokolwiek dalej.
Nie jakieś tam coś, gdzieś,
Gdzie nigdy ludzie nie bywali.*

C.K. Norwid

Swoimi wspomnieniami pragnę wykazać, że nie byłem dotknięty żadną mutacją odwiecznego kompleksu polskości. Mój czas i miejsce były i są zawsze dla mnie właściwe. Idąc przez życie byłem „wyprostowany wśród tych co na kolanach”. Myślę, że Pan Cogito Zbigniewa Herberta jest w wielu w nas, a to istotne w tej wyobcowanej otaczającej nas rzeczywistości. Uważam, że jedynym sensem ludzkiej egzystencji jest etyka postępowania i szacunek do tradycji.

Napisanie tych wspomnień miało sens, a dokonane selekcje epizodów z mojego licealnego życia w których bezpośrednio uczestniczyłem, i wprowadzone moje historyczne dygresje miały zarysować ogólniejsze tło czasów, w których przyszło żyć mnie i mojemu pokoleniu. Dużą część mojego życia dane mi było spędzić w systemie komunistycznym, ale doczekałem się jego spektakularnego upadku i chwili, kiedy wolna Polska przestała być marzeniem, a stała się rzeczywistością. To ciekawy obraz historyczny w moim pokoleniu. Ten spektakularny upadek komunizmu rozpoczął się w Polsce i odbył się bez rozlewu krwi, co moim zdaniem to pierwszy epizod, kiedy Polacy okazali się mądrzy przed szkodą, choć niektórym politykom, publicystom, pisarzom brakowało szczęku oręża, łomotu sztandarów. Brak w tym wszystkim hekatombi, część elit politycznych te spektakularne osiągnięcia traktowało, z lekceważeniem i nie wiem, czy nie z pogardą.

Jestem przekonany, że wspomnienia stają się przeszłością żywą, w naszej zbiorowej pamięci, zaświadczać o naszej narodowej tożsamości, jednocześnie uzasadniając nasze już teraz bycie w rodzinie narodów europejskich. Tym sposobem uruchamia się mechanizm odnawiania życia poprzez następstwo



pokoleń. I tu dotykam problemu nikłej znajomości wiedzy historycznej przez młode pokolenia. Nie można żyć przeszłością, ale należy wiedzieć, że historia uczy nas unikać błędów przeszłości, wiedząc jednocześnie, że manipulacja pamięcią historyczną wykorzystywana jest w doraźnej walce politycznej.

Pisząc wspomnienia, najczęściej odnosimy się do ponurych chwil naszej przeszłości licząc, że teraźniejszość, choć ulotna, nieuchwytna, będzie lepsza. W ten sposób opowiadamy się po stronie dobra, mimo że po drodze zmagamy się z cierpieniem, które jest nieuniknionym atrybutem doczesności.

W relacji skutek – przyczyna to cierpienie rodzi w nas empatię, altruizm i sytuuje nas w opozycji do zła.

Uważam, że warto utrwaląć czas miniony w formie subiektywnych wspomnień.

Ten nasz indywidualny czas niech płynie i my winniśmy korzystać z tego, zanim nie nastąpi szekspirowskie milczenie, cisza wszechogarniająca i wieczna.

To byłem mojej szkole winien.

Janusz Mrocza

Wrocław, 27 kwietnia 2025 r.



HALINA NIZIOŁEK

Wspomnienie z peregrynacji profesora Janusza Mroczi „Zza siedmiu gór i rzek”,
czyli z dalekiego Wrocławia do rodzinnej Dębicy.

*„Zatęsknisz do rodzinnych stron
I wrócisz tu, wrócisz, gdzie twój dom [...]
Powrócisz tu, zza siedmiu gór i rzek [...],
Powrócisz tu, by szukać swoich dróg i gwiazd...”*
Janusz Kondratowicz

15. 10. 2024 r.

Jak pędzi ten czas. Tak niedawno szacowne I Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy świętowało swe setne urodziny, a tu już minęło kolejnych 25 lat. W owym czasie, gdy po zakończeniu pracy zawodowej przeszedłam na zasłużoną emeryturę, zdarzyło się w moim życiu wiele rzeczy, w tym napisanie dwu książek; „Poła zielone wciąż widzę je... i „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Promocja tej ostatniej - najpierw w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Dębicy, która wydała książkę, a potem w moim liceum - była dla mnie ogromnym przeżyciem. Chciałabym jeszcze raz ożywić tamte wspaniałe dwa dni. Ale jak to zrobić? I kto zechce czytać wspomnienia z przeszłości - choćby niedalekiej - gdy wokół dzieje się tyle fascynujących wydarzeń?

Najpierw sięgnęłam więc do literatury. I tu przyszedł mi z pomocą wybitny pisarz amerykański William Faulkner, który twierdził, że „wystarczy pokazać jeden gest, cień gałęzi. I pozwolić, aby umysł sam stworzył drzewo”. Tak, to był świetny pomysł...

2. 12. 2023 r.

Wczesnogrudniowy poranek zazwyczaj bywa ponury, szary, czasem słotny. Ten oślepiał bielą. Nocą spadł pierwszy, naprawdę obfity śnieg. Wokół panowała jakaś uroczysta cisza, rozpraszająca myśli. Jak pięknie za oknem, jak baśniowo!



Czy to sen?

Nie, to nie był sen, to jawa najprawdziwsza z jaw!

Tylko czasami zdarzają się takie świty - niespodzianki.

Odpędzając z oczu resztki snu, profesor Janusz Mroczka uświadomił sobie, że jest w Dębicy, że został ulokowany w najbardziej chyba prestiżowym hotelu tego miasta o wdzięcznej nazwie „Gold” - z wygodnymi pokojami, świetną kuchnią i przemiłą obsługą i że za oknem rozciąga się widok na jego miasto - Dębicę, której tak dawno nie odwiedzał.

Zaproszony kilka tygodni wcześniej przez władze miasta, które przyznały mu prestiżowy tytuł Honorowego Obywatela Dębicy, zjawił się w owej krainie dzieciństwa i młodości, która - jak to pięknie napisał Mickiewicz - „na zawsze zostanie święta i czysta jak pierwsze kochanie”.

Wspomnienie Mickiewicza przywołało obraz ukochanej mamy, recytującej z pamięci fragmenty „Pana Tadeusza”; natychmiast też przypomniało mu strofy:

„Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy

I w Ostrej świecisz Bramie [...]

... tak nas cudem powrócisz na ojczyzny łono”...

Dębica - Mała Ojczyzna. Przywrócona już na zawsze. Tak, cudem.

Kilkanaście dni temu też patrzył przez to samo okno w dębickim hotelu „Gold”, choć oglądany pejzaż był wówczas zupełnie inny: późnojesienny, szary i mglisty...

Rosnący tuż za balkonem wysoki modrzew żałośnie zwieszał bezigłowe, mokre gałęzie, jakby wstydząc się swej brzydoty, kontrastującej z eleganckim szpalerem ciemnozielonych iglaków rosnących w pobliżu. Uliczne latarnie wydobywały z szarości ulicę Sportową, której zupełnie nie znał i wyłaniające się zza bezlistnych drzew bure ściany szeregowców. Z prawej strony widok przesłaniał mur nowego - II Liceum. Wszystko tu było obce, ponure, smutne; więc dlaczego serce biło mocniej i zawładnęły nim jakieś zapomniane uczucia?

Uśmiechnął się do swych myśli. Znów był w „swojej” Dębicy, już jako jej Honorowy Obywatel. A przecież jeszcze tak niedawno nawet nie przyszłoby mu to do głowy!



Teraz - potracony jakąś czułą nutą sentymentalny obraz - całkowicie zawładnął jego wyobraźnią.

To przecież stąd, z Dębicy, jako młody chłopak - pełen śmiałych planów - wyruszył do dalekiego Wrocławia, by tam rozpocząć studia i spełniać swe marzenia. Szybko się tam zadomowił, otoczył kokonem wiedzy, która umożliwiała zdobywanie licznych sukcesów, pozwalała realizować się w świecie nauki, żyć wspaniale, bogato, szczęśliwie, sensownie, z satysfakcją. Porwała go pasja twórczego działania w tworzeniu zupełnie nowej gałęzi wiedzy: metrologii elektronicznej i fotonicznej.

Zdobywał kolejne tytuły, odznaczenia, pełnił różne prestiżowe funkcje. Ułożył sobie szczęśliwie życie, w którym ważne było „tu i teraz”, bez potrzeby wracania do świata dalekiego dzieciństwa i wczesnej młodości. Z tamtym światem pożegnał się już w czasie studiów.

W Dębicy zostały tylko groby najbliższych.

„Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe” – mawiał słowami Adama Asnyka. Znajomość wierszy tego poety na pewno ucieszyłaby byłą polonistkę z liceum – panią Czesławę Ryszawę, niezbyt ufającą w jego humanistyczne zdolności.

JEGO LICEUM.

To tu zdecydował się wrócić, zaproszony przez dyrektor szkoły panią Ludmiłę Stelmach-Kołodziej na promocję książki „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” mojego autorstwa.

Nieśmiały brzask rozjaśnił pejzaż za oknem. Rosnący tuż za balkonem modrzew, pokryty grubą warstwą śniegu już nie wyglądał żałośnie, a dumnie i majestatycznie, jak zresztą wszystkie inne drzewa i krzewy odziane w śliczne, białe czapy. Zaśnieżona ulica, zaśnieżone samochody, zaśnieżone domy, pełno śniegu na balkonie...

I ten śnieg wciąż padał, wirując w powietrzu jak myśli, których natłok burzył spokój profesora; tak przecież cenny i zasłużony.

Jeszcze raz uśmiechnął się na wspomnienie dnia, gdy dzięki tej książce wrócił wspomnieniami i sercem „na swej Małej Ojczyzny łono”.

Tamten telefon kompletnie go zaskoczył. Zajętego sprawami nauki, którą sam stworzył i którą rozwijał, kierując katedrą metrologii elektronicznej



i fotonicznej (założoną przez niego 30 lat po „Marcu 68”, jako jedyną na Politechnice Wrocławskiej), ktoś nieznany - z dalekiej Dębicy - poprosił o napisanie recenzji książki „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

- Leszek Klabacha – przedstawił się dzwoniący, po czym - przeprosiwszy za śmiałość - wyłożył sprawę i mimo że usłyszał w słuchawce wahanie profesora, przesłał mu tekst książki.

Profesor, trochę niezadowolony z zakłócanie mu spokoju, od niechcenia otworzył otrzymany plik i zaczął czytać:

„Widoczny z rynku dostojny, okazały gmach dębickiego liceum przy ulicy Słowackiego, choć nieco nadkruszony zębem czasu, robi wrażenie, budzi szacunek, wywołuje zadumę i nostalgię. Ileż wspomnień zostało uwięzionych w tych znajomych murach! Ileż ech przeszłości! Ileż pustych miejsc po młodzieńczych porywach serca, po umarłych miłościach, po smutkach i nadziejach, radościach i rozczarowaniach!”

Usadowił się wygodnie w fotelu. Nagle osaczyły go wspomnienia, pojawiła się ciekawość, ogarnęło wzruszenie.

W książce znalazł również swoje szkolne wspomnienia. Już zapomniał, że kiedyś je napisał:

„Uczniowie mojej klasy pochodzili z różnych grup społecznych [...], reprezentowali rodziny bardzo różniące się stopniem zamożności i warunkami, w jakich w młodości byli wychowywani i dorastali. Pomimo to, szybko zawiązały się różnego rodzaju przyjaźnie”.

- Młodzieńcze przyjaźnie... Gdzieś się rozwiały - pomyślał.

Mijały godziny, noc przechodziła nad światem w welonie utkany z mgieł i mroku, a w gabinecie profesora, pełnym naukowych dzieł, różnych dokumentów i bibelotów nagle otworzyła się jakaś magiczna przestrzeń, która przywoływała coraz nowe obrazy młodości górnej i chmurnej, cudownej i bolesnej, serdecznej i żywej...

Pewnie to były odczucia podobne do tych, jakie przeżywał nasz poeta Władysław Broniewski, który wraz z armią Andersa znalazł się w Palestynie.

Usłyszawszy pewnego dnia niespodziewanie „Mazurek Szopena”, niezwykle się wzruszył, co stało się inspiracją powstania pięknego wiersza, w którym pisał:



„I nagle -
 „Mazurek Szopena” w Jerozolimskim zaułku...
 Gra dobrze nieznany pianista melodię sercu znajomą.
 Nuta srebrzysta i czysta, nuta z kraju i z domu [...] wraca do nas serdeczna, ale jakaś zatruta”...

Wspomnienia z czasów młodości, podszepty serca sprowokowane czytanim tekstem, były właśnie jak owa „melodia sercu znajoma” i tak samo serdeczna, choć też trochę jakaś zatruta...

Wizje, zjawy licealnych rojeń, zapomniane postacie, dawne wzruszenia obśiadły całą przestrzeń gabinetu, a serce Profesora zatrzepotało jakoś tak, jak w młodości. W uszach zadźwięczała piosenka z radia:

„Zatęsknisz do rodzinnych stron
 I wrócisz tu, wrócisz, gdzie twój dom...”

Czytał dalej, przypominając sobie siebie z tamtych lat:

„Byliśmy beczelnie młodzi i beczelnie radośni, silni i żądni przygód, a ta nasza młodość szumiała w nas jak wezbrana rzeka. Światłe umysły i gorące serca, młodzieńcze dusze - w których szaleństwo i płomienie, gdy wszystko jeszcze jest możliwe - to uskrzydlało nasze dnie i noce. Z niefrasobliwością, ufnością i wiarą patrzyliśmy w przyszłość, która była utkana z naszych marzeń i snów. Nieśliśmy w sercach radość i nadzieję, chcieliśmy żyć zachłannie...”

Oczy oszklone łzami, zamknęły się dopiero o świtanium.

Recenzja pisała się sama.

“Zabiegani, zmęczeni codziennością – trudno nam znaleźć sposób, jak zachować spokój w zmieniającej się rzeczywistości....

[...]

Bohaterami książki jesteśmy my wszyscy - uczniowie, nauczyciele, słowem cała społeczność liceum w ostatnim stuleciu”.

Obudzony na nowo dawny świat nie dawał o sobie zapomnieć. Profesor zrozumiał, że miał rację Oscar Wilde, pisząc: „Możesz się uważać za bezpiecznego, silnego. Lecz przypadkowy telefon, zobaczenie jakiejś barwy w po-koju lub na porannym niebie, specjalna jakaś woń niegdyś przez ciebie lubiana, przynosząca ze sobą subtelne wspomnienia, wers zapomnianego utworu, który kiedyś czytałeś, urywek melodii - wierzaj mi, że od tych szczegółów zależy nasze życie”.



I to był początek „powrotu cudem” do swej Małej Ojczyzny. Okazało się, że „przeszłość nigdy nie umiera, nie jest nawet przeszłością” [William Faulkner], a podszepty serca mogą niekiedy zawładnąć nami całkowicie.

Dzięki tej recenzji zostały odnowione dawne szkolne przyjaźnie, nawiązane nowe znajomości, wciągnęły profesora nowe sprawy i nowe wydarzenia.

Pani dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy Ludmiła Stelmach-Kołodziej wystąpiła z wnioskiem o nadanie profesorowi Januszowi Mrocze tytułu: „Honorowy Obywatel Dębicy”.

Któż inny byłby godny tego miana?

Miał dołączyć do zacnego grona wyróżnionych, wśród których byli wielce zasłużeni dla Dębicy: Eugeniusz Kwiatkowski, Krzysztof Penderecki, Jan Łopuski, Zbigniew Lazarowicz, ks. Józef Dobosz.

Radni miejscy, po zapoznaniu się z sylwetką, biografią i dorobkiem naukowym kandydata, nie mieli wątpliwości. To duma i zaszczyt dla naszego miasta taka „sława polskiej nauki”!

Profesor przybył do Dębicy z żoną Ewą, ciesząc się, że ma taką wspaniałą okazję zobaczyć po latach swoje miasto. Spacerował uliczkami, oglądał rynek, swój rodzinny dom, wciąż stojący przy ulicy Profesora Tadeusza Gawrysia [dawniej 22-Lipca] zamieszkały - niestety przez obcych mu ludzi, Wstąpił na Stary Cmentarz, gdzie zapalił znicze na grobach swych bliskich. Dostojny rodzinny grobowiec, zasypyany żółtymi liśćmi i zmoczony deszczem, nie oparł się czasowi, ale wciąż przyciągał wzrok swym kształtem; wzruszał i budził serdeczną pamięć.

Profesor zatrzymał się też na chwilę przed budynkiem liceum, skąd wziął skrzydła do lotu.

Szkolna uroczystość mająca promować książkę „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” miała rozpocząć się o godzinie jedenastej.



Profesor Janusz Mrocza przemawia po otrzymaniu tytułu Honorowego Obywatela Dębicy.

Zostało jeszcze trochę czasu na gapienie się w okno - podziwianie bajkowego pejzażu miasta tonącego w nieskazitelnej bieli, w którego tle majaczyła smukła wieża kościoła Świętego Krzyża, na rozmyślenia o czekającym dniu i na przejrzenie notatek, wśród których była szczególnie ciekawa, zawierająca sprawozdanie z promującego książkę „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie”... spotkania w czytelni Powiatowej i Miejskiej Biblioteki. Rzucił okiem raz jeszcze na słowa dyrektorki biblioteki pani Moniki Rojek-Kałek prowadzącej to spotkanie.

Zaczął czytać:

W czytelni MiPBP w Dębicy miało miejsce spotkanie z Haliną Niziołek [...], która przybliżyła historię powstania publikacji niemającej sobie podobnych [...].

Książka pt. „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” zabiera nas w podróż introspektywną, a zarazem - uzmysławia naszą przynależność do miejsca wyjątkowego, tworzonego przez osoby takie, jak Autorka - troskliwych i pełnych pasji pedagogów [...]

Choć I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły, jako ikoniczny synonim prestiżu i wysokiego poziomu, doczekało się kilku monografii i opracowań, niemożliwym byłoby znalezienie takiego, które z równą lekkością, prostotą i zarazem sugestywnością, roztaczałoby przed odbiorcą wyrazisty obraz minionych dekad. Anegdotyczna, potoczysta, rozblyskująca pogodnym humorem opowieść wiedzie nas przez kolejne lata – od czasów, w których pani Halina sama zasiadała w szkolnej ławie, poprzez trudne przejście od statusu uczennicy i pełnej pokory absolwentki do pozycji nauczycielki [...].

Spotkanie w bibliotece cechowała niewymuszona swoboda i swoista familiarność. Nie powinno to dziwić, zważywszy na fakt, iż łączy nas zarówno



Promocja książki H. Niziołek „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Dębicy. Od lewej: pani Monika Rojek-Kałek, autorka książki i dyrektorka LO w Dębicy pani Ludmiła Stelmach-Kołodziej.

no miejsce pochodzenia i wychowania, jak i miłość do książek [...]. Laudację autorstwa profesora Janusza Mroczki odczytała dyrektor I LO w Dębicy pani Ludmiła Stelmach-Kołodziej”.

2. 12. 2023 r.

Profesor odłożył kartkę, spojrzął na tekst swojego przemówienia, które miał wygłosić, zerknął do lustra, sprawdzając czy piękny fular założony na tę okazję prezentuje się wystarczająco elegancko i jeszcze raz popatrzył w okno. Śnieg wciąż padał...

W liceum powitano go z wielką estymą i serdecznością. Z zainteresowaniem oglądał znajome mury, długie korytarze, kancelarię, pracownię, wystrój auli, a nawet uczniowskie ubikacje, tak inne od tych - zapamiętanych z młodości, gdzie w ukryciu paliło się papierosy.

Zaproszony do szkolnego muzeum, przyglądał się pamiątkom z dawnych lat, które były jak dotknięcie przeszłości, złożył swój podpis na jednym ze starych krzeseł i wpisał się do muzealnej kroniki.

Ale czas już nagiął. W kancelarii czekali pragnący ucisnąć dłoń znakomitemu Gościowi, no i uroczystość zorganizowana z okazji promocji książki, której był recenzentem.

A za oknami śnieg wciąż padał i padał, zsypywał ulice, samochody i tych, którzy zdecydowali się opuścić choć na chwilę bezpieczne schronienie.

Aula była wypełniona po brzegi: zebrali się tam nauczyciele liceum, młodzież, dawni absolwenci, zaproszeni goście; wśród nich przedstawiciele władz miasta.

Pani dyrektor Ludmiła Stelmach-Kołodziej - elegancka, uśmiechnięta, choć troszkę niepewna - z radością i dumą witała wszystkich zebranych, szczególnie ciesząc się z obecności specjalnego Gościa.

Z wielką uwagą, zadowoleniem i ciekawością profesor wysłuchiwał części artystycznej spotkania - przygotowanej przez profesorów liceum: Dorotę Stępień i Jarosława Urbańskiego. Młodzi artyści [uczniowie liceum] w sposób niezwykle sugestywny i wzruszający prezentowali fragmenty promowanej książki. Wzruszały też i urzekały melodie wykonywane przez licealny zespół muzyczny „Jagiellończycy”.

Agata Buch napisała później, że spotkanie to miało specyficzny klimat, że



„przeistoczyło aulę liceum w miejsce rozbrzmiewające serdecznymi głosami wciąż dopowiadającymi, uzupełniającymi historie opisane w książce „Ludzie, ludzie cuda w tej budzie...”

Ja miałam dla profesora limeryk, który z treścią odczytałam:

„Pewien sławny profesor z Wrocławia
Tańczy w Rio, piękny ogród uprawia
Lub w oparach nauki przebywa.
Wielki, chociaż Mrocza się nazywa.
A sercem jest nasz - Dębiczanie”.

Wysłuchawszy limeryku, profesor skrycie otarł jakąś zabłąkaną łezkę w kąciku oka. A potem sam przemówił - wzruszony, szczęśliwy, że znów znalazł się tu, gdzie przeżywał najlepsze lata swej młodości. W jego słowach była serdeczność i mądrość, dystans do siebie, dowcip, poczucie więzi z obecnymi i życzliwość.

Także ogromne wrażenie wywarło na obecnych wystąpienie pani Wirgini Lis - absolwentki naszego liceum, emerytowanej polonistki Liceum Ekonomicznego w Dębicy.

Nazywając profesora „nadzwyczajnym w swej zwyczajności”, podkreśliła jego wielkie zasługi dla nauki, a przy tym serdeczność i bezpośredniość w kontaktach z ludźmi.

Był wyraźnie wzruszony.

Ja również byłam ogromnie wzruszona piękną uroczystością, tak licznie przybyłą - mimo okropnej pogody - publicznością, wspaniałą atmosferą, życzliwymi rozmowami z różnymi ludźmi: przedstawicielami władz, zaproszonymi gośćmi czy dawnymi uczniami, wśród których wyłuskałam poetów - księdza Piotra Szwedę i Romana Misiewicza. Podpisywałam książki, uśmiechałam się, chociaż wciąż towarzyszył mi straszliwy stres.

Przed restauracją, do której profesor został za-



Wystąpienie byłej profesorki Liceum Ekonomicznego w Dębicy pani Wirginii Lis.



proszony przez profesorki liceum: Agnieszkę Panek i Ewę Nowacką trudno było znaleźć kawałek niezasypanej przestrzeni. Ale manewry wiozącej nas pani dyrektor jakoś w końcu się udały. I już można było rozsiąść się wygodnie w pobliżu kominka buchającego żarem, pałaszować smakowite dania i swobodnie prowadzić rozmowy.

Czas płynął niepostrzeżenie. Należało spieszyć się na dworzec, gdyż zbliżała się godzina odjazdu pociągu do Wrocławia.

Najpierw jednak trzeba było zidentyfikować samochód, niewidoczny pod świeżą czapą śniegu. Profesor - nie dbając o swoje eleganckie buty z delikatnej skóry i odświeżne ubranie - żwawo przedzierał się przez zaspy, by rękawami płaszcza zgarniać śnieg z kopiaistej zaspy, pod którą krył się samochód. Jakoś udało się w końcu wejść do środka i - po wielu manewrach - wyjechać na ulicę; również zaśnieżone, trudne do przebycia. Jeszcze oglądanie miasta przez ledwo odśnieżone szyby i już nowy budynek dworca, przed którym znów kłopoty z zaparkowaniem. Wewnątrz surowy wystrój, zimne metalowe krzesła zniechęcające do siadania, wielu ludzi z walizkami, gwar rozmów i dudniący, niezrozumiały głos megafonu.

Spoglądamy na rozkład jazdy. Ukazuje olbrzymie utrudnienia w ruchu pociągów. Ten - do Wrocławia - spóźniony o kilkadziesiąt minut.

- Opóźnienie może się zmniejszyć lub zwiększyć - rozlega się metaliczny głos, zagłuszany gwarem rozmów.

Czekamy, żartujemy, oglądamy zdjęcia profesora z czasów młodości: łobu-

zerski uśmiech, rozwiana fryzura, fruwający krawat...

Czas biegnie powoli, śnieg dalej pada, my coraz bardziej marzniemy, ale cierpliwie stoimy i śledzimy literki na elektronicznym rozkładzie jazdy.

Niestety, opóźnienie wciąż się zwiększa, więc zaczyna nas ogarniać coraz większy niepokój. Za oknem czai się zmierzch, dokuczliwy ziąb wdiera się przez ciągle otwierające się na oścież drzwi, ktoś mówi o zerwanej trakcji elektrycznej w okolicach Rzeszowa.

Pani dyrektor Ludmiła - widząc, że padam ze zmęczenia - odwozi mnie do domu, a sama wraca na dworzec. Ale tu nie ma dobrych informacji. Opóźnienie pociągu do Wrocławia jest coraz większe.

Ponieważ jest kobietą zaradną, praktyczną i zdecydowaną, zamawia w hotelu „Gold” jeszcze jeden nocleg dla profesora, a jego zabiera do domu na kolację i relaksujące rozmowy.

Jeszcze tylko telefon do Wrocławia, by uspokoić czekającą rodzinę.

3.12. 2023 r.

Ranek dalej śnieży. Pociąg do Wrocławia, na który został „przebukowany” wczorajszy bilet, tak samo jak tamten, ma ogromne opóźnienie. Ale nadarza się możliwość skorzystania z jakiegoś wcześniejszego, który właśnie teraz wtacza się na stację. Profesor postanawia nim pojechać, choć nie ma już możliwości zakupu czy wymiany biletu. Odprowadzony na peron przez troskliwą panią dyrektor Ludmiłę, wsiada do najbliższego wagonu, gotowy na wszelkie czyhające na niego przykrości za jazdę „na gapę”.

Jazda „na gapę”?

To, co wydawało się niemożliwe w jego profesorskim życiu, okazało się rzeczywistością.



Prof. J. Mrocza z autorką „Wspomnienia...” i z jej najbliższymi, od lewej: córka Dorota, zięć Marcin, H.N. prof. Ja. Mrocza, synowa Marta, syn Jacek.

Wyglądając przez okno, widzi sylwetkę dyrektora Ludmiły biegnącej w swych eleganckich butach na wysokim obcasie do stojącego daleko, przy elektrowozie, konduktora. Śnieg, którego na peronie nagromadziło się mnóstwo, utrudnia ten bieg, ale ona się nie poddaje. Widać z oddali, że coś tłumaczy, żywo gestykulując. Wreszcie przybiega z powrotem - zdyszana, ale szczęśliwa. Informuje profesora, że załatwiła mu bezpieczną jazdę bez biletu, że o nic nie musi się martwić i że ma nadzieję - obejdzie się już bez niemiłych niespodzianek.

Potem były uściski, podziękowania i życzenia miłej podróży. Profesor znów był wzruszony.

Będzie potem ze śmiechem opowiadał, że zajęto się nim jak niemowlakiem, że konduktor zadbał o jego wygodę, że nawet przyniósł wzmacniające batoniki.

I będzie wspominał - wciąż zdziwiony - taką zapamiętaną z młodości „galicyską” naturalność zachowań poznanych ludzi, ich serdeczność i szlachetność, które i jego otoczyły falą wzruszenia

15.10. 2024 r.

Pisząc to wspomnienie od nowa przeżywam wydarzenia związane z promocją mojej książki. Oglądam zdjęcia - nieocenione pamiątki, pozostające z nami i przywołujące przeszłość, gdy nieubłagany czas zaciera ślady. Bo fotografia to przecież „kadr uchwycony, sekunda, która nie powtórzy się już nigdy, moment zastygły w pamięci, żeby dać o sobie znać, kiedy będzie trzeba” [Marzena Mróz – Bajon], to „nadanie wagi ulotnej chwili, pojedynczej istocie, smużce światła. Zatrzymanie ich - choć zdarzyły się raz tylko od początku aż do kresu świata [...]; wszak to, co zostało zobaczone już nigdy nie wróci do chaosu” [Marcin Kydryński].

Wzruszam się od nowa.

Chcę jeszcze raz podziękować wszystkim organizatorom i uczestnikom moich spotkań w bibliotece, i w liceum: dyrekcji, profesorom, uczniom, władzom [m. in. Wójtowi Gminy Żyraków za piękny list gratulacyjny], gościom, absolwentom, moim bliskim - trzymającym kciuki.

I panu profesorowi - który z radością wspomina swoją „peregrynację zza siedmiu gór i rzek” do miasta swojej młodości - dla którego mam jeszcze jeden wierszyk:



*„Nasz absolwent Profesor Mrocza,
 Co na co dzień tkwi w glorii obłóczkach,
 Obowiązki swe ważne porzucił,
 Z chęcią do swej Dębicy powrócił
 I już jako Obywatel Honorowy,
 Zaszczycić mą imprezę był gotowy.
 Przemówił, jak tylko on potrafi,
 Chętnie stawał do fotografii,
 Dłonie ściskał, wspominał szkołę,
 Toczył z nami rozmowy wesołe.
 Skromny, nie gwiazdorzył, nie pouczał,
 Za to pytał, co nas boli, co dokucza.
 Że życzliwy nam, to wszyscy wiemy.
 Doceniamy to i dziękujemy.”*

22. 11. 2024 r.

Błady listopadowy świt rozsiewa wokół szarość i melancholię.

„Na niebie burym chmurka jeszcze bardziej burza z czarną obwódką słońca” - prawie taka, jak ta z wiersza Wisławy Szymborskiej.

Profesor Janusz Mrocza znów ciekawie spogląda przez okno na miasto swojego dzieciństwa i młodości, z którego tak dawno wyjechał, ale nigdy przecież go nie porzucił.

I chociaż to inne miejsce pobytu, inny czas, inny widok, ale wzruszenia te same. Wydaje się, że to, co wydarzyło się tamtej jesieni, było ledwie wczoraj. A przecież minął rok. Czas, który „tak trudno okiełznać”, znów zatoczył koło, mając kolejne dni coraz prędzej i prędzej. Dziś dla jutra to już wczoraj; warto więc chwycić każdą chwilę, by napełniać życie sensem.

Profesor, zaproszony przez Dębickie Służebniczki do wygłoszenia referatu podczas organizowanej w mieście debaty o wychowaniu, chętnie się zgodził; wszak sprawy kształtowania postaw, życia zgodnego z zasadami etyki zawsze leżą mu na sercu. Kieruje przecież kolejnymi rocznikami studentów, jest doświadczonym



pedagogiem, naukowcem i człowiekiem o humanistycznych zainteresowaniach.

Dzień wcześniej przyjechał - tym razem samochodem - do Dębicy, by na kilka dni zamieszkać w pokoju gościnnym Sióstr Służebniczek przy ulicy Edmunda Bojanowskiego. Teraz witał go inny pejzaż niż ten przed rokiem, gdy całe miasto topiło się w śnieżnej bieli; chociaż smętny i szary, ale bardziej znajomy, przywołujący młodzieńcze wspomnienia.

Tuż za oknem rozciągał się mur kamienicy doktora Sęczyka, w której jednak na próżno szukał - zapamiętanych z dzieciństwa - charakterystycznych granatowych szybek zdobiących elewację; tak pięknych i rozpoznawalnych. Wokół czerwieniały dachy pobliskich domów, stojących wśród огоłoconych z liści drzew. Rozpoznawał budynek dawnej bursy, bliskiego sercu liceum, dalej - ekonomika i „dwójki” - szkoły podstawowej, do której uczęszczał, i dwie wieże zamykające krajobraz: niższą - tak znajomą i bliską sercu wieżę dębickiego klasztoru i wyższą - kościoła Ducha Świętego, wzniesionego już podczas jego pobytu we Wrocławiu.

Późno listopadowe słońce skąpi swych promieni, nagie drzewa szarpie wiatr, leniwe wskazówki niemrawo przesuwają się po tarczy zegara. Jeszcze telefon do Wrocławia. Możemy sobie wyobrazić, że rozpoczął się, jak wiersz poety Stanisława Barańczaka:

„Szkoda, że Cię tu nie ma.

Zamieszkałem w punkcie, z którego mam za darmo rozległe widoki”...

Zaraz potem profesor postanowił wybrać się na spacer po swoim rodzinnym mieście.

Ów spacer co rusz przywoływał dawne wspomnienia: znajome kamieniczki, ulice i Stary Cmentarz z osypującym się murem, gdzie spoczywają bliscy i znajomi, a gdzie na straży śpiących wiecznym snem wciąż czuwają wiekowe drzewa, o korze pełnej guzów, głębokich szczerb i fałd. Szum wronich skrzydeł kieruje wzrok ku buremu niebu, na tle którego widoczna już z daleka wieża kościoła świętej Jadwigi, gdzie znało się każdy kąt, uliczka najwcześniejszego dzieciństwa i młodości – świeżo wyremontowana, a przez to jakaś obca, no i gmach liceum, który odwiedził przed rokiem i do którego znów został zaproszony, by spotkać się ze znajomymi nauczycielami i przyjaciółmi.

Siostra Agnieszka - cała w uśmiechach - prowadzi profesora znanymi mu od dzieciństwa ścieżkami, zabawia rozmową, dba o dobry nastrój.



I oto mury „Jagiellonki”. Ciężkie drzwi otwierają swe podwoje, schody zachęcają do wyjścia na piętro, w kancelarii już czeka pani dyrektor Ludmiła Stelmach-Kołodziej - jak zawsze – serdeczna, gorąco witająca oczekiwanego Gościa, szczęśliwa..

I zaraz idą razem do świeżo wyremontowanej auli - nowoczesnej, czyściutkiej, jeszcze pachnącej farbą.

W auli uczestnicy spotkania, zasiadłszy przy stolikach, czekają niecierpliwie na profesora. I oto się zjawia.

Pani dyrektor wita wszystkich serdecznie, a on - spojrzawszy na obecnych - natychmiast czuje się swojsko: tyle znajomych twarzy! Brawa, uściski, powitania, uśmiechy. Atmosfera prawie rodzinna, bo taki charakter ma spotkanie.

„Kochali nasi ojcowie chwile przy ogniu spędzane” - mówią słowa starej piosenki. My też kochamy i kultywujemy ten zwyczaj wspólnych spotkań przyjaciół - choć już nie przy ognisku, a przy stole, bo wciąż w nas tkwi potrzeba bycia razem, dzielenia się swoimi radościami, troskami, wspomnienia i radowania się w gronie życzliwych ludzi. A wokół same uśmiechnięte twarze - bo jakżeby inaczej! Wszak to i profesor Andrzej Mol, który uczył profesora Mroczkę wu-fu, koleżanki z klasy: Krysia Cuper i Tereska Gac, koledzy szkolni: Wiesiek Puszek i Marian Szpunar, zapamiętani ze spotkań sprzed roku: pan Edward Wodzień i pan Mariusz Trojan, licealni emeryci, obecnie pracujący nauczyciele, przedstawiciele miejskich władz: wiceburmistrz miasta pani Małgorzata

Rauch i przewodniczący Rady Powiatu pan Michał Maziarka, a także młodzież krzątająca się przy przyrządzaniu kawy, herbaty, roznosząca - specjalnie upieczone na tę okazję - „ciasteczka profesorskie”. Atmosfera życzliwości i bezpośredniości sprzyja temu wspólnemu spotkaniu.

Sylwetkę znakomitego Gościa przedstawia z uroczym uśmiechem polonistka liceum, profesorka Marta Socha. Jej prezentacja jest tak - jak całe spotkanie - lekka, skrząca się



lotnymi metaforami, trafnymi dygresjami, literackimi aluzjami i błyskotliwym dowcipem. Napisana w formie swoistego pamiętnika, w którym znajdujemy echa „Dziennika” Witolda Gombrowicza czy tekstów wrocławskiego [„przypadek? nie sądzę”] kabaretu „Elita”, gdzie cykliczne skecze radiowe pt. „Z pamiętnika młodej lekarki” Ewy Szumańskiej zawsze rozpoczynały słowa: „Będąc młodą lekarką [...] przyszedł raz do mnie pacjent...”.

Wystąpienie nosi tytuł: „Z PAMIĘTNIKA POLONISTKI, CZYLI JAK PI-SAŁAM PRZEMOWĘ NA SPOTKANIE Z PROFESOREM JANUSZEM MROCZKĄ W DN. 22 LISTOPADA 2024 R.”

Oto jego treść:

WRZESIEŃ

Będąc niemłodą nauczycielką, która przemyka krużgankami oświaty, działając na niwie humanistycznej w Jagiellie, w roku jubileuszowym 125-le-cia szkoły, przyszła raz do mojej klasy pani dyrektor o wyglądzie nieodgad-nionym.

- Profesor Mrocza będzie u nas na spotkaniu z nauczycielami w listopadzie. Może lekko i dowcipnie przedstawisz profesora?

Profesor Mrocza, Mrocza, a kto to? A no tak. To ten wybitny absolwent na-szej szkoły, honorowy obywatel Dębicy, przyjaciel Jagielly.

Jasne, machnę laudację w kwadransik i cześć.

PAŹDZIERNIK

Zadanie, które mi powierzono jest zaszczytne, ale i niełatwe.

A dyrekcja dopytuje o część artystyczną... Najwyższy czas zbierać materiały o profesorze. Strony internetowe, publikacje uczelni, pamiętki szkoły... Oj, nie będzie to kwadransik, chyba że akademicki.

NADSZEDŁ LISTOPAD

Janusz Mrocza – prof. dr hab., doctor honoris causa, professor magnus, promotor wielu doktoratów, autor książek i publikacji naukowych; założył Ka-tedre Metrologii Elektronicznej i Fotonicznej Politechniki Wrocławskiej, którą kieruje.

O święta Barbaro i święty Antoni, nie mam pojęcia, co oznacza ta nazwa. Dlaczego nie uważałam na fizyce?

PONIEDZIAŁEK

Zwierzam się Dorocie i Jarkowi z twórczej niemocy. Jak tu rozgryźć pro-



fesora Mroczkę? Przecież o jego licznych zasługach i tytułach można przeczytać w gablotce na parterze. Jarek jest po bratersku wyrozumiały dla mojej ignorancji w dziedzinie ścisłej. Dorota radzi, żeby skupić się na profesorze nie jako - profesorze, ale - człowieku. Jak to dobrze posłuchać kogoś mądrzejszego i zobaczyć w profesorze człowieka!

ŚRODA

Tworzenie - wg artystów - jest udręką i ekstazą. Moje pisanie to faktycznie udręka, tyle że bez ekstazy.

CZWARTEK

Nic.

PIĄTEK

Nic.

ZNOWU PONIEDZIAŁEK

Dorota daje mi do przeczytania wierszyk pani Haliny o honorowym obywatelu miasta Dębica. Dowcipny i lekki. Po prostu świetny, niestety... Po czymś takim milkną muzy. A moja nawet jeszcze nie pisnęła!

NASTĘPNA ŚRODA

Muza nadal milczy.

I ZNOWU CZWARTEK

Dyżurujemy z Basią na korytarzu, więc podpytuję ją o profesora. W czasie jubileuszu 100-lecia liceum pan Mroczka gościł w naszej szkole, a Basia jako wicedyrektorka pełniła honory domu.

Pociesza mnie: fajny, kontaktowy, uwielbia spotkania z ludźmi, ma duszę humanisty [!], a poza tym jest gadułą – wystarczy oddać mu głos, a sam wszystko opowie i jeszcze zrobi show. No, no, wygląda, że to nie tylko profesor, ale i stad-uper.

PIĄTEK, SOBOTA, NIEDZIELA

Moje zdenerwowanie sięga apogeum [czy to termin z fizyki?]

Stres zajadam czekoladą liczoną w kilogramach. Przemowa dalej nienapisana. Czuję, że zjawiska fizyczne przenikają do mojego humanistycznego ducha. Może kieliszek wina umysł rozjaśni?

Nie rozjaśnił. Idę spać.

STATNI TYDZIEŃ PRZED SPOTKANIEM



Eureka! Mam coś ludzkiego o profesorze! Janusz Mrocza - arbiter elegantiarum, ulubieniec studentów, popularny akademik, wyborny tancerz - w parze ze skąpo odzianą tancerką egzotyczną.

Na pewno ma imię znaczące, podkreślające liczne przymioty. Tylko, że najśłynniejszy Janusz w literaturze to zdrajca Radziwiłł z Sienkiewiczowskiej powieści. Raczej nikt nie zakrzyknie wiwat na jego cześć. Prędzej da mu do wiwatu.

Jest jeszcze Janusz Gajos i pisarz - Janusz Głowacki. Już lepiej.

Sięgam do „Wielkiej księgi imion”:

„Imię Janusz powstało od zdrobnienia imienia Jan. Inna teoria mówi, że wywodzi się od imienia boga Janusa czczonego w starożytnym Rzymie, patrona miast i bram [...].

Niezależny, ambitny i bardzo inteligentny - to w skrócie Janusz.

Mężczyzna, który pragnie zawojować świat. Jest wyjątkowo wytrwały i uparty w swych dążeniach, a przy tym posiada predyspozycje, by wiele osiągnąć”.

Wszystko się zgadza. Popularny dzień imienin – 21 listopada.

Rozbawiona przemową koleżanki [wymienione tam imiona: Dorotka, Jarek i Basia oznaczają kolegów pracujących w liceum: panią Dorotę Stępień, pana Jarosława Urbańskiego i panią Barbarę Olechniewicz], myślę sobie, że mógłby wśród znanych Januszów pojawić się jeszcze Janusz Korczak, ale już głos zabiera pani dyrektor Ludmiła, podkreślając, że 21 listopada przecież było wczoraj! Po czym składa profesorowi w imieniu zebranych serdeczne życzenia imieninowe, wręcza prezencik, a wszyscy intonują gromkie „Sto lat ...”

I nie jest to konwencjonalne parę słów, a wyśpiewane z zapałem wszystkie znane zwrotki, w czym wiedzie prym - wykazując się ślicznym głosem - pani burmistrz Małgorzata.

Dalsza część spotkania toczyła się gładko.

Najpierw przeczytałam przygotowany przeze mnie - zadedykowany panu profesorowi - wierszyk. Na kolejne pytania w nim zamieszczone uczestnicy spotkania wykrzykiwali chóralnie: „Dębiczanie Honorowi”!

Na koniec nałożyłam na zadaną głowę profesora Laurowy Wieniec, a on pięknie się uśmiechał, przyjmując ten gest z godnym wielkiego człowieka dystansem, dowcipem; może nawet odrobiną wzruszenia. Oczywiście były też zdję-



cia, które są dziś miłą pamiątką.

A oto tekst mojego wierszyka:

Kto dziś gości w naszych progach, że choć dzień listopadowy,
to jakby słońce zabłądło? Dębiczanie Honorowy.

Kto naukę stworzył taką, że przyprawia o ból głowy,
by jej nazwę zapamiętać? Dębiczanie Honorowy.

Kto nie tylko jest fizykiem, ale także mistrzem mowy
i wspaniałym humanistą? Dębiczanie Honorowy.

Kto ma 5 honoris causów? Choć dla studentów surowy,
lecz godzien wszystkich zaszczytów? Dębiczanie Honorowy.

Kto z dalekiego Wrocławia zawsze przyjechać gotowy,
by zaszczycić nas wizytą? Dębiczanie Honorowy.

Kto w Jagiellie zdał maturę, a – mówiąc innymi słowy -
kto „rył” wiedzę u Galasa? Dębiczanie Honorowy.

Kto jest mistrzem elegancji zdobnym w fular kolorowy
oraz mistrzem świetnych manier? Dębiczanie Honorowy.

Kto naszą Panią Dyrektorkę określił celnymi słowy „Trzy w jednym”
ceniąc jej sprawczość? Dębiczanie Honorowy.

Kto dzisiaj przy naszym stole pogwarzyć z nami gotowy,
bo serdeczny jest i miły? Dębiczanie Honorowy.

Kto zasłużył – jak nikt w świecie – na piękny Wieniec Laurowy?

No wiadomo, nie ja przecież. Dębiczanie Honorowy!

Profesor - zachęcany brawami do zabrania głosu, nie dał się długo prosić. Popłynęły wspomnienia z lat młodości przeżywanej w naszym liceum, doprowadane przez koleżanki z klasy, popłynęły serdeczne słowa o spotkaniu przed rokiem w naszej szkole, o wzruszeniu spowodowanym powrotem do „Małej Ojczyzny” i o radości ze spotkań z bliskimi mu ludźmi. Pojawiła się też zapowiedź wydania wspomnień w formie książkowej.

Słuchacze - szczerze rozbawieni i nawet też troszeczkę wzruszeni - słuchali Gościa z uwagą i przyjemnością, podpytywali też o różne sprawy, pogryzając ciasteczka i sącąc pyszną kawę. Siostra Agnieszka towarzyszyła profesorowi i po spotkaniu w szkole, dbała, by dostojny Gość czuł się z nami dobrze i wygodnie. A on, uwolniony na parę dni od trudnych spraw codzienności, od trosk i problemów uczelnianych, cieszył się jak dziecko, mówiąc, że czuje się jak na



wakacjach. To było bardzo miłe.

23. 11. 2024 r.

Znów budzi mnie szary, listopadowy dzień. Ale nie wolno się lenić. Szybko, szybko. Nie mogę się spóźnić. Dziś czeka mnie ważne wydarzenie.

Biorę w ręce eleganckie zaproszenie, ozdobione ciekawą grafiką - w życzliwie ułożonych dłoniach figurki dzieci wycięte z papieru - symbol właściwych relacji między dorosłymi i dziećmi: zaufania i opieki, bezbronności i bezpieczeństwa, kruchości i ostoi.

To już za chwilę w Urzędzie Miasta rozpocznie się Dębicka Debata o Wychowaniu pt. „Wokół prawdy o człowieku”. Jej organizatorami - jak czytam w zaproszeniu - są: burmistrz Miasta Dębicy, Zgromadzenie Sióstr Służebniczek w Dębicy i I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły.

Potrzebę takiej debaty rozumieją wszyscy. W czasach, gdy - jak pisał Cezary Harasimowicz - „na pastwiska ziemi Pan wypuścił z Rosji i Wuhanu swoje konie: ryżego i siwego, których imiona: Wojna i Śmierć”, gdy wokół tyle zagrożeń czyha na dzieci i młodzież, trzeba zwracać siły, by otoczyć właściwą opieką, wychowywać, kształtować postawy, wskazywać drogi życia, a także podkreślać wartość i cenę osiągania sukcesu przez młodych ludzi.

Spotkanie rozpoczęło się uroczystą mszą w kościele świętej Jadwigi. Następnie wszyscy udali się do siedziby dębickiego ratusza, gdzie - zgodnie z programem zawartym na zaproszeniu - odbyła się debata o wychowaniu.

Wraz z koleżankami z liceum - panią Dorotką Stępień i panią Martą Sochą zajmuję miejsce w wolnym rzędzie. Przywołuję w myślach starą łacińską zasadę „audi et vide” - słuchaj i patrz!

Rozglądam się dyskretnie. Wokół wiele znanych osób. W pierwszym rzędzie - organizatorzy i referenci. Dostrzegam panią burmistrz Małgorzatę Rauch, panią dyrektorkę I Liceum Ludmiłę Stelmach-Kołodziej, profesora Janusza Mroczkę, Siostrę Agnieszkę Skrzypek i Przełożoną Generalną Sióstr Służebni-



czek Maksymillę Pliszkę.

Na sali jest sporo sióstr zakonnych, są księża, przedstawiciele władz, dyrektorzy szkół, nauczyciele i wielu innych gości. Miłe dziewczyny w naszego liceum uwijają się, przygotowując kawę i ciastka.

Po otwarciu posiedzenia przez Przełożoną Generalną Zgromadzenia Sióstr i przez Burmistrza Miasta, na temat wychowania dzieci i młodzieży w dzisiejszym świecie będą przemawiać: Siostra doktor Maria Loyola Popiela, profesor KUL, SBDNP, ksiądz doktor Piotr Cebula, dyrektor Wydziału Duszpasterstwa Małżeństw i Rodzin Kurii Diecezjalnej w Tarnowie, profesor Janusz Mroczka, wykładowca na Politechnice Wrocławskiej, członek rzeczywisty PAN, Siostra doktor Agnieszka Skrzypek SBDNP, autorka monografii „Służebniczki Dębickie w diecezji tarnowskiej w latach 1891-1989”, dyrektor Muzeum Regionalnego w Dębicy Tomasz Czapla oraz wiceburmistrz Miasta Małgorzata Rauch.

Deбата toczy się zgodnie z planem. Najbardziej czekamy na wykład profesora Janusza Mroczki pt. „Oblicza sukcesu”. Profesor zostaje przedstawiony ze wszystkimi honorami jako wielki uczony, twórca polskiej szkoły metrologii elektronicznej i fotonicznej, doktor 5 honoris causów, laureat prestiżowych nagród i odznaczeń państwowych, Honorowy Obywatel Dębicy oraz „niezwykły mistrz i przyjaciel młodych, towarzyszący im w odkrywaniu prawdy skrywanej przez naturę, dając im tym samym sposobność doskonalenia siebie w dążeniu do własnej pełni”.

Przemawia z właściwą mu swadą, lekkością i talentem krasomówczym. Jak zawsze - elegancki, swobodny, uśmiechnięty, ale też niezwykle profesjonalny i bezkompromisowy - dotyka spraw ważnych, trudnych, nawet kontrowersyjnych. Najbardziej podoba mi się stwierdzenie profesora, że wielkie sukcesy odnoszą często ludzie z małych środowisk, takich jak nasza Dębica i że w takich małych społecznościach kształtują się często wybitne umysły i zdolni, utalentowani twórcy.

Wystąpienie wzbudza duże zainteresowanie, wywołuje też burzę oklasków.

W przerwie na kawę podchodzę do profesora. Jest trochę zdenerwowany, ale zadowolony, uśmiechnięty i - jak zawsze - życzliwy. Cieszy się, że znów jest z nami.

Wszystkiego najlepszego, profesorze!

Dębica, styczeń 2025r.



BARBARA PENDERECKA-PIOTROWSKA

Przemówienie w czasie uroczystości nadania auli szkoły imienia Profesora Krzysztofa Pendereckiego.



Barbara Penderecka-Piotrowska

Wzruszająca jest dbałość państwa o pamięć po moim bracie Krzysztofie Pendereckim. Krzysztof był w młodości bardzo żywiołowy, z dużym temperamentem. Reagował z wielkim entuzjazmem. Gdy zdał maturę, wyszedł na najwyższe drzewo przed tutejszym gimnazjum i krzyknął na całą Dębicę: „Zdałem”. Był szczęśliwy i ulżyło mu, bo on nie miał najlepszych ocen, ponieważ całą energię wtedy zużywał na ćwiczenia na skrzypcach, po kilkanaście godzin dziennie. Chciał być wirtuozem. Ja do tego czasu znam wszystkie te utwory na skrzypce na pamięć. Grał Bacha, Czajkowskiego, Wieniawskiego i Paganiniego równo z włączoną płytą – jak szatan. Doszedł do absolutnej perfekcji w grze na tym instrumencie. Pomimo tak zaprogramowanego pracowitego dnia, miał też trochę czasu dla swoich rówieśników. I tak, jak w każdym z nas, tkwiły w nim wspomnienia i ożyły, gdy po latach w Dębicy po koncercie w związku z 80. urodzinami spotkał się z koleżankami i kolegami na chwilę, ale zdążył się umówić i zaprosić ich do Lusławic. Przyjechał cały autobus. Opowiadał mi, że kiedy wyszedł przed dwór, by powitać gości, zobaczył masę staruszków, to go trochę przeraziło. Natomiast, gdy zaczęli wspominać czasy młodości, wydawało mu się, że ma znowu kilkanaście lat i powiedział mi, że to było najwspanialsze spotkanie w życiu i że musi to koniecznie jeszcze powtórzyć. Mówił mi to potem jeszcze kilka razy, ostatni raz tuż przed śmiercią – widocznie był bardzo szczęśliwy w tym towarzystwie i odmłodzony. Nie zdążył. Tak był zajęty całe życie. Kalendarz miał zabukowany zawsze na parę lat do przodu. Ale stąd myśl, że nigdy nie powinno się odkładać tego, co może sprawić nam przyjemność, bo przyszłość jest nieprzewidywalna.

Wracając do meritum sprawy, Krzysztof lubił, by w utworze oprócz mu-



zyki były wielkie słowa (bo to go inspirowało). Trochę filozofii i wielkie idee, bo nie ma znaczącej sztuki bez tego. Trzeba dotrzeć do najczulszych strun w odbiorcach, by im przekazać prawdziwe piękno, uwznioślić. Pozwolić chociaż na chwilę zapomnieć o prozie życia. Takie miał z pewnością intencje, bo byliśmy wychowani w ideałach, w dążeniu do doskonałości. Byliśmy właśnie tak ukształtowani przez rodziców i dziadków Bergerów w Dębicy, bo ten kawałek



ziemi ma widocznie taką siłę i myślę, że wyda jeszcze niejednego wielkiego człowieka, który będzie się kształtował w tym gmachu.

Ja jestem w cieniu brata, ale jak powiedział Adenauer: „Wszyscy żyjemy pod tym samym niebem, ale nie wszyscy mamy ten sam horyzont”.
Dziękuję za cierpliwość.

Dębica, 14 marca 2025r.



ANDRZEJ PIETRASIK

Wspomnienia o Lidii Górskiej.



Andrzej Pietrasik

Z Lidką łączyła mnie ponad 24-letnia znajomość. Można powiedzieć, że od samego początku były to szczególne relacje. Zresztą, chyba jak każdego młodego nauczyciela, którego zaraz po rozpoczęciu pracy brała pod swoje skrzydła. Wspominam przecież krótki czas mojej pracy, a z jej inicjatywy zorganizowano pożegnanie, kiedy szedłem do wojska.

Dostałem wtedy od niej pamiątkową chustę z podpisami nauczycieli, którzy w tym wydarzeniu uczestniczyli, a było ich sporo, nie wszystkich nawet zdążyłem dobrze poznać.

Można też powiedzieć, że Lidka była postacią wielowymiarową w takim sensie, że nie tylko była bibliotekarką, pisarką, nauczycielką, ale umiała skupić wokół siebie zarówno młodzież jak i nauczycieli. Pamiętam czasy, kiedy jako młody nauczyciel niemający jeszcze obowiązków rodzinnych, wraz z innymi osobami, zawsze po lekcjach chodziliśmy do Lidki do biblioteki i siedzieliśmy tam, prowadząc rozmowy na wszystkie możliwe tematy aż skończyła pracę i razem wracaliśmy do domu. Zresztą, trzeba dodać, że każda długa przerwa to była obowiązkowa wizyta w bibliotece, gdzie czekała na nas kawa lub herbata. Było to czasami dość liczne grono, w tym również i księża, którzy u nas uczyli, gdyż zaraz na początku września Lidka każdego werbowwała do biblioteki.

Była, co chyba najważniejsze, osobą bardzo empatyczną, mimo swoich problemów, starała się każdego wysłuchać, zrozumieć i na tyle, na ile mogła, pomóc. Nigdy nikomu nie odmówiła tej pomocy. Nawet jeżeli nie mogła materialnie, to zawsze wspierała dobrym słowem. Miała taki magnes w sobie, który przyciągał do niej ludzi, umiała z każdym porozmawiać, doradzić, miała się wrażenie, że dzień bez spotkania z nią był dniem straconym lub czegoś nam w tym dniu zabrakło. Zawsze otwarta, uśmiechnięta, nigdy nie obciążała swoimi problemami innych, a miała ich sporo. Była bardzo hojna dla najbliż-





Lidia Górka w muzeum szkolnym

szych, co powodowało, że sama sobie odmawiała wielu rzeczy, żeby tylko innym pomóc i wesprzeć ich.

Umiała też zgromadzić wokół siebie sporą grupę młodzieży, która w ramach wolnego czasu prowadziła przeróżne działania na rzecz szkoły pod jej patronatem (kółko archiwum, drużynę harcerską, młodzież, która tworzyła gazetkę szkolną lub uczestniczyła w dniach kultury I LO, młodzież, która wydawała przy jej pomocy tomiki poezji).

Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że mimo różnych słabości była wzorem nauczyciela, bibliotekarza, kumpla i przyjaciela.

Dębica, grudzień 2024 r.

MARIA PIĘKOŚ – BRNIAK

Mój skromny wkład do wspomnień szkolnych z lat 1971-1975.

Motto:

„Szkoła nie polega na napełnianiu wiadra, ale na rozpalamiu ognia”

William Butler Yeates

Analizując słowa wielkiego irlandzkiego poety Williama Butlera Yeatesa należy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy właśnie takie przekonanie noszę w sobie po czerech latach spędzonych w liceum ogólnokształcącym w moim rodzinnym mieście, Dębicy.

Był to okres wytężonej pracy przypadający na lata 1971-1975 zwieńczony egzaminem dojrzałości, który otworzył mi drogę do dalszej edukacji na wyższej uczelni. Z perspektywy czasu śmiało mogę powiedzieć, że okres licealny rozbudził moją kreatywność, dał wszechstronną wiedzę, umiejętność logicznego myślenia i wiązania faktów. Niewątpliwie był to czas treningu umysłowego obejmującego zarówno dziedziny humanistyczne jak i również ścisłe i zaowocował wzbogaconym postrzeganiem świata.

Moja przygoda z Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Wiktora w Dębicy, bo takiego patrona wówczas miała szkoła, rozpoczęła się po zdaniu egzaminów wstępnych we wspomnianym wcześniej roku 1971. Liczba uczniów starających się o przyjęcie do szkoły znacząco przewyższała ilość oferowanych miejsc, więc dostanie się na listę, po niełatwym egzaminie, było pierwszym sukcesem w mojej szkolnej przygodzie.

Sam budynek szkoły robił wrażenie swoją formą architektoniczną i dostojnymi murami. Zaprojektowany został końcem XIX wieku przez architekta Teodora Talowskiego urodzonego w pobliskim Zasowie. Czuło się wyjątkowość tego miejsca, tradycję i historię związaną ze szkołą liczącą już 71 lat.

W okresie, gdy zostałam włączona w poczet uczniów, klasy były profilowane, więc istniała możliwość dokonania wyboru zgodnie z preferowanymi przedmiotami i zdolnościami, które na tym etapie dojrzewania już się krysta-



lizowały. Ja wybrałam klasę humanistyczną z rozszerzonym programem języka angielskiego. Angielskiego bowiem uczyłam się już wcześniej, miałam dobry słuch muzyczny, grałam na pianinie, więc wybór wydawał mi się trafny. Miałam też sporą motywację, aby biegle opanować ten język ze względu na możliwość komunikacji z najbliższą rodziną mieszkającą w Wielkiej Brytanii.

Nasza klasa była liczna. Należeliśmy do rocznika powojennego wyżu demograficznego, co przez długie lata wystawiało nas na konkurencję w każdej dziedzinie życia. Klasa zdominowana była przez dziewczęta, ale szczęśliwie było też kilku chłopców, którzy umilali nam mocno sfeminizowaną atmosferę. Ogólnie z naszymi dżentelmenami było weselej i rażniej.

Przez trzy lata od pierwszej klasy język angielski prowadziła pani Teresa Berka, osoba rzetelna, bardzo profesjonalna i wymagająca. Lekcji języka angielskiego było sporo, bo aż siedem godzin w tygodniu. Były to czasy, kiedy soboty były również „pracujące”, więc program rozkładał się na sześć dni. W jeden dzień były dwie godziny „w bloku”. Niestety, w tamtym czasie nauka języków obcych miała ograniczenia podręcznikowe i audiowizualne. Bazowaliśmy na książkach napisanych przez autorki polskie, panie Smólską i Zawadzką, a i nagrania do podręcznika były w wykonaniu polskich lektorów. Przy solidnym opanowaniu materiału zawartego w tym programie można było uzyskać znajomość języka na poziomie konwersacji i opanować zasady gramatyki. Większe problemy mogło stanowić zrozumienie rodowitych Anglików posługujących się językiem potocznym z rodzimą wymową, intonacją i tempem. Namierzenie radia BBC w czasach panującego ustroju komunistycznego i tzw. żelaznej kurtyny wymagało samozaparcia, trudu i szczęścia. Stąd dostęp do oryginalnych materiałów był bardzo ograniczony. Pani profesor Berka stosowała skuteczną metodę ciągłego powtarzania form gramatycznych i idiomów przy odpytywaniu. Dzięki temu w pamięci uczniów zapadały gotowe schematy i konstrukcje językowe utrwalane systematycznie. Przyznam, że i ja, będąc absolwentką filologii angielskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, stosowałam tę metodę w swojej późniejszej pracy. Każdy z uczniów przy ustnej odpowiedzi zaliczał tzw. litanię, czyli wędrówkę po czasach, stronie biernej, okresach warunkowych itp. Dawało to wspaniałe efekty i doprowadzało do zautomatyzowania form. W profilu humanistycznym duży nacisk kładziono także na język polski, literaturę i tło historyczne. Przez dwa



pierwsze lata przedmiot ten prowadziła z naszą klasą pani profesor Olga Sidorowicz, a w trzeciej i czwartej klasie profesor Władysław Gazda. Z panią profesor mieliśmy również w klasie maturalnej zajęcia fakultatywne na bardzo wysokim poziomie, z elementami filozofii. Tematy były przekrojowe, wymagające znajomości całej literatury objętej programem szkolnym, jak i spoza spisu lektur szkolnych. Wracając do dwóch pierwszych lat licealnych, profesor Sidorowiczowa stanowiła postrach przy egzekwowaniu naszej wiedzy. Rzucała temat i należało mówić, gdy jakiś fragment nie przypadł pytającej do gustu, wtedy z katedry często padało hasło: „damy dwa”. Pani profesor była szczególnie wrażliwa na wymienianie dat urodzenia i śmierci pisarza bądź poety. Wówczas natychmiast przerywała i oznajmiała, „że urodził się i umarł, więc damy dwa”. Dla ścisłości to porażające „dwa” było obecną „jedyneką”, czyli totalną porażką. Pani Sidorowicz wymagała od nas rozwijania intelektu przez czytanie tygodników związanych z kulturą i literaturą. Dlatego raz na czas, przeważnie w poniedziałki, przypominała sobie o sprawdzeniu naszego czytelnictwa. Wówczas padał na klasę blady strach, bo nie zawsze byliśmy na bieżąco z artykułami zamieszczonymi w „Kulturze” bądź „Życiu Literackim”. Pani profesor zaszczepiła również w nas bezcenną umiejętność obserwacji otoczenia. Zwracała uwagę na to, by zainteresować się nazwą ulicy, tablicą pamiątkową, pomnikiem, plakatem, muzeum. Potrafiła przy tym snuć wspańnięte historie i niezwykle przybliżać tą drogą poezję i literaturę, która przecież jest owocem przeżyć i wrażliwości twórców. Stąd też przy wielu omawianych pisarzach zadawane nam były powieści biograficzne, aby móc dotknąć epoki i przybliżyć samą postać autora. Nawiażywała również zawsze do teraźniejszości, omawiając dany temat. Padało wówczas słynne: „a jak dzisiaj?”. I to „dzisiaj” zrodziło kiedyś zabawną sytuację, gdy omawiając „Lalkę” Prusa, pani profesor poruszyła wątek fikcyjnego profesora Geista z Paryża, mianowicie odkrycia metalu lżejszego od powietrza. W tym momencie konkluzją na „dzisiaj” były samoloty... Mniemam, że pani profesor miała na myśli odwieczne ludzkie marzenia o unoszeniu się w powietrzu, niemniej wyszło, jak wyszło.

Dzisiaj, chodząc po ukochanym Krakowie, w którym mieszkam już niemal pół wieku, delektuję się widokiem starych kamienic, których historię staram się zgłębiać przez cykl książek Michała Rożka. Patrząc na te stare mury, zawsze mam w pamięci naszą panią profesor Olę Sidorowicz, która zaszczepi-



ła we mnie ten głód poznawania otoczenia. Te mury były świadkami historii, miłości, a czasem ludzkich dramatów. Przez całe lata starałam się wzbudzać tę ciekawość w moich córkach i uczniach, aby nie byli obojętni na otaczający świat, który sam w sobie jest źródłem wiedzy, pogłębia naszą wrażliwość i nas kształtuje.

Wspominając nauczycieli języka polskiego, muszę przytoczyć dzieło profesor Władysławy Gazdy, mianowicie powołanie kabaretu klasowego. Kabaret ten rozwijał nas artystycznie, dawał możliwość integracji i stworzenia zespołu o wspólnej pasji. Spotykaliśmy się regularnie na próbach, w atmosferze jakże innej od panującej na lekcji. Programem kabaretowym mogliśmy uświetniać uroczystości szkolne, a czasem pozaszkolne. Braliśmy udział w przeglądzie kabaretów w Rzeszowie, doświadczając pierwszych poważniejszych prób artystycznych. Moja rola polegała na tworzeniu tła muzycznego między kolejnymi epizodami. Wygrywałam więc na fortepianie wpadające w ucho standardy muzyczne.



Kabaret klasowy 1974 r. Od lewej: Piotr Myszkowski, Bożena Ożóg, Halina Krzysztofczyk, Maria Piękoś, Piotr Podhalański, Urszula Skwirut

W tym czasie nasza szkoła miała swój hymn odśpiewywany na rozpoczęcie porannych lekcji. Autorem tekstu był kolega z wyższej klasy, Adam Prażak, świetny humanista i dusza szkoły. Pamiętam jak przez mgłę pierwsze słowa hymnu: „Na progu wieku zakwitła, jej sława trwa do dziś, siłaczka, szkoła ambitna”.

Dyrektorem naszego liceum był wówczas profesor Edmund Galas, postać pełna powagi, nieprzystępna i budząca respekt. Przechadzał się korytarzami, przemieszczając się między salami, na ogół sam, o posagowym wyrazie twarzy. Czuło się wówczas, że lepiej się dyrektorowi nie narażać. Pewnego razu w gabinecie pana dyrektora zamontowano głośnik szkolny i wyraźnie ten nowy nabytek sprawił mu wielką radość. Lubił z niego często korzystać i ogłaszać mniej bądź bardziej istotne komunikaty. Wówczas podczas lekcji rozlegał się gong i z głośników umieszczonych w klasach płynął dyrektorski głos. Dla uczniów te przerwy w lekcjach były bezcennym wytchnieniem, szczególnie dla tych właśnie odpytywanych przy tablicy.

Jako klasa humanistyczna byliśmy pozbawieni uczniów z wyjątkowymi zdolnościami matematycznymi. Większość z nas była wyuczalna, a raptem kilka osób przekraczało ten poziom przeciętności. Toteż czasem przy odpytywaniu na lekcjach fizyki profesor Stanisław Jantoń nie wytrzymywał i tubalnym głosem oświadczał delikwentowi, że Einstein się w grobie przewraca, słysząc te dyrdymały.

Nigdy też nie zapomnę lekcji geografii z profesorem Zdzisławem Czernym zakochanym w danych z rocznika statystycznego, których od nas wymagał. A że zapamiętywanie tych liczb związanych z wydobyciem węgla w poszczególnych krajach bądź wytopem stali nie było moją mocną stroną, postanowiliśmy z koleżanką Zosią Grekówną prosić profesora o zwolnienie z lekcji na wyjście w celu załatwienia wycieczki szkolnej. Profesor zaaferowany głównie swoim przedmiotem, nie zorientował się, że owo załatwienie ciągnęło się przez wiele kolejnych lekcji. Wreszcie trzeba było stanąć twarzą w twarz z geografią i zdobyć jakąś ocenę w okresie, obecnie nazywanym semestrem. Sparaliżowane strachem wkuwałyśmy materiał z wszelkimi rocznikowymi danymi statystycznymi. Efekt końcowy był zadawalający, udało się zdobyć przyzwoitą ocenę, ale dużym kosztem czasu i stresu.

Kolejnym przedmiotem, który zapadł mi szczególnie w pamięć, było wy-



chowanie fizyczne z panią profesor Zdzisławą Grundboeck. Pani profesor należała do grupy tych nauczycieli, którzy z niezwykłą powagą traktowali swój przedmiot i program ministerialny. Nie były to więc typowe lekcje wychowania fizycznego, kiedy nauczyciel po rozgrzewce rzuca piłkę i każe rozgrywać mecz. Zajęcia były skrupulatnym realizowaniem programu i wyłapywaniem talentów sportowych (do których ani ja, ani kilka moich koleżanek z pewnością nie zaliczałyśmy się). Nie było więc taryfy ulgowej. Skok przez kozła czy przez skrzynię jak i stanie na rękach na równoważni ze skokiem bocznym były wymagane od wszystkich. Program był iście cyrkowy, dla mnie i dla kilku osób nie do pokonania. A pani profesor nie żartowała i równo sadziła oceny niedostateczne. Aż pewnego razu zrobiło jej się żal mnie i kilku innych dziewczyn w podobnej sytuacji. Nasze dobre i bardzo dobre cenzurki sponiewierane były widniejącą oceną dostateczną z WF. Po namyśle profesor Grundboeck zawołała nas i zaproponowała kursy sędziowskie z lekkoatletyki. Przy naszych możliwościach poznawczych opanowanie zasad sędziowania nie stanowiło problemu i do tej pory stałyśmy się sędziami zawodów, uzyskując tym samym ocenę bardzo dobrą jak i symboliczne pieniężne wynagrodzenia przy międzyszkolnych zawodach sportowych. Wilk był syty i owca cała. Kolejną rzeczą, o której nie sposób nie wspomnieć, były nasze stroje do ćwiczeń. Pani profesor rozdawała szablony na uszycie koszulek gimnastycznych koniecznie z naturalnego białego płótna, które miały być obszerne, przewiewne, zawsze świeżo wyprane i wyprasowane. Był to warunek sine qua non, aby w ogóle wejść do „świątyni”, którą była sala gimnastyczna. Ale było też coś, co stanowiło zaprzeczenie tych ekskluzywnych strojów, a mianowicie jedynie słuszne gromadzkie dresy, oczekujące na nas w koszu przy szatni, które mieliśmy na siebie zakładać, zakrywając tym samym te piękne białe, wyprasowane koszulki. Owe dresy były stare, rozciągnięte i zdeformowane, prane od przypadku do przypadku w szarym mydle. Nie sposób było się sprzeciwiać wszystkim tym wymaganiom, toteż pokornie nosiłyśmy owe dresy na lekcjach poza budynkiem szkolnym.

Z perspektywy czasu muszę przyznać, że takich właśnie nietuzinkowych nauczycieli wspomina się ciepło i z rozrzewnieniem, mimo iż w owym czasie nie zawsze było lekko. Pani profesor spełniała się również w dyżurach szkolnych, stojąc na straży wejścia do budynku i sprawdzając czy tarcze szkolne są



wystarczająco solidnie przyszyte oraz czy mamy na sobie przyzwoite stroje. Ubrani zbyt awangardowo bądź dziewczyny w nieprzyzwoicie krótkich spódnicach odsyłani byli spod drzwi szkolnych, a zaczepione na agrafce tarcze lądowały na chodniku.

Podczas ferii zimowych w auli naszego liceum działała kawiarenka uczniowska. Gromadziła uczniów szkoły i absolwentów, którzy chętnie wpadali popołudniami spotkać się ze znajomymi w miłej atmosferze. Można było wypić herbatę, a przy okazji poplotkować lub zagrać w gry towarzyskie. Wyjazdy na ferie w góry nie były w tamtych czasach powszechne, cieszyliśmy się więc lokalnie pięknymi mroźnymi zimami obfitującymi, częściej niż teraz,

w puszysty śnieg. Już samo niechodzenie na lekcje było relaksem i odpoczynkiem dającym możliwość spotkań ze znajomymi. Dawała czas na ciekawą lekturę. Szkolna kawiarenka doskonale spełniała swoją rolę.

Moje dzieciństwo i młodość przypadały na czasy ustroju komunistycznego, który narzucał udział w celebrowaniu socjalistycznych „świąt”, takich jak tzw. Święto Pracy 1 Maja, 22 lipca

(tzw. Święto Odrodzenia) czy święto Rewolucji Październikowej. Dni te były upamiętniane szkolnymi i miejskimi akademiami, podczas których recytowano wiersze i śpiewano pieśni o „robotniczej krwi przelanej za wolność ludu pracującego miast i wsi”. Każdego roku na 1 maja cała szkoła obowiązkowo ruszała na dębicki stadion Wisłoki, aby po wiecu, na którym zebrany był robotniczy aktyw naszego miasta tudzież uczniowie wszystkich szkół, wyruszyć w pochodzie przez główne ulice miasta. Przed trybuną lokalnych władz partyjnych (PZPR) wznoszono okrzyki: „młodzież z partią, partia z narodem” itp. Oczywiście mało kto w te hasła wierzył, toteż nasz „licealny chór entuzjastów



Pochód pierwszomajowy harcerze. Od lewej: Ludmiła Skwira, Piotr Podhalański, Małgorzata Mazur.

socjalizmu” brzmiał zwykle bardzo mizernie.

Ludzie wykorzystywali tę okazję do spotkań towarzyskich, bowiem wówczas wylegało na ulice praktycznie całe miasto. Jakkolwiek ideologia towarzysząca pochodom pierwszomajowym i innym tego typu uroczystościom miała dla uczestników znaczenie trzeciorzędne, o ile w ogóle miała jakiegokolwiek.



Maria Piękoś



Wycieczka szkolna do Wieliczki 24 września 1974 r. Pierwszy rząd od lewej, od dołu: Piotr Podhalański, Bożena Skóra, Urszula Skwirut. Drugi rząd od lewej: Waldemar Więcek, Piotr Myszkowski, Andrzej Wawrzaszek (syn pani profesor), Prof. Zofia Wawrzaszek, Anna Gąsior, Zofia Kubicka. Trzeci rząd od lewej: Halina Chmiel, Zofia Lew, Teresa Gil, Bożena Bogacz, Grażyna Sobczak, Aleksandra Prucnal, Ludmiła Skwira. Czwarty rząd od lewej: Andrzej Barylecki, Halina Bonarek, Irena Totor, Urszula Mazur, Barbara Jasińska, Renata Kaczor, Małgorzata Czuba. Piąty rząd od lewej: Stanisława Załucka, Maria Kusibab, Maria Piękoś, Jan Muniak, Renata Gologórska, Małgorzata Mazur, Stanisława Szkutak, Jacek Dymitrowski, Zuzanna Szczudło. Rząd szósty od lewej: Zofia Grek, Małgorzata Wiltos, Bożena Ozóg, Teresa Cieśla, Elżbieta Dziurka, Lucyna Ćwik.

Pragnę jeszcze wspomnieć panią profesor Zofię Wawrzaszek, naszą wychowawczynię w klasie maturalnej. Przez cztery lata uczyła nas biologii, prowadząc ten przedmiot ciekawie i rzetelnie. W momencie gdy została naszą wychowawczynią, stała się dla nas uczniów serdecznym przyjacielem, zawsze stojąc za swoją klasą murem. Czuliśmy w pani profesor oparcie i dzisiaj możemy jej za to podziękować, wyrażając naszą wdzięczność.



Zjazd 80-lecia LO im. Jana Wiktora, 25 października 1980 r. Pierwszy rząd od lewej: Maria Kusibab, Stanisław Malinowski, Zofia Grek, Maria Piękoś, Krystyna Rybka, Zofia Kruglińska, Drugi rząd od lewej: Małgorzata Szczerbińska, Anna Grek, Ryszard Kulig, Stanisława Pociask, Ludmiła Skwira

Zdaję sobie sprawę, że fakty, które opisałam są obciążone subiektywizmem. Nie mogą być do końca obiektywne, bo przecież każdy z nas, uczniów, będzie miał do nich inny stosunek. Wersja, którą przedstawiam, jest moim wspomnieniem tego okresu, jakie noszę w sercu i czule pielęgnuję.



Zjazd absolwentów LO im. Jana Wiktora 25 października 1980 r.
Większości osób nie udało mi się zidentyfikować.

Bo taka była nasza młodość, uskrzydłająca, pełna młodzieńczych pomysłów i fascynacji. Czas w pewnym sensie beztroski, bez wielu późniejszych obciążeń życiowych. Byliśmy przekonani, że sami wykuwamy nasz przyszły los. Mieliliśmy swoje marzenia, plany i poczucie, że świat należy do nas. Noszę wdzięczność i wyrazy szacunku dla moich profesorów, którzy tak mozolnie kształtowali nas przez te cztery lata, wypuszczając w świat licznych laureatów olimpiad, a nawet, ośmielę się napisać, przyszłe elity.

Kraków, styczeń 2024 r.

JÓZEF PLUTA

JAN HENRYK JEDYNAK

Jan Henryk Jedynak urodził się 20 lipca 1892 roku w Paszczynie. Uczęszczał do szkoły ludowej w rodzinnej Paszczynie. Z uwagi na szerokie spektrum zainteresowań rodzice zdecydowali, by młody chłopiec, przygotowany intelektualnie przez szkołę, posiadający predyspozycje ku działaniu społecznemu, mający szeroko rozwinięte horyzonty umysłowe i patriotyczne, kontynuował naukę. Podyktowane to było również pozycją społeczną ojca oraz sporą, jak na owe czasy, zamożnością rodziny. Ojciec Jana Henryka, Michał Jedynak, w tym okresie, z racji udziału w Radzie Powiatowej w Ropczycach, włączył się do prac organizacyjnych zmierzających do utworzenia gimnazjum w Dębicy. De fakto był jednym ze współzałożycieli tej placówki oświatowej.

W roku szkolnym 1904/05 Jan Henryk Jedynak rozpoczął naukę w C.K. Gimnazjum Franciszka Józefa I w Dębicy w klasie I B. Gospodarzem klasy w pierwszym półroczu był zastępca nauczyciela Antoni Lekrzycki, a w drugim Leopold de Reulhstetten Schirnböck. Godność dyrektora gimnazjum pełnił mianowany przez cesarza prof. Józef Szydłowski, który został przeniesiony w tym celu z Jarosławia. Do szkoły tej odczuwał Jan Henryk pewien sentyment, z uwagi na zaangażowanie ojca Michała Jedynaka w jej powstanie. Początkowo nauka odbywała się w tzw. budynku poperlsteinowskim, do chwili oddania do użytku nowego budynku szkolnego w 1907 roku. Z uwagi na trudności komunikacyjne związane z dojazdem do szkoły z Paszczyny i zamożność rodziców, mieszkał w bursie szkolnej istniejącej od 1902 roku. Należy wspomnieć, że jego ojciec Michał starał się na forum sejmowym o dofinansowanie tej placówki z funduszy Wydziału Krajowego we Lwowie.

Tok nauczania i organizacja szkoły zostały określone decyzją C.K. ministra wyznań religijnych i oświaty. Pierwsze cztery lata nauki Jan Henryka Jedynaka zaliczały się do niższego stopnia gimnazjum. W tym okresie pobierał



naukę z przedmiotów przewidywanych powyższą decyzją oraz tzw. przedmiotów nadobowiązkowych. Pierwszą grupę przedmiotów prowadzili następujący nauczyciele:

- religia - ks. Błażej Kotfis
- język łaciński - Antoni Lekrzycki, Józef Szydłowski, Eugeniusz Biegonowski, Tadeusz Ożóg, Wojciech Maroń, Wojciech Cholewa
- język niemiecki - Władysław Prajer, Adam Wrona, Adam Zassowski
- język polski – Józef Wyrobek, Adam Karnowski, Stanisław Zbijewski, Edmund Türschmid
- geografia, historia powszechna – Michał Staroń, Mieczysław Gawlik, Józef Rołter
- historia naturalna z botaniką, zoologią i mineralogią – Leopold de Reulhs-tetten Schirnböck, Nazar Łychicki
- język grecki – Antoni Migdał
- język ruski – Nazar Łychicki
- matematyka – Nazar Łychicki, Eugeniusz Muszyński
- fizyka – Nazar Łychicki, Eugeniusz Muszyński.

Do grupy przedmiotów nadobowiązkowych należały: gimnastyka, kaligrafia, śpiew prowadzone przez Zygmunta Skorskiego oraz historia kraju rodzinnego nauczana przez Mieczysława Gawlika i Józefa Rottera.

Uczniowie za pierwsze i drugie półrocz, kończące daną klasę, byli oceniani wg trzech kategorii, a mianowicie: obyczaje, pilność i postęp w przedmiotach nauki. Oceny były następujące:

- obyczaje: dobry i chwalebny
- pilność: dobra
- postęp w przedmiotach nauki: dostateczny, dobry, bardzo dobry.

Brana była również pod uwagę forma zewnętrzna wypracowań pisemnych, oceniana jako bardzo dobra. Przedmioty nadobowiązkowe oceniano następująco: gimnastykę: bardzo dobry, w śpiewie bardzo dobry i w dziejach ojczystych: dobry.

Program nauczania w klasach V do VIII wyższego gimnazjum obejmował wymienione wcześniej przedmioty poszerzone o propedeutykę filozofii. Na tym poziomie nauczania uczniowie byli oceniani wg kategorii, a mianowicie zachowanie się i postęp w przedmiotach nauki. Nauczanie w tym zakresie



Jan Henryk Jedynak zakończył 24 maja 1912 roku z wynikiem ogólnym dobrym i został dopuszczony do złożenia egzaminu dojrzałości. Dyrektorem C.K. Gimnazjum Franciszka Józefa w Dębicy w tym czasie pozostawał prof. Józef Szydłowski, a gospodarzem klasy był prof. Michał Radomski.(...)

Z nauką Jana Henryka Jedynaka nierozzerwalnie związane są wydarzenia dotyczące działalności gimnazjum. Jednym z ważniejszych, które miało miejsce 24 maja 1906 roku było poświęcenie kamienia węgielnego, a 31 października 1907 roku, nowego budynku szkoły przez biskupa tarnowskiego

Leona Wałęgę. Uroczystość uświetnili znamienici goście, tj. namiestnik hr. Andrzej Potocki, dr Michał Bobrzyński, posłowie Adam Jędrzejewski i ks. Leon Pastor. Fakt oddania do użytku nowego budynku szkolnego stał się okazją do świętowania dla uczniów i obywateli Dębicy (Zielecki A. „Wczasach autonomii ...”s.263, Kwolek A. „Liceum...” s.13).

W rytm pracy szkoły były włączone uroczystości i święta państwowe, narodowe i religijne. Obok świąt ogólnopństwowych, związanych z panującą w owym czasie dynastią, obchodzone były rocznice narodowe. Uroczysty charakter miały obchody setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego w listopadzie 1909 roku, kiedy to ulicę, przy której mieścił się budynek szkoły, nazwano imieniem wieszczka.

Oprócz zajęć lekcyjnych szkoła

L. 16.
C. k. gimnazjum Franciszka Józefa w Dębicy

Świadectwo szkolne.

Jedynak Jan Henryk

urodzony dnia 20. lipca 1898, w Pasieczynie or
rym. kat. religii, uczeń klasy pierwszej B, otrzymuje niniejszem za pierwsze półrocze
roku szkolnego 1907/8 świadectwo pierwszego stopnia

Obyczaje:
Prawość: *chwalebne*
dobra

Postępy w przedmiotach nauki:

Przedmiot	Postęp	Podpis nauczyciela
w nauce religii:	<i>dostateczny</i>	<i>...</i>
w języku łacińskim:	<i>dostateczny</i>	<i>...</i>
w języku greckim:		
w języku polskim:	<i>dobry</i>	<i>...</i>
w języku ruskim:		
w języku niemieckim:	<i>dostateczny</i>	<i>...</i>
w geografii i historii powszechnej:	<i>dostateczny</i>	<i>...</i>
w matematyce:	<i>dostateczny</i>	<i>...</i>
w fizyce:		
w historii naturalnej (zool.):	<i>dobry</i>	<i>...</i>
w propedeutyce filozofii:		
Przedmioty nadobrotkowe		
w historii kraju rodzinnego:		
w gimnastyce:	<i>bardzo dobry</i>	
w kaligrafii:	<i>dostateczny</i>	
w śpiewie:	<i>bardzo dobry</i>	

Forma zewnętrzna wypracowań pismennych: *dobra*

Liczba godzin opuszczających: 5, z czego nie usprawiedliwiono: 0

W Dębicy dnia 30. stycznia 1908.

... Dyrektor
... Gospodarz klasy.

prowadziła różnorodne formy działalności pozalekcyjnej dla uczniów. Były to kółka zainteresowań, orkiestra szkolna czy korpusy studenckie. Kółka skupiały przeważnie uczniów klas starszych. Ich działalność opierała się na odczytach, przygotowanych i wygłaszanych przez uczniów pod opieką nauczycieli oraz dyskusji. Podczas jednej z nich Jan Henryk Jedynak, syn posła do Sejmu Krajowego, wdał się w ostrą polemikę dotyczącą spraw politycznych, sprzecznych z ówczesną racją stanu. Ta aktywność i wyrażone opinie omal nie doprowadziły do wydalenia go ze szkoły. Nie uczyniono jednak tego kroku, biorąc pod uwagę zasługi jego ojca w czasie starań o utworzenie gimnazjum, jak również ówczesny jego status polityczny i społeczny. Niepomniernie wzrósł wtedy prestiż Jana Henryka w gimnazjum, co zresztą usiłował przenieść na grunt szkolny. Pewniejszy swej pozycji społecznej wiódł prym wśród rozpolitykowanej młodzieży szkolnej.

Wśród kół zainteresowań jednym z ważniejszych było kółko pracy fizycznej oraz powstałe w roku szkolnym 1910/11 kółko ekonomiczne. Miały one na celu zapoznanie młodzieży z gałęziami praktycznego życia, propagowanie myśli uprzemysłowienia kraju i ekonomicznego kształcenia młodzieży. Opiekunem koła był wychowawca Jana Henryka Jedynaka, Michał Radomski, który skupiał wokół siebie aktywnych uczniów dwóch najstarszych klas. Organizował zajęcia w dziedzinie ogrodnictwa i fotografii oraz w ramach tzw. warsztatów studenckich. Praktyczną formą działania było zwiedzanie wystaw rolniczych, szkółek drzew i sadów oraz prace ogrodniczo-porządkowe. Jan Henryk Jedynak jako uczeń VI klasy gimnazjalnej włączył się w prace kółka abstynentów. Jego działalność wznowiona została z dniem 14 lutego 1910 roku. Kółkiem kierowali nauczyciele Jan Kozłowski i Bolesław Pochmarski. W roku szkolnym 1910/11 odbyły się 4 posiedzenia i wygłoszono 5 odczytów. Dotyczyły one problematyki walki z alkoholizmem w kraju, i za granicą oraz jego szkodliwości.

Duże znaczenie dla wiedzy zdobywanej przez uczniów w ramach różnorodnych kółek zainteresowań miała zorganizowana pod koniec sierpnia 1910 roku w Dębicy wystawa Ligi Pomocy Przemysłowej. Jej otwarcie zbiegło się z odbywającym się 27 sierpnia jarmarkiem i zjazdem okręgowym Towarzystwa Kółek Rolniczych. Uświetniły ją odczyty, pokazy procesów wytwórczych, występy chórów, teatru amatorskiego i ćwiczenia sokołów miejscowego gniazda.



Wyroby krajowe i miejscowe wystawiano w salach szkolnych C.K. Gimnazjum Franciszka Józefa I w Dębicy. Uroczystego otwarcia dokonał prezes LPP książę Andrzej Lubomirski w asyście władz powiatowych i miejskich, duchowieństwa oraz posłów Michała Jedynaka i Jana Siwuli. Z racji obecności ojca w tym gremium była to pewnego rodzaju nobilitacja dla młodego studenta Jan Henryka Jedynaka. Część eksponatów Towarzystwo „Pomoc Przemysłowa” podarowało kołu ekonomicznemu, prowadzącemu praktyczną działalność i utrzymującemu wystawę prezentującą wyroby krajowe potrzebne uczniom (Kwolek A. „Liceum...” s. 15).

Kolejnym wydarzeniem integralnie związanym z młodzieżą gimnazjalną było stworzenie w listopadzie 1911 roku ruchu skautingowego. Przejął on doświadczoną młodzież szkolną, w ramach tzw. korpusów studenckich. Kontynuacją tego ruchu w późniejszym czasie był „Strzelec”.

Jako abiturient gimnazjum wraz z pozostałymi uczniami i społecznością Dębicy doczekał się Jan Henryk Jedynak uroczystej chwili, jaką było podniesienie jej decyzją cesarską do rzędu miast. Niewątpliwie petycja społeczności dębickiej została skierowana do Parlamentu Wiedeńskiego za pośrednictwem miejscowych posłów: Michała Jedynaka i Jana Siwuli. W tym czasie funkcję ministra d.s. Galicji sprawował poseł Władysław Długosz. Dzięki jego staraniom sprawa ta przybrała pozytywny oddźwięk na dworze wiedeńskim. Stąd stosowna decyzja cesarza Franciszka Józefa I z dnia 27 czerwca 1912 roku. Niejako w dowód wdzięczności dla posła Władysława Długosza za jego wsparcie Rada Miejska przyznała mu tytuł Honorowego Obywatela Miasta Dębicy (Parlament Rzeczypospolitej Polskiej 1911/1927. Pod red. H. Mościckiego i W. Dzwonkowskiego, Warszawa 1928, s. 202).

Przez okres ośmiu lat nauki w dębickim gimnazjum Jan Henryk Jedynak zdobył określoną programem nauczania wiedzę. Nabył pewnego doświadczenia, ugruntował swoją pozycję społeczną i polityczną przez czynne uczestnictwo w życiu szkoły i związanych z nią wydarzeniach. Pomocne mu w tym były obserwacje i doświadczenia wyniesione z domu rodzinnego, gdzie spotykał ciekawych ludzi i słuchał dyskusji o charakterze politycznym i gospodarczym. Oderwany niejako od domu rodzinnego darzył rodziców szacunkiem i miłością. Będąc uczniem VIII klasy, na przełomie 1911/12 roku odwiedził w Szczawnicy przebywającą tam na kuracji zdrowotnej matkę Karolinę. Świadczy o tym



zachowane zdjęcie, wykonane przez Zakład Artystycznej Fotografii Antoniego Rapacza w Szczawnicy.

Potwierdzeniem pobytu matki Karoliny w sanatorium jest list pisany męża Michała Jedynaka, informujący o stanie zdrowia, toku leczenia, jak również o wizycie w Szczawnicy arcyksięcia austriackiego z Wiednia.

Szczególne znaczenie dla młodego gimnazjalisty miały wybory do Sejmu Krajowego we Lwowie w 1908 roku i do Parlamentu Wiedeńskiego w 1911 roku. W trakcie pierwszych ojciec Michał Jedynak zdobył mandat posła do Sejmu Krajowego, który pełnił przez jedną kadencję do 1913 roku. W 1911 roku lud wiejski obdarzył go godnością posła do Parlamentu Wiedeńskiego. Z tego względu Jan Henryk Jedynak posiadał ogromną wiedzę w zakresie parlamentarizmu. Miał możliwość osobiście poznać wielu posłów, tak do Sejmu Krajowego we Lwowie, jak i do Rady Państwa w Wiedniu, którzy spotykali się z jego ojcem. Miało to niekiedy miejsce w domu rodzinnym w Paszczynie.

Po zdaniu egzaminu dojrzałości Jan Henryk Jedynak podjął dalszą naukę w Akademii Rolniczej w Dublanach koło Lwowa (...).



Akademia Rolnicza w Dublanach k. Lwowa.

Rodzina i szkoła ukształtowały jego życiową postawę przesyconą patriotyzmem. W czasie I wojny światowej jako student został zmobilizowany do Legionów Polskich, walczył o odzyskanie niepodległości ojczyzny podczas kampanii w Bukowinie oraz na Wołyniu.

W latach 1918-1920 uczestniczył w walkach o utrzymanie niepodległości



Pluton chorążego Jana H. Jedynaka na Wołyniu wiosną 1916 r.



Legitymacja Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Polski. W dowód uznania za okazane męstwo na polu walki został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Niepodległości, Medalem za Wojnę 1919-21 oraz dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Jednocześnie został awansowany do stopnia kapitana z chwilą przejścia do rezerwy.

W latach II Rzeczypospolitej był trzykrotnie wybierany na posła do sejmu, pełniąc godność wicemarszałka w ostatniej kadencji do września 1939 roku. Jako osoba znana z licznych przedsięwzięć społeczno-gospodarczych zorga-



Legitymacja poselska
Jana H. Jedynaka.

Legitymacja poselska
1938 r.



nizował z hr. Edwardem Raczyńskim Fabrykę Przetworów Mięsnych i Bekonów w Dębicy. Wykorzystując liczne koneksje, w tym z wicepremierem Eugeniuszem Kwiatkowskim, w znaczny stopniu przyczynił się do lokalizacji 4 zakładów COP-u na terenie powiatu dębickiego.

Uczestniczył w zmaganiach obronnych w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku z hitlerowskimi Niemcami. Okres II wojny światowej spędził w Palestynie. Należał do sygnatariuszy listu 12 polskich kawalerów Orderu Vir-



Plutonowy Jan Henryk Jedynak podczas rekonwalescencji w Abbazji w 1915 r.

tuti Militari skierowanego do ojca św. Piusa XII z prośbą o wyjaśnienie losu polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. Jan Henryk Jedynak zmarł 26 maja 1966 roku w Londynie, gdzie został pochowany na miejscowym cmentarzu Kensal Green.

Podczas obchodów 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości 20 maja 2018 roku w Paszczynie odsłonięta została tablica pamiątkowa ku czci posłów z Paszczyny, w tym Jana Henryka Jedynaka. Ufundowana została przez społeczność Paszczyny i Powiatu Dębickiego.



Podczas rekonwalescencji w Hajfie.

Józef Pluta „Wspomnienia o Jedynakach” (fr.).

s. dr M. AGNIESZKA SKRZYPEK SBDNP

Historia warstwą wydarzeń powleka zmagania sumień.

W warstwie tej drgają zwycięstwa i upadki.

Historia ich nie pokrywa, lecz uwypatnia.

K. Wojtyła, *Myśląc Ojczyzna*

WSPOMNIENIA SĄ JAK PERŁY, MAJĄ COŚ Z KLEJNOTÓW I COŚ Z ŁEZ...



s. dr M. Agnieszka Skrzypek.

Poproszona o napisanie wspomnień, kategorycznie odmówiłam. Postanowiłam bowiem nie pisać o wydarzeniach z okresu mojej nauki w latach 1991-1995 w I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, gdyż powrót do łez i bólu nie jest ani miły, ani twórczy, zarówno dla mnie samej, jak i tych, którzy być może sięgną kiedyś po tę lekturę. Dla mnie osobiście to był okres bardzo trudny. Czas zmagania się z nieuleczalną chorobą w moim życiu, kłócenia się z Bogiem, depresyjnych lęków, nieakceptacji, a zatem cokolwiek bym nie napisała przez „pryzmat takiej perły” nie byłoby prawdziwej obiektywności. Życie i codzienność zaskakują jednak bardzo i może chodzi o to, aby zauważyć znaki, które, myślę, każdy z nas ma w swoim życiu, odczytać je i dać się poprowadzić Temu, który pisze prosto nawet na krzywych liniach. Po co? Aby dać się wyzwolić – to naprawdę sztuka. Tu przypomina mi się jeden z moich ulubionych fragmentów poezji Wojtyły: „Wolność stale trzeba zdobywać, nie można jej tylko posiadać. Przychodzi jako dar, utrzymuje się poprzez zmaganie, dar i zmaganie wpisują się w karty ukryte, a przecież jawne. Całym sobą płacisz za wolność – więc to wolnością nazywaj, że możesz płacąc, ciągle na nowo siebie posiadać”.

Zupełnie niespodziewanie 23 listopada 2024 r. w czasie mojego wykładu podczas Dębickiej Debaty o Wychowaniu w sali sesyjnej miejskiego ratusza przyszła myśl, że trzeba to opisać, trzeba utrwalić w zbiorowej pamięci tych,



którzy dla sprawy wychowania i kształcenia potrafili przeciwstawiać się różnym formom zniewolenia. Wówczas pomyślałam o nauczycielach z I LO, siostrach służebniczkach i kandydatkach – młodych dziewczynach, które chciały służyć w przyszłości Bogu i ludziom, będąc siostrami zakonnymi, o pokoleniach, dla których wartość szkoły, jako kształcenia, zdobywania wiedzy oraz uczenie podstawowych życiowych zasad są obiektywnym dobrem człowieka – najlepszą inwestycją w przyszłość. Gdy zaczęłam zbierać relacje naszych siostr i przelewać na papier, doszłam do wniosku, że „tą zapłatą wchodzimy w historię i dotykamy jej epok”, dlatego warto się zastanowić nad odpowiedzią na pytanie zadane przez Wojtyłę: „Którędy przebiega dział pokoleń między tymi, co nie dopłacili, a tymi, co musieli nadpłacić? Po której jesteśmy stronie?”. Może w tej odpowiedzi pewne światło da nam pryzmat źródła, choć nauka ostatnich kilkunastu dekad odrzuciła je. Jest to wielki błąd, a może jeszcze bardziej perfidnie zamierzone działanie, nie ma bowiem lepszej pożywki chorobotwórczej dla bakterii fałszu i legend, jak strach przed prawdą i brak woli. Dlaczego odrzuca się dziś źródła? Odrzucamy źródła, bo jeśli je odrzucimy, to jest to najskuteczniejsza forma manipulacji ludzkością, dziejami ducha, ideologiami. Jeśli się nie odkryje źródła, to nie zna się rzeczywistości, wyjaśnia prof. Andrzej Nowak. Tymczasem już Arystoteles uczył, że dopiero wtedy możesz znać rzeczywistość, bytowość, jeśli ją poznasz w świetle przyczyny (źródła). Przyjrzyjmy się zatem źródłom.

Na podstawie materiałów archiwalnych oraz danych przygotowanych i udostępnionych przez pracowników I Liceum Ogólnokształcącego: p. Lilianę Wolińską oraz p. Magdalenę Wiktor za zgodą pani dyrektor Ludmiły Stelmach-Kołodziej, a także w zestawieniu z archiwaliami zgromadzenia wygląda na to, że od początku istnienia I LO do czerwca 2024 r. szkołę ukończyło dziewięć tysięcy dwieście dwadzieścia sześć uczennic. Dziewczęta zaczęły uczęszczać do gimnazjum od 1907 r. i były one w większości pochodzenia żydowskiego. Z czasem dziewcząt przybywało coraz więcej. Pierwszą uczennicą, która wstąpiła do Zgromadzenia Służebniczek Dębickich po maturze w 1950 r. była Zofia (s. M. Martyniana) Bewszko. Muszę przyznać, że zdziwiło mnie to, iż w sumie tylko pięć uczennic tej szkoły po maturze wstąpiło do służebniczek dębickich, w tym dwie dębiczanki: Zofia (s. M. Martyniana) Bewszko, Małgorzata (s. M. Małgorzata) Powrózek oraz trzy spoza



Dębicy: Renata (s. M. Ewelina) Szczyrba i jej siostra Agata z Brzeźnicy oraz Agnieszka (s. M. Agnieszka) Skrzypek z Bobrowej. Ponadto Krystyna (s. M. Martina) Pinas chodziła do I LO i po trzeciej klasie wstąpiła do zgromadzenia tak, że klasę czwartą i maturę w LO zdawała już jako postulanka. Możemy więc przyjąć, że sześć dziewcząt wstąpiło po maturze do służebniczek dębickich. Trzy siostry (Martyniana, Małgorzata i Martina) spośród osiemnastu dębiczank, które w latach 1907-2024 wstąpiły do zgromadzenia, ukończyło I LO, zakładając możliwość pewnego błędu tzn. w dokumentacji personalnej służebniczek są pewne braki i mogło się zdarzyć, że któraś z sióstr została pominięta.

Według archiwaliów zgromadzenia w latach 1970 - 1988 pięć dziewcząt będących w zgromadzeniu ukończyło liceum. Wówczas nauka odbywała się w tajemnicy przed dyrektorem i władzami. Były to postulanki (dziewczeta przyjęte do Zgromadzenia Służebniczek Dębickich, będące dłuższy już czas z siostrami w zgromadzeniu, na co dzień chodzące w strojach świeckich): Anna Basta, Łucja (s. M. Izabela) Puchała, Anna (s. M. Gizela) Wiśniewska, Janina (s. M. Noemi) Wilk. Ponadto dwie skończyły zaoczne LO, a w 1988 roku LO dla pracujących s. M. Fustyliana Surman i s. M. Wawrzyniana Sławecka, natomiast dwie zaczęły i nie skończyły: Beata (s. M. Beatrycja) Michalik oraz Grażyna (s. M. Scholastyka) Kiwak. Co może warto zaznaczyć, nieukończenie przez nich szkoły nie wynikało ani z tego, że sobie nie poradziły, ani również z tego, że nauczyciele wobec nich byli niezyczliwi. Były to zupełnie inne powody, o których wspominają w relacjach. Wygląda na to, że w sumie czternaście sióstr służebniczek korzystało z nauki w „Jagiellonce”. Trzeba też zaznaczyć, że nie wszystkie wytrwały w powołaniu. Przyjrzyjmy się wspomnieniom sióstr.

WSPOMNIENIA SŁUŻEBNICZEK DĘBICKICH Z I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO IM. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY W DĘBICY

Łucja (s. M. Izabela) Puchała tak wspomina te lata: „Do I Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy uczęszczałam w latach 1970 - 1974 do klasy „E”. Pochodzę z wielodzietnej rodziny z Kosiny k/Łańcuta, mam 9 rodzeństwa.



W mojej miejscowości w tamtych latach posługiwały siostry służebniczki dębickie i wtedy też zrodziło się moje powołanie do Zgromadzenia. S. Symforiana Iwanejko przywiozła mnie do Dębicy do Domu Generalnego dnia 1 sierpnia 1970 roku, a ponieważ byłam jeszcze zbyt młoda, jako kandydatka 15-latką zostałam posłana do I LO w Dębicy pod koniec września 1970 roku (prawie miesiąc później od rozpoczęcia roku szkolnego). S. Lauretta Urbańska przez zaufaną nauczycielkę, panią prof. Stanisławę Gawryś z LO prosiła, bym mogła być przyjęta do szkoły. Pamiętam, że byłyśmy u tej nauczycielki prywatnie w domu. Najpierw ja weszłam do domu i za jakiś czas s. Lauretta, by mnie nikt nie zobaczył idącą z siostrą zakonną. Były to czasy komuny. Na ulicy miałam nie znać żadnej siostry zakonnej, nie pozdrawiać, by nie podpaść, by jakaś koleżanka nie zobaczyła, że ja mam coś wspólnego z zakonem. Pani prof. Gawrysiowa z kolei miała też zaufaną koleżankę, która uczyła mnie j. polskiego (nie pamiętam nazwiska) [Władysława Gazda] i też życzliwie okazywała pomoc, nawet kilka razy byłam na korepetycjach u niej w domu, a ponieważ pięknie recytowałam wiersze, ta zapisała mnie do grupy teatralnej. Był to łańcuch życzliwych ludzi, dla których wiara i przynależność do Kościoła były ważne.

Pani Gawryś była to moja dobra „opiekunka”, uczyła mnie



Pani prof. Stanisława Gawryś.
Źródło: Archiwum I LO.



Lucja Puchała stoi w ostatnim rzędzie od góry siódma od lewej. Klasa „E” rocznik 1970-1974 I LO w Dębicy.
Źródło: Zbiory s. Izabeli Puchały.



historii, czuwała, pomagała w nauce, bo miałam już wtedy zaległości. Pamiętam jak raz odpisałam dosłownie na kartkówce od kolegi z klasy i to potem wyszło na jaw, to ta sama nauczycielka wzięła mnie na szczerą rozmowę, czy mnie może coś łączy z tym kolegą z klasy? Jak widać, „ochraniała” też moją drogę powołania.

Jedna koleżanka z klasy, Zosia, też mieszkała na tej samej ulicy, nieraz chciała się spotkać, jak to koleżanki, a ponieważ ostatnie 2 lata mieszkałam już w postulacie, nie mogłam jej nigdy zaprosić, bo wiadomo było dlaczego. Wychowawczyni klasy, pani (nie pamiętam nazwiska), była mi bardzo nieprzychylna, dopytywała czy nie mam LO bliżej domu rodzinnego? Dlaczego aż w Dębicy? By wyjść na cało mówiłam, że tu mieszka moja „ciocia” i nie muszę dojeżdżać do szkoły, a i rodzicom lżej, bo nas w domu dziesięcioro. Na samym początku zwracała mi uwagę o noszenie zbyt długiego fartucha do szkoły, upokarzała wobec całej klasy, wyśmiewała z ironią: „Dlaczego nie nosisz fartucha jak inne koleżanki w klasie (była wtedy moda mini) przed kolano, wyróżniasz się od innych, może jesteś z klasztoru?” Musiałam w tamtej chwili „wyprzeć” się klasztoru, mówiąc, że ten fartuch szkolny mam po starszej siostrze, a rodziców nie stać było na nowy. A jak pojechaliśmy z klasą w Góry Stołowe na wycieczkę, to też pojawiły się uwagi pod moim adresem ze strony wychowawczyni: „Łucjo, kto to się wybiera w góry w plisowanej spódnicy?”- bo



S. M. Izabela (Łucja) Puchała na audiencji w Watykanie wita się z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. Początek lat 80. Źródło: Zbiory s. Izabeli Puchały.

wszyscy byli w spodniach. Zgromadzenie posyłało na początku na wywiadówkę kogoś z rodziny s. Darii Kozińskiej (fikcyjnie to miał być ktoś z mojej rodziny), ale pani wychowawczyni nie zgodziła się, musieli być to rodzice i tak raz mama i znowu tato 75 km przyjeżdżali pociągiem do szkoły na wywiadówkę, a ja się cieszyłam najbardziej z tych odwiedzin. Pod koniec nauki w szkole w LO ktoś (?) na mojej szkolnej ławce, a mieliśmy stałe miejsca, wyrył dużymi literami słowo „K L A S Z T O R”. Czyż to nie było trafne słowo w czasach komunizmu? Koleżanki i koledzy byli fajni, życzliwi. Na studniówkę, by trochę odwrócić uwagę od „klasztoru”, s. Mistrzynie kazała wpłacić za siebie i za jej brata, którego ja osobiście nigdy nie widziałam, a z którym miałam iść na bal w szkole (to była fikcja). Cała klasa z ciekawością czekała kiedy się Łucja zjawi w długiej sukni balowej na studniówce i się nie doczekali. Dopiero 21 sierpnia 1974 roku mogłam w długiej „sukni balowej” – habicie po uroczystych obłóczynach zakonnych iść dalej za Panem... jako służebniczka Maryi.

Wspominam te niektóre sytuacje jako przygody życiowe i teraz można się z nich pośmiać, nie mam żalu do nikogo, w takich czasach się wychowywaliśmy. Musiałam być na każdym pochodzie 1-majowym, a przed trybunami trzeba było odwracać w ich stronę głowę i wymachiwać tym co się wtedy



S. M. Izabela (Łucja) Puchała wśród chorych z personelem kliniki Villa Margeritta w Rzymie, gdzie pracowała jako pielęgniarka (1979-1997). Źródło: Zbiory s. Izabeli Puchały.



S. M. Izabela (Łucja) Puchała wśród chorych w Siegsdorf w Niemczech, 2024. Źródło: Zbiory s. Izabeli Puchały.

trzymało w rękach... Bóg mnie prowadził taką drogą, takich ludzi spotkałam w szkole i jestem Mu wdzięczna za dar powołania, a Zgromadzeniu za możliwość nauki. Te cztery lata przeżyte w szkole, mimo zewnętrznych „skrępowań”, w sercu zawsze była nadzieja, spokój i odwaga, że: „Ku wolności wyswobodził nas Chrystus”

W tym roku w maju minęło 50 lat od matury, po 1974 roku nie uczestniczyłam w żadnych szkolnych rocznicach, gdyż od 45 lat posługuję na placówkach za granicą, wcześniej w Rzymie (1979 – 1997), a obecnie od 27 lat przebywam w Siegsdorf w Górnej Bawarii, posługuję wśród starszych osób oraz aktywnie udzielam się w parafii. Kilka razy spotkałam koleżankę Krystynę w Dębicy z parafii Miłosierdzia, ale po ciężkiej chorobie jest już u Pana...

Relacja s. M. Izabeli (Łucji) Puchały, Siegsdorf - Niemcy 27 XI 2024. Zdjęcia Łucji (s. Izabeli) Puchały pochodzą z jej zbiorów.

Anna (s. M. Gizela) Wiśniowska pisze: „Urodziłam się w rolniczej rodzinie Wawrzyńca i Karoliny Wiśniowskich 19 VII 1959 r. we Frysztaku, miejscowości położonej nad jednym z najbardziej malowniczych przełomów rzeki Wiśłok. Dom rodzinny był w wiosce Widacz, a rodzice uprawiali 4 ha pola, jednak to nie wystarczało na utrzymanie licznej rodziny, bo miałam trzech braci i trzy siostry, dlatego ojciec pracował także w zakładzie, ale zmarł nagle, gdy mia-

łam 7 lat. Wówczas w sanktuarium Matki Bożej Zawierzenia w Tarnowcu, moja mama, jako najmłodsze dziecko, ofiarowała mnie Maryi, która mnie poprowadziła do zgromadzenia maryjnego słuźebniczek dębickich. Wstępując do zgromadzenia, miałam rozpocząć postulat. Siostra Wikaria (zastępczyni przełożonej generalnej) Lauretta Urbańska, gdy zobaczyła moje świadectwo, posłała mnie do szkoły - Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy, dlatego musiałam przyjechać wcześniej do klasztoru 16 czerwca 1974 r. w uroczystość Bożego Ciała przekroczyłam furtę klasztorną.

Postulat to okres 4-letniej nauki w LO w Dębicy. To był czas komunizmu. Do szkoły chodziłam tajnie. Dzięki dobroci ludzi byłam zameldowana u Państwa Grabowskich przy ul. Krakowskiej 25. To była moja „ciocia” (tak mówiłam w szkole). Dla zmylenia koleżanek często po lekcjach szłam do „cioci”. Nigdy nie mogłam zaprosić koleżanek, bo „ciocia” tego sobie nie życzyła. Dzięki temu, że wychowawczyni prof. Władysława Gazda była wtajemniczona, nikt z rodziny nie musiał przyjeżdżać na wywiadówki.

Zresztą ta pani profesor była w stałym kontakcie z naszym klaszturem. Pamiętam taki obrazek, że w naszym klasztorze były dwie kandydatki, młodsze ode mnie dojeżdżające do Sędziszowa do szkoły, a tam był większy rygor, jeśli chodzi „o prześladowanie” tzn. dokuczanie wierzącym (przynajmniej takie miałam odczucie). Okazało się, że jedna z naszych kandydatek miała kłopoty z matematyką, mimo że jej pomagałam, wydawało się, że nie przejdzie, wówczas wkroczyła do akcji prof. Władysława Gazda. Pojechała do Sędziszowa, aby ratować sprawę i rzeczywiście uratowała. Nie tylko sprawę oceny, ale także wybawiła od samotności pana Prokopa, swojego przyszłego męża. Wspomnę jeszcze, że nasze kandydatki, wracając



Pani prof. Władysława Prokop (Gazda). Archiwum I LO.

z Sędziszowa pociągiem, ze stacji wstępowały po drodze do mieszkania pani prof. S. Gawrysiowej, emerytowanej nauczycielki dębickiego LO, aby zmylić „śledzące je koleżanki”, a dopiero później wracały do klasztoru. Nie umiem powiedzieć czy te „śledzenia” były tylko babską ciekawością, czy rzeczywiście ktoś im kazał.

Byłam dobra z matematyki, kupowałam sobie zbiory zadań i je rozwiązywałam – bardzo to lubiałam, sprawiało mi to radość. Koleżanki prosiły mnie o pomoc, jednak do domu nigdy nie przyjmowałam koleżanek, zostawałam tylko po szkole i uczyłam je. Bywało rzadko, ale się zdarzało, że szłam do domu koleżanki, np. do Ludmiły, aby ją uczyć. Za tę pracę po lekcjach wpisywano punkty z zachowania – był to tak zwany czyn społeczny.

Dyrektor Edmund [jak nasz założyciel Bojanowski] Galas był komunistą: zabronione były np. pielgrzymki do Częstochowy, zwłaszcza przed maturą. Miał swoich „pupilów”, którzy jechali, by robić zdjęcia i doręczać dyrektorowi. Jednak jako człowiek był dobry i wrażliwy, bardzo go szanowałam. Szłam korytarzem i on zwrócił uwagę na mój skromny strój – tak mi się wydaje. Nie było wypros u naszej siostry mistrzyni, trzeba było w zimie nosić takie „dresowate” spodnie na kolanach pozwijane, wyglądało to przynajmniej dla mnie, okropnie. Wracając do dyrektora, zapytał mnie: Dlaczego chodzisz tutaj do LO skoro bliżej było w Jaśle, Krośnie czy Strzyżowie? (pochodziłam z okolic Frysztaka). Poleciał mi iść do kancelarii i napisać wniosek o stypendium i nic się nie przejmować. Od tej pory pobierałam stypendium. W trzeciej klasie LO brał mnie, by prowadzić zajęcia z matematyki w I lub II klasie, jeśli brakowało nauczycieli z powodu chorób lub zachodziła taka konieczność. W III klasie zachęcał do zapisywania się do partii. Zapewniał, że to będzie gwarancją zdanej matury. Nigdy nie robił mi problemu, że się nie zapisałam. Odradzał mi język niemiecki jako wybrany przedmiot na maturze, gdyż za to nie będę mieć punktów. Wolał, abym wybrała np. fizykę, zależało mu bardzo bym wybrała sobie dobry kierunek, a ja do końca „nie byłam zdecydowana”, co wybiorę. Nie mogłam powiedzieć, że ja już wybrałam. W czasie tych czterech lat doświadczyłam ogromnej Opatrzności, że nikt „nie wywęszył” mojego autentycznego miejsca zamieszkania. Koleżanki raczej się domyślały, że pójde do klasztoru, ale żadna się nie zdradziła i nie zapytała wprost. Mimo takich utrudnień LO dębickie wychowało wielu kapłanów i zdaje się, że za dyrektora Galas najwię-



cej chłopców wstąpiło do seminarium. Czas 4 lat w Liceum Ogólnokształcącym był czasem kandydatury i postulatu. Czas ten przebiegał pod okiem Siostry Mistrzyni Darii Kozińskiej, a jako uczennica obowiązków w formie dyżurów stałych w domu nie miałam. Podobnie byłam zwolniona z lekcji z ks. kapłanem Teofilem Decem. W czasie wakacji, oprócz wyjazdu do domu rodzinnego wyjeżdżałyśmy na placówki do pomocy np. do Krościenka, Przeczy-cy, Szczurowej czy Zaborowia.

Relacja s. Gizeli (Anny) Wiśniowskiej, Tuchów 12 V 2016; Kopenhaga w Danii, 27 XI 2024.



S. M. Gizela (Anna) Wiśniowska jako zakrystianka w kościele parafialnym p.w. Św. Anny w Kopenhadze, 4 XII 2024 r.

Krystyna (s. M. Martina) Pinas tak wspomina po latach szkołę średnią: „Do Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy uczęszczałam w latach 1979 - 1983. Po ukończeniu trzeciej klasy, wstąpiłam

do zgromadzenia – 28 sierpnia 1982 r. Będąc kandydatką, a potem od lutego postulantką, kontynuowałam naukę w tym samym liceum, tj. IV maturalną klasę. Zameldowana byłam u mojej cioci przy ul. Rzeszowskiej. Przed wstąpieniem do zgromadzenia przyjaźniłam się z Jasią Wilk (późniejszą s. Noemi). Razem prosiłyśmy o przyjęcie i razem przyszłyśmy. Ona była zameldowana u sąsiadów – państwa Jachimków – toteż przechodziłyśmy przez ich podwórko, aby dojść do domu zakonnego. W szkole raczej nikt nie wiedział, że jestem postulantką, chociaż na jednej lekcji z propedeutyki, uczyła nas tego pani Maria Marek (jeśli dobrze pamiętam nazwisko), pytała mnie z bieżących wydarzeń w świecie. Chodziło o wprowadzenie klauzuli wobec Polski przez Stany Zjednoczone. Słowo „klauzula” podkreślała, przekręcała, a potem zapytała czy trafiła w dziesiątkę. Miałam problem z zaliczeniem przedmiotu historia, którą w IV klasie miałam z dyrektorem szkoły Edmundem Galasem. Ale z historii to ja nigdy dobra nie byłam. Postrachem był pan od j. rosyjskiego Józef Nowak. Mnie jeszcze dał „przeżyć”, ale kolega, Stasiu Maciaszek, którego brat po skończeniu tej szkoły poszedł do seminarium, musiał zmienić szkołę, bo nie miał szans na jej ukończenie. Z nauczycieli, którzy pomagali, mogę wymienić panią Władysławę Gazdę, przed maturą udzielała mi korepetycji z j. polskiego (Siostra Mistrzynie mnie z nią skontaktowała). Inni nauczyciele, którzy mnie uczyli, a których nazwiska pamiętam to: wychowawca – Antoni Wozowicz, uczył mnie też fizyki, j. polski – Halina Niziołek, matematyka – Krystyna Jargas, chemia – Anna Dominiak, j. angielski – Eugenia Skiba”.

Relacja s. M. Martiny (Krystyny) Pinas dębiczanki, Kraków 7 XII 2024.

Janina (s. M. Noemi) Wilk – „Urodziłam się 17 czerwca 1965 r. w Przyszowej koło Limanowej, mam 4 rodzeństwa, samych braci, 2 jeszcze żyje. Nauczycielka ze szkoły podstawowej - wychowawczyni z 5 klasy, wspominała kiedyś, że na pytanie: „kim chcesz zostać?” napisałam na karteczce: misjonarką, siostrą zakonną i pielęgniarką. Nosiłam w sercu te pragnienia, pamiętam, że nie miałam problemu z daniem odpowiedzi. Kiedy przyszedł czas wyboru dalszej nauki po szkole podstawowej, chciałam pójść do szkoły pielęgniarskiej w Limanowej. Moi rodzice nie chcieli, bym pracowała w zawodzie pielęgniarki i radzili, bym poszła do ogólniaka, a potem decydowała, w jakim kierunku uczyć się dalej. Taka idea i mnie wydała się dobra, zaczęłam więc szukać szko-



ły średniej. Dębica leży w sporej odległości od mojej rodzinnej miejscowości, a pomógł mi tam dotrzeć kuzyn Mamy, Stanisław Tokarczyk, który uczył matematyki w Technikum Mechanicznym w Dębicy i tam mieszkał ze swoją rodziną. Wyrażał się bardzo przychylnie o I LO, mówił, że nauczanie jest na wysokim poziomie, dobra kadra pedagogiczna, a mnie najbardziej przekonało to, że była tam klasa humanistyczna z poszerzonym językiem angielskim. Miałam na uwadze obcy język ze względu na misję. Do I Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Jagiełły uczęszczałam w latach 1980 - 1984. Wychowawczynią klasy była pani Grażyna Magnowska, którą wspominam bardzo miło i z ogromną wdzięcznością. Przez pierwszy rok mieszkałam w internacie przy ulicy Wielopolskiej, potem internat ten zlikwidowano i przeniesiono nas do internatu przy Technikum Mechanicznym. Miałam sporo koleżanek, tych z I LO, ale także z Zespołu Szkół Ekonomicznych, gdyż w internacie mieszkaliśmy razem. Po raz pierwszy poprosiłam o przyjęcie do Zgromadzenia Matkę Celinę Czechowską w wakacje po 1 klasie LO. Matka generalna powiedziała mi wtedy, że będę musiała poczekać rok, a potem jeśli wytrwam w postanowieniu, przyjmie mnie. Nie wyraziła zgody, bym przerywała naukę, opuszczając szkołę. Będę mogła kontynuować naukę, równocześnie będąc w postulacie.

Prosiła również, bym nie mówiła o tym nikomu, gdyż czasy są takie, że nie mogłabym oficjalnie kończyć szkoły dziennej, będąc w klasztorze. W wakacje po ukończeniu 2 klasy przyjechała na kilka dni do mojego rodzinnego domu Krystyna Pinas (obecnie s. Martina) przyjaciółka z internatu. Zbliżał się 11 sierpnia, kiedy to miałam pojechać do Krościenka, by poprosić kolejny raz o przyjęcie do Zgromadzenia. Chodziłam kilka dni z dylematem, czy powiedzieć o tym Krysi, tym bardziej, że uczęszczała do tej samej szkoły. Miałam do niej zaufanie i ostatecznie uznałam, że powiem jej powód, dla którego wybieram się do Krościenka, a resztę czas pokaże. Tak też uczyniłam, a ku mojej radości, dowiedziałam się, że ona też pragnie być siostrą zakonną, ale nie wie, jak to zrobić. Pojechaliśmy więc razem do Krościenka i otrzymaliśmy termin wstąpienia do klasztoru na 28 sierpnia. By nie budzić podejrzeń zostawiłyśmy rzeczy u rodziny i przyszliśmy na furtę w wyznaczonym dniu bez bagażu, który potem przywozła s. Stanisława niebieską nyską.

W klasztorze nazywały nas siostry skrótem „szkolne”, a umowa była taka, że na ulicy, spotykając siostry, nie znałyśmy się, ani nie wdawałyśmy się



w żadną rozmowę. Rano wychodziłyśmy przez furtkę sąsiadki, a po szkole wracałyśmy przez tę samą furtkę i od tyłu budynku wchodziłyśmy na teren klasztoru. Pani [Jachimek], sąsiadka, u której teoretycznie mieszkaliśmy na stacji, była dla nas bardzo uprzejma. Czasami przychodziły nasze koleżanki z LO, zawsze informowała nas o tym i podawała usprawiedliwienie naszej nieobecności (zwykle, byłyśmy na mieście w bibliotece). W święta i inne dni wolne od szkoły nie wychodziłyśmy na miasto, w celebracjach uczestniczyłyśmy z siostrami starszymi w kaplicy klasztornej. Nigdy też nie wychodziłyśmy z grupą postulantek. Nie wiem czy ktoś więcej, oprócz najbliższej rodziny, wiedział o tym, że chodziłyśmy do szkoły, będąc w klasztorze. Co jakiś czas przychodziły do Sióstr dziewczęta na dni skupienia, my uczestniczyłyśmy wtedy w chórk. Z naszego LO wstąpiła do klasztoru w tym czasie s. Małgorzata (Małgorzata) Powrózek, a z ekonomika s. Augustiana (Bogusława) Rusin. Z nimi poznałyśmy się, chodząc jeszcze do szkoły. Kiedy zbliżała się matura, pan dyrektor Edmund Gałas wzywał mnie do dyrekcji regularnie co tydzień, zawsze z tym samym pytaniem: dlaczego nie wybieram się na studia? Zawsze odpowiadałam, że mam ku temu swoje powody, ale głównie, że rodzice nie będą w stanie, by mnie wspierać finansowo na czas dalszej nauki. Ostatecznie za radą przełożonych, złożyłam podanie na studia i nie byłam więcej wzywana.

W 1985 roku złożyłam pierwsze śluby i przełożeni wysłali mnie do Krakowa na studium pielęgniarskie. W dniu 1 września 1989 r. wraz z innymi siostrami wsiadłyśmy w Moskwie do Aeroflotu - Russian Airlines, samolot lądował po drodze w kilku zaprzyjaźnionych państwach, włącznie z Kubą. Linie lotnicze Aeroflotu dowiozły nas do Limy, a naszym celem była Cochabamba - Boliwia. Jako że boliwijskie linie lotnicze w tych dniach strajkowały, z konieczności zostaliśmy w Peru przez 3 dni. Wtedy s. Noemi w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że przyjdzie jej pracować także w Peru, gdyż placówka w Tacne w Peru powstała 12 XII 2012 r. Siostra Noemi pisze dalej: „Kiedy wybierałam się do szkoły średniej do dalekiej Dębicy, rodzice żyli nadzieją, że po tym liceum, będzie mi łatwiej dostać się na studia. Pan Bóg miał jednak inne plany i posłużył się takimi okolicznościami do Swoich celów. Kiedy opuszczałam rodzinny dom, rodzice pożegnali mnie, wyrażając pragnienie, które zawsze mi towarzyszy: Chcemy tylko dziecko, abyś była szczę-



śliwa. Teraz po latach pozostaje ogromna wdzięczność za każdy dzień, każdą spotkaną osobę, każdą radość, każde wyzwanie, za Boże prowadzenie i jestem szczęśliwa!”.

Relacja s. M. Noemi (Janiny) Wilk, Tacna w Peru 6 XII 2024.

Siostra Noemi od 40 lat posługuje w Ameryce Południowej. Kierowała misjami służebniczek dębickich, będąc przełożoną wikariatu misyjnego w latach 2001 - 2011. Najpierw posługiwała w Boliwii a obecnie w Peru. Talent organizatorski wykorzystuje w zarządzaniu instytucjami edukacyjno-wychowawczymi na tamtej ziemi, a także medycznymi, gdyż zdobyła wykształcenie medyczno-pielęgniarskie. Obecnie prowadzi inwestycyjne prace dla dobra dzieci w Peru. Ma także duże zdolności pedagogiczne, często wykorzystywane w nauce i tłumaczeniu języka hiszpańskiego.



Cochabamba - Pacata Alta 2007 w Boliwii, śluby wieczyste siostr Boliwijek: s. Honoriny Cadima i s. Rosy Cruz. s. M. Noemi (Janina) Wilk - ówczesna przełożona Wikariatu misyjnego w Ameryce Południowej, w trzecim rzędzie, pierwsza od środka. Źródło: AGSD.



Cochabamba w Centrum Medycznym, s. M. Noemi (Janina) Wilk. Źródło: AGSD.



Peru: posiłki dla biednych w czasie pandemii, od lewej s. M. Rosa Cruz Tirado i s. M. Noemi (Janina) Wilk. Źródło: AGSD.



Tacna w Peru s. M. Noemi (Janina) Wilk z Rodziną E. Bojanowskiego 2024. Źródło: AGSD.



Ochronka w Tacnie w Peru. S. M. Noemi (Janina) Wilk z dziećmi 2024. Źródło: AGSD.

Grażyna (s. M. Scholastyka) Kiwak – „Pochodzę z okolic Dębicy, a dokładnie Nagawczyny. W roku 1978 po ukończeniu szkoły podstawowej, starałam się dostać do Liceum Medycznego w Tarnowie, jednak z braku miejsc byłam zmuszona szukać innej szkoły, wybrałam I LO, dziś im. Króla Władysława Jagiełły. Pamiętam moje obawy co do wysokiego poziomu nauczania, ale i te dotyczące wyznawania swojej wiary. Mimo tego, z czasem zauważyłam, że w gronie pedagogicznym są osoby pozytywnie nastawione do uczniów, którzy nie ukrywali swojej wiary. Osobiście doświadczyłam tego, że pani Władysława Gazda, profesorka od języka polskiego, kiedy dowiedziała się o moich zamiarach przerwania nauki i wstąpienia do klasztoru, nie zmieniła swojego życzliwego nastawienia do mnie i jeszcze bardziej mnie motywowała, abym ukończyła zaczęty rok szkolny”.

Relacja s. M. Scholastyki (Grażyny) Kiwak, Piastów 27 XI 2024.

Z ustnej relacji wiadomo, że mama ówczesnej Grażyny zwierzyła się bowiem pani profesor na wywiadówce szkolnej i płakała, a pani Władysława ją pocieszała i umacniała. Po ukończeniu pierwszej klasy przerwała szkołę i już nigdy do niej wróciła. Grażyna, realizując swoje marzenia wstąpiła do klasztoru, gdzie w wieku późniejszym ukończyła szkołę średnią w innym mieście. Postawa tej Pani wyryła się bardzo w pamięć młodej dziewczyny poszukującej celu i sensu własnego życia.

Krystyna (s. M. Faustylia) Surman urodzona 23 kwietnia 1965 r. w Tuchowie. Razem z rodzicami i trzema braćmi mieszkała w Tarnowie. Do zgromadzenia wstąpiła w 1984 r. Po okresie próby w postulacie i nowicjacie otrzymała nowe imię zakonne Faustylia i złożyła pierwsze śluby w 1986 r. Po ślubach skierowana została do pracy w Domu Pomocy Społecznej na tzw. Wolicy w Dębicy i jednocześnie miała podjąć naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy. Rozpoczęła ją w 1987 r. razem z drugą siostrą służebniczką dębicką s. Wawrzynianą (Dorotą) Sławecką. To było zaoczne trzyletnie liceum dla pracujących. Obie skończyły trzecią klasę, ale nie zdawały matury, gdyż obie chciały iść do domu. Siostra Wawrzyniana odeszła w późniejszym czasie (była jeszcze na dwóch placówkach) i nie wróciła do zgromadzenia, natomiast s. Faustylia odeszła i wróciła już pod koniec sierpnia 1989 r. Śluby wieczyste złożyła w Tuchowie. Dwa lata przebywała w Odporyszowie, a potem w Piastowie, skąd w drugim roku swojego pobytu w tym mieście dojeżdżała do Dę-



bicy, aby zdać maturę. Był to czas tuż po „Okrągłym Stole” – inna atmosfera, ci którzy wcześniej służyli systemowi, pozostając na stanowiskach, pokazywali inne oblicza niż dotychczas musieli czy też chcieli. „Chciałam zdawać na maturze geografę, żeby zrobić przyjemność nauczycielowi tego przedmiotu. Geograf był dyrektorem [Stanisław Kłok], w czasie pamiętnego roku 1989, bardzo przyjaznym dla nas jako sióstr. Nie zdawałam jednak matury z geografii, ponieważ miałam podjąć dalszą edukację związaną z pielęgniarstwem, a biologia była mi potrzebna na egzaminie, aby się tam dostać. Zresztą tak się stało. Po zdaniu matury podjęłam naukę w Studium Pielęgniarskim w Krakowie. Chcę zaznaczyć, że to szkoła wyszła z propozycją, abyśmy uzupełniły maturę, my nie myślałyśmy o tym. Zadzwoiłam do Doroty, ona miała już plany rodzinne, a ja skorzystałam. Chyba ktoś z nauczycieli do nas zadzwonił, jednak nie pamiętam kto. Gdy powróciłam po kilku latach z Piastowa, aby podejść do matury, biologii uczyła ta sama nauczycielka – wyraziła radość. Niestety nie pamiętam imion i nazwisk dzisiaj. Mnie wspominam ten czas, wielką życzliwość nauczycieli, którzy uczyli nas różnych przedmiotów”.



Tuchów, dom nowicjatu słuźebniczek dębiczkich przy ul. Zielonej 10. Śluby wieczyste s. M. Faustyliany (Krystyny) Surman. Stoi w środku obok jej taty, w czerwonej sukience Dorota Sławicka. Tuchów 22 VIII 1992. Źródło: Zbiory Doroty Krupy z d. Sławickiej.

Relacja s. M. Faustyliany (Krystyny) Surman, Dębica 26 XI 2024.

Podobnie do koleżanek wspomina czas swojego pobytu w liceum inna kandydatka, Beata Michalik, dębiczanka. Po szkole podstawowej wstąpiła do zgromadzenia słuźebniczek dębickich w 1984 r. i jako postulantka rozpoczęła naukę w I LO. Atmosferę tych lat wspomina dobrze, mieszkała w klasztorze i w tajemnicy chodziła do szkoły, ale nie przypomina sobie ani jakiś specjalnych zdarzeń ani utrudnień. Chodziła trzy lata, następnie przerwała naukę i poszła do nowicjatu, który w tym czasie był w Tuchowie. Po zakończeniu okresu próby złożyła w 1987 r. pierwsze śluby zakonne i przyjęła imię Beatrycja. W jednym z krakowskich liceów skończyła bez problemu klasę czwartą i zdała maturę – był to koniec lat 80.

Relacja ustna przekazana autorce, Dębica 28 XI 2024.

Na czym zależało przełożonym Zgromadzenia Słuźebniczek Dębickich, gdy ryzykowali, posyłając zdolne, ale przecież bardzo młode dziewczęta do I LO, którym wówczas zarządzał znany ze swoich poglądów antykościelnych, wierzący w religię marksistowską prof. Edmund Galas (nomen omen imię Edmund słuźebniczkom zawsze było i pozostanie drogie przez swojego założyciela)? Przecież narażali się zarówno nauczyciele, siostry jak i same dziewczęta, na represje, kary i wyśmianie. A jednak po latach, z perspektywy czasu, jednoznacznie nasuwa się odpowiedź: Warto podejmować takie ryzyko w imię większych wartości niż ludzki osąd czy opinia, gdyż nie samym chlebem żyje człowiek. Z pewnością wartość kształcenia intelektualnego, rozwoju duchowego to potężna inwestycja na przyszłość. Niezależnie, w jakich czasach przychodzi nam żyć. Czasy zawsze były i są trudne, zawsze niosły i niosą wyzwania, aby zmierzyć się z nimi potrzebujemy celu, wartości, dla których warto je podejmować, mimo przeszkód i przeciwności, a może właśnie ze względu na nie.

Ab initio. W maju 2024 r. moja przełożona generalna m. Maksymilla Pliszka zaproponowała mi i mojej współsiostrze zakonnej s. Katarzynie Szulc zorganizowanie czegoś w rodzaju Forum Dziedzictwa Myśli Bł. Edmunda Bojanowskiego w naszym mieście 23 listopada tegoż roku. Znając mniej więcej własne możliwości, plany i zadania, które miałam zrealizować do końca roku, nie byłam tym zachwycona – mówiąc bardzo delikatnie. Wyruszałam właśnie w podróż do Opola i Wrocławia, gdzie miałam pracować w archiwach.



We Wrocławiu spotkałam się z panem prof. Januszem Mroczką akurat obok domu nad Odrą, gdzie mieszkał z matką Edmund Bojanowski w czasie, gdy studiował w tym mieście. Czy to przypadek? Spacerując po mieście poruszałimy wiele interesujących wątków i tematów. To właśnie z tych rozmów zrodził się pomysł zaproszenia pana profesora do Dębicy z wykładem. Zadzwoeniłam z pociągu, którym wracałam do Dębicy. Przypomniłam sobie, że pan profesor wspominał, iż ma być w Dębicy na zaproszenie pani dyrektor Ludmiły Stelmach-Kołodziej z jakąś prelekcją w ramach obchodów 125-lecia założenia „Jagiellonki” – może udałoby się to jakoś połączyć: Honorowy Obywatel Miasta Dębica – Wybitny Absolwent I LO? Wstępnie była zgoda, szczegóły mieliśmy dopracować w najbliższym czasie. Na nasze zaproszenie do zorganizowania wspólnie z I LO i Urzędem Miasta w Dębicy takiego wydarzenia, zarówno pani Małgorzata Rauch - zastępca burmistrza miasta, jak i pani Ludmiła Stelmach-Kołodziej dyrektor I LO entuzjastycznie odpowiedziały, deklarując wszelką pomoc.

Ustaliłyśmy z s. Katarzyną, że w obecnym kontekście tego, co się dzieje, naszych problemów wychowawczych, nauki społecznej Kościoła i wyzwania, jakie stają przed nami, jako służebniczkami, których charyzmatem jest w pierwszej kolejności troska o wychowanie dzieci i młodzieży oraz wspieranie rodzin, chorych i ubogich w różnych współczesnych formach ubóstwa hasłem spotkania będzie: WOKÓŁ PRAWDY O CZŁOWIEKU (...).

Po ustaleniach z poszczególnymi prelegentami, zmieniona została także formuła spotkania z forum na debatę. Zaistniały bowiem okoliczności niezależne od współorganizatorów, które sprawiły, że postanowiono wrócić do przerwanych kiedyś dębickich debat o wychowaniu. Odbywały się one regularnie w podziemiach klasztoru służebniczek dębickich i cieszyły dość dużym zainteresowaniem. Kontynuacją debat miała być ta przygotowywana, a zmianą było miejsce. Notabene bardzo symboliczne, wyjście spoza murów klasztornych z propozycją wychowania integralnego – integrując środowiska miejskie wokół Dobra, jakim jest Wychowanie Człowieka. Ostatecznie program wyglądał następująco:



**Debata Dębicka o Wychowaniu - kontynuacja i zmiana
„Wokół prawdy o człowieku” Dębica 23 XI 2024**

8.00 Msza Św. w kościele Św. Jadwigi

9.30 - 9.45 Otwarcie Mateusz Kutrzeba – Burmistrz Miasta Dębica, s. Maksymilla Pliszka - przełożona generalna Zgromadzenia Sióstr Służebniczek BDNP

9.45 - 10.15 Ochrona osoby przez integralne wychowanie w koncepcji bł. Edmunda Bojanowskiego – s. dr hab. Maria Loyola Opiela prof. KUL, SBDNP

Pomysłodawczyni Dębickich Debat o Wychowaniu. Opracowała we współpracy z słuźebniczkami i zespołami interdyscyplinarnymi pracowników naukowych KUL, na podstawie pism bł. Edmunda Bojanowskiego, *Program wychowania przedszkolnego wg koncepcji pedagogicznej bł. E. Bojanowskiego*, zatwierdzony przez MEN. Z jej inicjatywy zostały naukowo opracowane i wydane *Notatki E. Bojanowskiego* oraz *Katechizm wg bł. E. Bojanowskiego*, a także w Centrum Medialnym KUL zostały profesjonalnie nagrane i wydane Gry i zabawy wg bł. E. Bojanowskiego (w 7 językach) oraz *Opowiadania wg bł. E. Bojanowskiego*. W swoich pracach badawczych ukazuje koncepcję wychowania integralnego zaproponowaną przez bł. E. Bojanowskiego jako propozycję kierunku pedagogiki przedszkolnej, będącej odpowiedzią na współczesne problemy wychowawcze i edukacyjne. Dlatego kształci przyszłą kadrę pedagogów, propagujących integralne wychowanie człowieka.

10.15 – 10.45 Świat nadprzyrodzony w Katechizmie według bł. Edmunda Bojanowskiego – ks. dr Piotr Cebula, dyrektor Wydziału Duszpasterstwa Małżeństw i Rodzin Kurii Diecezjalnej w Tarnowie, UPJP II

Z wykształcenia filozof, w diecezji tarnowskiej odpowiedzialny za duszpasterstwo rodzin i małżeństw poprzez formację duchową oraz intelektualną liderów grup, stowarzyszeń i organizacji katolickich wspierających małżeństwa i rodziny. Wykładowca na UPJP II w Krakowie.

10.45 - 11.15 Oblicza sukcesu – prof. zw. dr hab. inż. Janusz Mroczka, dr h.c. (multi), czł. rzecz. PAN, Politechnika Wrocławska

Twórca polskiej szkoły metrologii elektronicznej i fotonicznej. Założyciel w 1998 r. na Politechnice Wrocławskiej Katedry Metrologii Elektronicznej



i Fotonicznej. Zatrudniony na stanowisku Profesora Magnusa. Wybitny naukowiec obecny na prestiżowej liście TOP2% najbardziej wpływowych ludzi nauki na świecie od 2019 r. do chwili obecnej. Doktor Honoris Causa pięciu uczelni, promotor 26 doktorów, z których 8 jest już profesorami, w tym 4 we Francji w ramach programu co-tutelle. Laureat prestiżowych nagród i odznaczeń państwowych. Honorowy Obywatel Dębicy. Niezwykły mistrz i przyjaciel młodych, towarzyszący im w odkrywaniu prawdy skrywanej przez naturę, dając im tym samym sposobność doskonalenia siebie w dążeniu do własnej pełni.

11.15 - 11.45 Dyskusja

11.45 - 12.15 Przerwa kawowa

12.15 – 12.45 *Służebniczki dębickie w społeczno-religijnym krajobrazie Dębicy* – s. dr Agnieszka Skrzypek SBDNP

Z zamiłowania i z wykształcenia historyk, pedagog. Z pasją katechizuje i uczy historii. Służy dzieciom i młodzieży oraz dorosłym w różnych formach działań podejmowanych w środowiskach posługi siostr.

12.45 – 13.15 Tworzenie współczesnej kultury miasta, czerpiąc z rodzimych tradycji – Tomasz Czapla, dyrektor Muzeum Regionalnego w Dębicy

Historyk, regionalista. Inicjator wielu kreatywnych pomysłów oraz projektów popularyzujących historię i tradycje regionu oraz promujących wartości patriotyczne. Jeden z animatorów wydarzeń kulturalnych w Dębicy. Wiceprezes Stowarzyszenia „Dobroć” im. bł. Edmunda Bojanowskiego.

13.15 – 13.45 Jak bł. Edmund Bojanowski może dzisiaj inspirować w obszarach edukacyjnych – Małgorzata Rauch, Zastępca Burmistrza Miasta Dębica

Doświadczona i ceniona nie tylko przez uczniów i rodziców, ale także środowiska nauczycielskie polonistka. Autorka innowacji pedagogicznych i edukacyjnych dla nauczycieli i polonistów oraz licznych publikacji o tematyce edukacyjnej i naukowej. Wieloletni egzaminator języka polskiego, Podkarpacki Kurator Oświaty w latach 2016-2023. Społecznik i manager. Zdecydowana Propagatorka idei wychowania do wartości oraz mediacji w szkole.

13.45 – 14.15 Podsumowanie, zakończenie

Dwa dni poprzedzające debatę obfitowały w ciekawe zbiegi okoliczności, a może raczej znaki, o których warto wspomnieć. W czwartek 21 listopada



w dzień swoich imienin prof. Janusz Mrocza postanowił przyjechać do Dębicy, bynajmniej nie świętować swoje imieniny w mieście dzieciństwa, ale tak się właśnie złożyło. Zdecydował się ostatecznie zamieszkać w domu generalnym Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Dębickich przy ul. Bojanowskiego 8-10, choć pierwotnie miał inne plany. Sprawy rodzinne, tudzież inne okoliczności przesądziły o zakwaterowaniu w klasztorze, co dla profesora wydawało się swoistą egzotyką. Wydaje się, że z wrodzoną sobie otwartością całkiem dobrze wkomponował się w koloryt zakonnego rytmu dnia i imieninowy wieczór spędziliśmy w siostrzanym gronie na konstruktywnych i dobrych rozmowach przy słodkim imieninowym „co nieco”. Trzeba było odpocząć, bo piątek zapowiadał się bardzo „ciasno zaplanowany”. Pan profesor chciał nazajutrz pojechać na Stary Cmentarz w Dębicy, następnie do Sanktuarium Matki Bożej Zawadzkiej – Pani Niezawodnej Nadziei, ponadto chciał zobaczyć, jak dziś wygląda dawny szpital, a teraz ponownie klasztor sióstr służebniczek przy ul. Krakowskiej 15. A po południu „gwóźdź programu” – spotkanie z przyjaciółmi w I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Władysława Jagiełły.

Przed południem w piątek 22 listopada 2024 r. celem naszej wyprawy była Zawada, do której pan profesor koniecznie chciał jechać. Przedtem jeszcze stary cmentarz, zaduma nad przemijaniem nad grobami najbliższych, zapalenie światła pamięci, bo miłość przecież nie umiera. Sanktuarium maryjne było znane panu profesorowi nawet bardzo dobrze z pieszych wędrówek ze swoją matką panią Zofią, zarówno z lat szkolnych, jak i studenckich, gdy razem pielgrzymowali, aby przed obrazem Pani Zawadzkiej - Matki Niezawodnej Nadziei, za skrzypiącą drewnianą zasłoną, powierzać swoje losy w Jej matczyne dłonie. Tymczasem minęło wiele lat, rozbudowany przez śp. ks. Władysława Tokarczyka nowy kościół, Dróżki Maryjne, zmienione otoczenie – wszystko wyglądało znajomo, lecz zupełnie inaczej.

W jesiennej aurze zadumy weszliśmy do części otwartej świątyni, niestety za kratą, chwila osobistej modlitwy pozdrowienia, spojrzenia w Jej oczy – złoty obraz rozświetlał półmrok modlitewnego milczenia. Zgodnie z umową poszłam na plebanie poprosić o otwarcie nawy głównej. Wiedząc o zwyczajach zawadzkich zadzwoniłam dwa dni wcześniej do ks. Józefa Książka, proboszcza i kustosza sanktuarium. Znany z gościnności kapłan zapewnił mnie, że będzie ks. Roman Grabowski i nam otworzy i że serdecznie zaprasza nas





Kościół sanktuarijny w Zawadzkie k. Dębicy, 22 XI 2024. Fot. J. Mrocza.

później na ciastko i kawę na plebanię. Przykazał mi: „proszę nie odmawiać, zaprosić pana profesora i dać się ugościć, chociaż mnie nie będzie”. Ponieważ znamy się od dawna (był moim katechetą w szkole podstawowej) więc nie śmiałam odmawiać, dodałam jednak: „Jeśli tylko Gość będzie chciał”. Rzeczywiście po chwili od naciśnięcia dzwonka wyszedł ks. Roman i poinformował, że zaraz otworzy kościół, żebyśmy podeszli z boku pod drzwi. Wyszliśmy na zewnątrz w oczekiwaniu, podziwiając nową konstrukcję kościelnej bryły. Wnet nadszedł lekko zmęczonym krokiem ubrany w kurtkę ksiądz, niosąc pęk kluczy. Z wyglądu nie przypominał duchownego, podszedł uśmiechnął się i ciepłym głosem ze szklistym wzrokiem powiedział wyraźnie: *Janusz?*. Na tak wypowiedziane imię profesor poruszył się, spojrzał ze zdziwieniem znad okularów ściągnął charakterystycznie brew i z pewnością w głosie powiedział: *Tak. Poznajesz?* – zapytał ksiądz, widać było lekkie zakłopotanie rozmówcy, chwila zastanowienia *uczyłeś mnie rozwiązywać zadania, chodziłem na kółko fizyczne, które ty prowadziłeś, bo ci kazał pan Surowiec.*

A tak przypominam sobie, dławiącym ze wzruszenia głosem powiedział profesor, uścisnęli się serdecznie. Wzruszające spotkanie Wejďte, bo zimno, proboszcz kazał tu otworzyć, a potem na kawę zapraszam, tylko, żeby zdążyć przed 10.00, bo potem gospodyni wyjeżdża, żeby nam zdążyła zrobić. Po modlitwie udaliśmy się na plebanię, obdarowani kalendarzami na nowy 2025 rok.



Za kratą - wnętrze kościoła sanktuarijnego w Zawadzkie k. Dębicy, 22 XI 2024. Fot. J. Mrocza.

A tu w ciepłe domowego zacisza, pachnącego piernikowego ciasta byłam świadkiem wzruszających wspomnień przeplatanych stróżkami szczyrych łez oraz salwami śmiechu – także z siostry zakonnej stróża obyczajów. Wpatrzona w twarze dwóch dojrzałych mężczyzn dźwigających niełatwy bagaż życiowych doświadczeń, słuchałam. Dowiedziałam się, jak to młody Janusz Mrocza uczył jeszcze młodszych kolegów, takich jak Romek Grabarz, tak wówczas się nazywał goszczący nas ksiądz. Jak Janusz prowadził panu Surowcowi kółko fizyczne w liceum, przywożąc z Placu Szczepańskiego w Krakowie zbiory zadań rosyjskich fizyków (tu padło kilka nazwisk, których z przykrością stwierdzić muszę, nie zapamiętałam), a także zbiory Richarda Feynmana – amerykańskiego fizyka i noblisty. Dowiedziałam się o tym, jak Romanowi - synowi dębickiego „ubeka” i p. Rozalii - życzliwej sprzedawczynie

z papierniczego sklepu udało się zwieść przenikliwego i budzącego postrach dyrektora liceum pana Galasa. Nie odkrył on tajemnicy tego młodzieńczego serca pociągniętego łaską powołania kapłańskiego, niestety nie udało się innym. Tu wzruszył się profesor na wypowiedziane nazwisko chłopaka, który nie zdał matury, bo zdradził się, że planuje wstąpienie do seminarium. *Takie to były czasy...* skonstatowali obaj koledzy sprzed pięćdziesięciu lat. Wysłałam do kuchni zaparzyć filiżankę kawy. Pani gospodyni powiedziała do mnie: *Jak to dobrze, że przyszlście porozmawiać, Ksiądz nie rozmawia tak na co dzień z nikim, dopada go depresja – to wspaniała terapia.* Teraz to mi popłynęły łzy z oczu, przypominałam sobie, że ks. Roman mieszka na plebanii od ponad 30 lat przygarnięty w czasie choroby przez śp. Księdza Tokarczyka - Wielkiego Bóg zapłać – tak wszyscy na niego mówiliśmy. I moje zmagania, i bunty, i młode lata – *tu w Zawadzie wszyscy szukaliśmy pocieszenia i nadziei, czyż to tylko przypadek* - pomyślałam i wróciłam do stołu. Zastałam miłą, życzliwą rozmowę, pełną serdecznej bliskości atmosferę, że zdanie wypowiedziane ustami Fausta samo się nasunęło: *Trwaj Chwilo, o chwilo jesteś piękna...* a później pożegnanie i kolejne słone kryształki na półkach. Poszliśmy na dróżki radosne, bolesne i światła – takie jak nasze życie.



Kaplica Modlitwy Pana Jezusa w ogródcu pierwsza tajemnica części bolesnej oraz Kaplica Ustanowienia Eucharystii piąta tajemnica części światła „Zawadzkich Drózek Różańcowych”, 22 XI 2024. Fot. J. Mrocza.

Powrót do Dębicy na ul. Krakowską, zwiedzanie starego szpitala – znajomego, a przecież tak innego zakątka dziecięcych wspomnień profesora. Kiedy przemierzaliśmy podziemia klasztorne, brzmiało mi w uszach: *tu była statystyka i moja mama tu pracowała, a tu kuchnia, tam pralnia, a tu podjeżdżały karetki pogotowia, a tu przychodziłem do siostr na stołówkę, zaczepiałem je, a gdzie*

były te salki katechetyczne?
A prosektorium – chcę zobaczyć tę kapliczkę - Panie Profesorze wracajmy na Bojanowskiego czas na obiad, bo o 15.00 spotkanie w „Jagiellonce”.

Popołudniowe spotkanie rozpoczęło się w auli I LO, która została przygotowana w stylu „kawiarnianym”, sprzyjającym do nawiązania

rozmowy przy małych finezyjnie udekorowanych, 4-osobowych stolikach, gdzie można było postawić filiżankę z pachnącą kawą lub herbatą oraz ciastem podanym przez miłe licealistki. Po przywitaniu zebranych w auli pani dyrektor Ludmiła Stelmach – Kołodziej zwróciła się z serdecznym pozdrowieniem do głównego gościa pana prof. Janusza Mroczki. Sympatycznym i niecodziennym przywitaniem była mowa nauczycielki języka polskiego p. Marty Bonarek-Sochy, która wprowadziła pewien lekki nastrój. Dopełnieniem tego wprowadzenia, przybliżającego zebranych postaci Wybitnego Absolwenta I LO, był limeryk pani Haliny Niziołek emerytowanej prof. języka polskiego, a prywatnie dobrej znajomej pana profesora.

W swoim stylu Autorka ukazała w nim osobę i zasługi prof. Janusza Mroczki w wielu dziedzinach nie tylko związanych z nauką, powszechnie nieznane, a przez to niecenione przez większość dębiczian. Pewnym symbolem dla mnie samej wymownym, było założenie na głowę wyjątkowego gościa co prawda nie korony, ale zielonego wieńca laurowego - starożytnego symbolu zwycięstwa. Siedząca koło mnie p. Małgorzata Rauch - zastępca Burmistrza Miasta Dębicy - z sympatią w głosie szepnęła do mnie: Podziwiam tego człowieka, że tak potrafi to przyjąć. Miałam podobne odczucia. Musi być bardzo wolnym wewnątrz człowiekiem, a to rzadkość – dodałam w myślach.

W tak stworzonej miłej atmosferze wybitny absolwent rozpoczął wystąpienie, w którym nie obeszło się bez wzruszenia, ale i mocnych słów prawdy. Najpierw uchylił rąbka prawdy o sobie, swoim dzieciństwie, nauce w liceum,



Wnętrze odrestaurowanej pierwszej kaplicy służebniczek dębickich ufundowanej przez K. i K. hr. Raczyńskich przy ul. Krakowskiej 15.
 Źródło: AGSD.



P. Halina Niziołek emerytowana
prof. języka polskiego zakłada
na głowę prof. Janusza Mroczi
wieniec wawrzynowy. Spotkanie
z wybitnym absolwentem w I LO
prof. Januszem Mroczką,
Dębica 22 XI 2024 r.
Źródło: Archiwum I LO.

by później płynnie przechodzić do ważnych, jak się wydaje dla niego zagadnień. Profesor w świecie nauki jest znany jako niezwykle ceniony recenzent w Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułu w latach 2013 – 2020 (obecnie Rada Doskonałości Naukowej), bezkompromisowy w szukaniu i ukazywaniu prawdy, więc w swoim stylu, z wielką swadą, a zarazem z poczuciem humoru, zwrócił uwagę na to, kogo i dlaczego cenimy albo gloryfikujemy. Opowiedział o sprawie jednego z dębiczana, okazało się volksdeutscha, który indagował w sposób perfidny matkę profesora, panią Zofię Mroczkę z domu Łukasiewicz, która była jego sąsiadką w Dębicy w latach okupacji, uczęszczała to tej samej klasy co ona. Przesyłał jej kwiaty przez kolejnego absolwenta, aby sprawdzić czy jeszcze żyje – kobieta staruszka, być może jedyny świadek jego niechlubnej wojennej przeszłości.

Swoje refleksje, którymi chciał się podzielić, prof. J. Mrocza zakończył w swoim stylu z humorem, zdystansowany do osób, spraw i samego siebie. Każdy mógł dla siebie wynieść nie lada pouczenie, nawet gdyby w trakcie mowy spadła z głowy niejedna korona. Odniosłam wrażenie, że głównym przesłaniem wystąpienia była zachęta nas wszystkich do odważnego stawania w prawdzie, bo ona nas wyzwala. Wracałam do domu z pytaniami retorycznymi zadanymi przez profesora i przez Karola Wojtyłę: *Nadmiar tyłu samostanowień czyż nie przerósł sił naszych w przeszłości? Czyż ciężarów*



Uczestnicy spotkania w wybitnym absolwentem prof. Januszem Mroczką w I LO, Dębica 22 XI 2024 r.

historii nie dźwigamy jak filar, którego pęknięcie nie zabiłoby się dotąd? Jutro debata, kto przyjdzie, kto skorzysta, kto pomyśli?

W kościele pod wezwaniem Św. Jadwigi i Małgorzaty o godz. 8.00 Mszą Św. w intencji osób odpowiedzialnych za edukację i wychowanie w naszym mieście rozpoczęła się kolejna Dębicka Debata o Wychowaniu. Mszy Św. przewodniczył i okolicznościowe kazanie wygłosił ks. dr Paweł Bogaczyk proboszcz parafii. Oprawę muzyczną miała młodzież licealna, przygotowana przez s. Klaudję Sochocką (nieobecną) pod kierunkiem Aleksandry Szewczyk (kandydatki służebniczek dębickich – dębiczanki). Nad sprzętem czuwał ks. Jakub Tokarz katecheta w I LO, szkołę reprezentował również poczet sztandarowy z Panią dyrektorką i kilku nauczycielami. Natomiast niebieski charakterystyczny sztandar z wyszytym wizerunkiem bł. Edmunda Bojanowskiego i znaczną delegacją młodych uczniów Szkoły Podstawowej nr 5 w Dębicy wraz z nauczycielami przypominał, że od niedawna w naszym mieście mamy szkołę z im. bł. E. Bojanowskiego, która promuje system wychowania integralnego zaproponowany przez patrona szkoły.

Na mszę dojechały już służebniczki z pokrewnych zgromadzeń tj. służebniczki starowiejskie z Tarnowa (M. Krystyna Rutka, przełożona prowincjalna - Prowincji Tarnowskiej, s. M. Barbara Zegiel, wikaria), służebniczki wielko-

polskie z Lubonia (s. M. Rut Szymanowska - mistrzyni junioratu, s. M. Rachela Nowińska – juniorka) i służebniczki śląskie z Wrocławia (s. M. Tobiasza Klimczak - sekretarka generalna i s. M. Laureta Turek) oraz zaproszeni goście ze Śląska Opolskiego z Domaszkowic (Edyta Wąs - sołtys wsi Domaszkowice, Bartosz Kociuba - dyrektor Publicznego Przedszkola Stowarzyszenia Przyjaciół Szkół Katolickich im. bł. Edmunda Bojanowskiego w Domaszkowicach), gdzie jest szkoła i stowarzyszenie im. bł. E. Bojanowskiego, które promują system wychowania integralnego wg koncepcji Bojanowskiego.

Po zakończeniu Eucharystii wszyscy udaliśmy się do sali sesyjnej Urzędu Miejskiego w Dębicy, by wziąć udział w debacie. Do zaproszonych gości dołączyli dyrektorowie dębickich przedszkoli i szkół; przedstawiciele środowisk i organizacji społeczno-kulturalnych, radni miasta i powiatu. W ratuszu przywitała gości młodzież licealna, pod kierunkiem p. Marty Bonarek-Sochy i młodzież zakonna (postulantki służebniczek dębickich) z siostrą mistrzynią Agnieszką Niemiec. Wolontariuszki podawały napoje i wskazywały miejsca zaproszonym gościom. Jako że muzyka łagodzi obyczaje, a i bł. E. Bojanowski dbał o polską kulturę muzyczną absolwenci liceum i uczniowie szkoły muzycznej na dobry początek zagrali kilka utworów w akordeonowym trio: Maksymilian Kalita oraz bracia Piotr i Marcin Antosz.

W krótkim przemówieniu p. Mateusza Kutrzeby - Burmistrza Miasta - została wyrażona radość z możliwości zorganizowania tego spotkania i pochycenia się nad postacią bł. Edmunda Bojanowskiego, który jest ważny dla lokalnej tożsamości Dębicy oraz jej duchowego i kulturowego dziedzictwa. Burmistrz wyraził nadzieję na dobrą współpracę w wychowaniu młodego pokolenia, które w tych czasach wydaje się bardzo zagrożone. Przełożona generalna Zgromadzenia Sióstr Służebniczek BDNP s. Maksymilla Pliszka otwierając konferencję przywołała poprzednie debaty organizowane przez zgromadzenie służebniczek w murach klasztoru przy ul. Krakowskiej, a których inicjatorką przez wiele lat była s. dr hab. M. Loyola Opiela, prof. KUL. Nie mówiła o tym s. Maksymilla, ale warto dopowiedzieć, że siostra Loyola, mając szerokie horyzonty myślowe, czerpała inspiracje do tych spotkań z tradycji służebniczek dębickich, które w dwudziestoleciu międzywojennym w sali pod kościołem klasztornym, a także w samym klasztorze i ochronie wielokrotnie organizowały rekolekcje, spotkania, dni formacyjne dla różnych grup



ówczesnej inteligencji dębickiej (wojskowi, kolejarze, lekarze, nauczyciele, młodzież zrzeszona w katolickich organizacjach społecznych, członkinie i członkowie Diecezjalnej Caritas) i nie tylko. Przełożona generalna wyraziła podziękowanie władzom miasta, że z murów klasztornych idee wychowania integralnego wg koncepcji bł. E. Bojanowskiego przejmują symbolicznie miasto, współtworząc debatę o wychowaniu poprzez użyczenie miejsca, ja-



Uczestnicy Dębickiej Debaty o Wychowaniu w dębickim ratuszu, od lewej: Mateusz Kutrzeba Burmistrz Miasta Dębica, s. prof. M. Loyola Opiela SBDNP, Ludmiła Stelmach – Kołodziej dyrektor I LO, prof. Janusz Mroczka Honorowy Obywatel Miasta Dębicy, Wybitny Absolwent I LO, Małgorzata Rauch Zastępca Burmistrza, Dębica 23 XI 2024 r.



Uczestnicy Dębickiej Debaty o Wychowaniu w dębickim ratuszu: pierwsza z lewej Aleksandra Szewczyk – kandydatka SBDNP, Karolina Lis – postulantka SBDNP, s. M. Rachela Nowińska – służebniczka wielkopolska, Natalia Radzik – postulantka SBDNP, s. M. Agnieszka Niemiec – mistrzyni nowicjatu SBDNP.

kim jest dębicki ratusz. Budzi to nadzieję na podejmowanie wspólnych działań, by wspólnie razem dbać o integralne wychowanie młodego człowieka, propagując sprawdzone rodzime wzorce wychowawcze. Do kolejnych wystąpień zapraszała, prowadząca debatę, s. M. Katarzyna Szulc.



Uczestnicy Dębickiej Debaty o Wychowaniu w dębickim ratuszu: Marzena Socha-dyrektor MOPS w Dębicy, Dorota Kliś – dyrektor PM 2, w Dębicy, Renata Prucnal – dyrektor SP 3 w Dębicy, Wiesław Broda – dyrektor SP 5.

Siostra dr hab. M. Loyola Opiela, prof. KUL ukazała główne założenia systemu wychowania integralnego wg koncepcji E. Bojanowskiego. Przedstawiając pokrótce jego postać wydobywała te aspekty, które dziś są bardzo ważne w dziedzinie wychowania i edukacji małego dziecka. Ochronić osobę przez integralne wychowanie, to zrozumieć, czym jest istota pojęcia ochrony, osoby i samego integralnego wychowania człowieka. Siostra profesor zwróciła uwagę, że celem zakładanych ochroniek przez E. Bojanowskiego z jednej strony było uwolnienie rodziców, którzy pracując na polach mogli być spokojni, że ktoś dziećmi się zajmie, a od strony moralnej były to miejsca, gdzie ochraniano dzieci przed zepsuciem i uczono zasad moralnych, prowadzono elementarne nauczanie.

Siostra powiedziała: *Bojanowski poszukiwał tego, co stałe, niezmiennie. Przyjmując, że nie zmienia się natura człowieka i wynikające z niej najgłębsze potrzeby dotyczące celu, sensu życia i jego pełnego rozwoju odnosił się do niezmiennającego*

się również prawa Bożego. Odczytując prawdy zapisane w Biblii – cele i zasady ludzkiego życia i rozwoju oraz analizując dorobek ludzkości tworzył koncepcję integralnego wychowania. Uwzględniając właściwe im wymiary stałości i zmienności, budował koncepcję wychowania, stanowiącą syntezę teoretycznego i praktycznego dorobku, ujmującą wartość różnorodnych koncepcji i stanowisk. Podstawą do przyjęcia pewnych stałości, źródeł jedności i możliwości porozumienia między nimi stała się zasada pełnego i harmonijnego rozwoju i wychowania dziecka. Charakterystycznym rysem obrazu człowieka jako osób i zarazem wskazówką dla wychowawców jest to, że ukazuje się w nim osobę ludzką - „kim jest” nie tyle w tym, „jak jest zbudowana”, a więc statycznie, lecz w tym, „co powinna czynić?”, „jak powinna działać?”, by w pełni rozwinąć swoje człowieczeństwo. A więc w aspekcie sprawnościowym i celowościowym. Z tej racji w wychowaniu dziecka wiele uwagi należy poświęcić praktyce sprawności, czyli cnót. Koncepcja człowieka jako osoby jest najlepszym argumentem przeciwko wszelkim somatycznym (materialistycznym – człowiek jest tylko ciałem) czy spirytystycznym (człowiek to tylko duch) koncepcjom człowieka, gdyż ona ukazuje go w całej panoramie jego ludzkich możliwości, w tym, kim może on być dzięki właściwemu usprawnieniu przez cnoty jego rozumu i woli. Z tej racji odkrywane, jako właściwości osoby, potencjalności bytu ludzkiego wskazują na perspektywę tego, kim ostatecznie może być człowiek dzięki odpowiedniemu wychowaniu. Jest to więc wizja integralna, całościowa i spójna. Całościowość tę wyznacza rozumienie człowieka jako istoty cielesno-duchowej, która dzięki usprawnionemu działaniu przez cnoty może osiągnąć pełnię doskonałości. Jest nią dotarcie do Najwyższego Dobra, Prawdy i Piękna. Siostra profesor jasno ukazała, że mamy bardzo dobrą polską koncepcję spójnego i harmonijnego tzn. integralnego wychowania dziecka, znacznie wyprzedzającą w czasie choćby pedagogikę Montessori. Koncepcja wychowania integralnego zaproponowana przez bł. Edmunda Bojanowskiego jest konkretną propozycją kierunku pedagogiki przedszkolnej, będącej odpowiedzią na współczesne problemy wychowawcze i edukacyjne. Na podstawie pism bł. E. Bojanowskiego została opracowana koncepcja pedagogiczna przez zespół interdyscyplinarny pracowników naukowych KUL oraz zespół sióstr służebniczek. Mamy już gotowe narzędzia pracy z dziećmi: programy i metody dydaktyczne jak: *Program wychowania przedszkolnego wg koncepcji pedagogicznej bł. E. Bojanowskiego*, zatwierdzony przez MEN oraz Katechizm wg bł. E. Bojanowskiego. W Centrum



Medialnym KUL zostały profesjonalnie nagrane i wydane Gry i zabawy wg bł. E. Bojanowskiego (w 7 językach) oraz Opowiadania wg bł. E. Bojanowskiego. Wykład siostry Loyoli był dla niektórych uczestników debaty czymś zupełnie nowym i odkrywczym w dziedzinie pedagogiki przedszkolnej i wczesnego wychowania.

Wystąpienie ks. dra Piotra Cebuli – dyrektora Wydziału Duszpasterstwa Małżeństw i Rodzin Kurii Diecezjalnej w Tarnowie oraz wykładowcy na UPJ-P II w Krakowie było wyeksponowaniem jednego z zaprezentowanych przez przedmówczynię narzędzi dydaktycznych szczególnie dla rodziców, jakim jest opracowany niedawno *Katechizm według bł. Edmunda Bojanowskiego*. Prelegent zwrócił uwagę na globalny wręcz problem ukazania w dzisiejszym świecie znaczenia wartości i sposobu przekazu ich młodemu pokoleniu, precyzyjnie ujmując temat jako *Świat nadprzyrodzony w Katechizmie według bł. Edmunda Bojanowskiego*. Poruszył bardzo ważną sprawę wartości wychowania religijnego dzieci i młodzieży, metody przekazywania tego, co wewnętrzne, nadprzyrodzone innym, nie tylko w rodzinie, ale i poza nią. Ksiądz doktor w niezwykle przejrzystej i przystępnej wręcz w doskonałej formie wizualnej pokazał, że bł. E. Bojanowski w katechizmie wskazuje na świat wartości, który jest światem nadprzyrodzonym, następnie daje narzędzia ukazania tego świata innym w prosty i praktyczny sposób: w aspekcie intelektualnym, dialogicznym i emocjonalno-wolitywnym. Na końcu zaś daje konkretne odpowiedzi czy wskazówki, jak żyć w świecie wartości, jak to spróbować wciełać w codzienne życie. Wydaje się, że dla nauczycieli i rodziców szukających możliwości dotarcia z prawdami dogmatycznymi do młodego pokolenia tak zaprezentowany katechizm może być dobrą zachętą do sięgnięcia po tę pozycję, która może stać się pomocą w przekazie wiary.

Trzecim wystąpieniem, które wzbudziło największe zainteresowanie wśród zebranych, był wykład pana prof. Janusza Mroczi, wybitnego przedstawiciela nauki polskiej, obecnego na prestiżowej liście TOP2% najbardziej wpływowych ludzi nauki na świecie od 2019 r. do chwili obecnej. Twórca polskiej szkoły metrologii elektronicznej i fotonicznej, który w 1998 r. założył na Politechnice Wrocławskiej Katedrę Metrologii Elektronicznej i Fotonicznej; Doktora honoris causa pięciu uczelni. Niezwykły mistrz i przyjaciel młodych, towarzyszący im w odkrywaniu prawdy skrywanej przez naturę, dając im tym



samym sposobność doskonalenia siebie w dążeniu do własnej pełni.

Tytuł: „Oblicza sukcesu”, który zaproponował pan profesor był nie tylko bardzo „chwytliwy”. Słowo wytrych to sukces - niezwykle w dzisiejszych czasach przez nas wszystkich pożądany, stąd prelegent umiejętnie przyciągnął uwagę słuchaczy, by powiedzieć w sposób lekki o bardzo poważnych problemach i przekazać głębokie treści, nad którymi czy chcemy czy nie, nie możemy przejść obojętnie. Zwrócił uwagę, że w procesie nauczania mamy dwa podmioty w układzie synergii tj. uczeń i nauczyciel. Jako że nie jest z wykształcenia pedagogiem, nie zajmuje się uczniem, a jako wykładowca na uczelni wyższej pragnie się odnieść do osoby nauczyciela – mistrza, a więc wychowawcy. Pozostawił na boku analizę systemu bolońskiego, który został wprowadzony w szkolnictwie wyższym, natomiast skupił się na pewnych przełomach, wymienając zjawiska, z jakimi spotykamy się w zderzeniu z rzeczywistością. W pierwszej kolejności scharakteryzował krótko ruch kulturowy New Age, który stał się modny pod koniec lat 60. jako kierunek filozoficzny legitymizujący skrajny etyczny indywidualizm i woluntaryzm. New Age zakłada jedność, a poczucie odrębności jednostki od świata to uświadomienie sobie własnego ego przez umysł. Jego zwolennicy uważali, że ludzkość pogrążona jest w głębokim kryzysie i znajduje się w punkcie zwrotnym między dwoma epokami i że dzisiejsze czasy to ostatni etap świata, jaki znamy, po którym nastąpi złoty wiek ludzkości. Zgodnie z tym przekonaniem nastąpi kres wszelkich systemów religijnych oraz ich instytucji, zaś ludzi będzie jednoczyć wzajemne zrozumienie pozbawione wszelkich podziałów. *Tak się nie stało* – podkreślił pan prof. J. Mrocza.

Po czym wykładowca w ciekawej formie retorycznych pytań wymienił kolejne następstwa New Age: Globalizacja – szansa czy zagrożenie? Terroryzm – czy powtórka WTC? Fundamentalizm religijny – czy zabijać w imię wiary? Katastrofy ekologiczne – czy będą ginać gatunki – czy zginie świat? Eksperymenty genetyczne – czy przejmemy kompetencje Stwórcy? Eutanazja – etyka czy medycyna? Bezrobocie – czy wystarczy pracy dla wszystkich – koniec ery pracy? Ostatnim pytaniem: Pedagogika i szkolnictwo – kto wychowa i wykształci kolejne nasze pokolenia? podprowadził pod stwierdzenie H. G. Wellsa *Współczesna epoka jest wyścigiem między wychowaniem i katastrofą* i jakby w dyskursie wskazał na pewne przełomy, jakie widać już, niczym zapowiedź



świtu, choćby na muralach malowanych przez Banksy'ego (np. ściana w szpitalu klinicznym w Sauthampton w Wielkiej Brytanii).



Mural Banksy'ego ze ściany szpitala klinicznego w Sauthampton w Wielkiej Brytanii. Zbiory prof. J. Mroczi.

Profesor stwierdził: *Człowiek ma w swej naturze pragnienie tego, co nieosiągalne, ciągle poszukiwanie bardziej ambitnych celów. Utrudnia mu to dostrzeżenie dobra, które znajduje się w jego wnętrzu. Pragnę tym wykładem uświadamiać oczywisty fakt, że ludzie od zarania zmagają się z nierównowagą między tym, co na zewnątrz, a tym, co wewnątrz nich. Każdy człowiek musi odnaleźć prawdę o sobie sam. Wszystko, co dzieje się na zewnątrz, można zgromadzić. Postęp naukowy kumuluje się, gdyż każdy naukowiec stoi na ramionach innych uczonych. Rozwój świadomości nie podlega jednak takim prawom. Pragnę ukazać, że owa świadomość to naturalna i nierozłączna cecha każdego z nas. Każdy człowiek odkrywa prawdę o sobie nie posiłkując się cudzymi dokonaniem, może natomiast rozwijać się kontemplując wcześniej zauważone fakty umożliwiające osiągnięcie mu własnej pełni. Może dopuścić sugestie zewnętrzne, ale każdy z nas natomiast (a z pewnością od pewnego etapu) powinien indywidualnie kreować przyszłość. Wszystkim, co obiektywne, można się dzielić, można tego uczyć w szkole i na uniwersytecie. Nie dotyczy to jednak rzeczy subiektywnych. Mogę wiedzieć wszystko*

o świecie wewnętrznym, ale nie potrafimy przekazać tej wiedzy nikomu. Jednym z podstawowych praw istnienia jest to, że wewnętrzną prawdę trzeba odkryć samodzielnie, własnym wysiłkiem. Nie jest ona towarem ani przedmiotem materialnym. Czyjaś indywidualność, miłość, obecność, czyjeś współczucie oraz czyjś spokój mogą dowodzić, że ten ktoś miał takie doświadczenie. Jedną z wielu namiętności to pragnienie sukcesu. Zapamiętanie nad rządzą sukcesu to odkrycie tego, co skrywamy we wnętrzu, to nasze „ja”, ukrywane ego. To tym wykładem pragnę ukazać, jak pozbyć się tej słabości.

Odniósł się też do refleksji bł. Edmunda Bojanowskiego na temat świata zewnętrznego i wewnętrznego, które pozostając we wzajemnym podobieństwie są także sprzeczne, co wyraża się w walce ducha przeciw ciału. W dalszej części przedłożenia uczony zaprezentował etymologię słowa sukces i 10 rad, jak go odnieść. Cytując I. Newtona „Jeśli widzę dalej, to tylko dlatego, że stoję na ramionach olbrzymów” wskazał na rolę pierwszych uniwersytetów w rozwoju nauki i w ogóle epoki średniowiecza, która jak zauważył, *jest epoką na wskroś teocentryczną nacechowaną racjonalizmem, pełną uwielbienia dla świata rozumu i poszukiwania prawdy, choć nie zawsze uświadamiamy to sobie.* Następnie zwrócił uwagę, na fakt, że ludźmi rządzą namiętności i jest ich wiele. Wymienił te, które w odczuciu pana profesora i jego interakcji: uczeń – nauczyciel mogą odgrywać istotną rolę. *Są to szacunek, uwielbienie, podziw, autentyczność, strach, nienawiść, itp. Ich wielość wynika ze złożoności procesu nauczania i wychowania.* Trzy ogólne namiętności, które rządzą ludźmi to wg autora: *cielesność, seks i rozrzutność, charakterystyczne dla młodego wieku, pycha lub egotyzm w okresie dojrzałym, gdzie walka o wpływy w wieku średnim odgrywa istotną rolę, chciwość lub zachłanność, charakteryzuje ludzi starszych, bowiem przeświadczeni są, że zgromadzone pieniądze zapewnią nieśmiertelność i będą pomocne w staraniu się o życie wieczne. Czy w obecnych czasach, gdzie sceptycyzm stał się nieodzownym składnikiem życia, a szacunek reliktem przeszłości, jest miejsce na zmianę?*

Pan profesor stwierdził z wrodzonym sobie optymizmem, że jest nadzieja, czego uczy nas historia minionych lat. *Nawet najbardziej wyrafinowane metody oddziaływania, nacisku triumfującego materializmu nie są w stanie powstrzymać człowieka przed wznoszeniem się ku lepszemu własnemu „ja”. To nasze „ja” jest wyznacznikiem naszej autentyczności, czyli podstawowym warunkiem pro-*



cesu samorozwoju i osiągania satysfakcji życiowej. Musimy mieć świadomość, że to nasze „ja” ma dwa znaczenia: nasze wyidealizowane „ja” oraz nasze realne „ja”, a warunkiem poczucia pełnego ludzkiego spełnienia jest maksymalne zbliżenie się tych naszych indywidualnych „ja”. To słowo „autentyczność” winno być kluczem dobrobytu, psychicznego dobrostanu przyszłego materialnego i kulturowego świata.

Umiłowanie prawdy jako fundamentu społecznej koegzystencji rodzi powinność moralną, niełatwą do wypełnienia. Istotne jest zrozumienie, że prawda nie zależy od osądu człowieka i kontekstu, w którym istnieje. (...) Kieruję się pragnieniem, aby wspólnie z innymi poznać prawdę o tych, którzy ją zacierają, bagatelizują, czy świadomie ignorują. Z wielkim naciskiem zachęcił do odwagi w poszukiwaniu i mówieniu prawdy. Kontynuował: Fascynacja tworzenia czegoś dla kogoś winna być ważniejsza niż materialna forma tego tworzenia. (...) To doświadczenie życiowe każdego z nas, które nas prowadzi, obojętnie, czy celem jest wzbogacenie materialne czy wzbogacenie intelektualne. My często nieświadomie powielamy schematy wpojone nam przez bliżej nieznane zbiorowości. Podążamy za tłumem, imponuje nam „krzyk ulicy”, działamy za wszelką cenę. Jako jednostki, nie czujemy się przez to wolnymi. To powoduje zniekształcenie pojęcia naszej wewnętrznej wolności wyrażające się w krytycznym myśleniu z jednoczesnym demonizowaniem cybertechnologii, sztucznej inteligencji, itp. **„Contemplata aliis tradere” - To co przemyślane i przekontemplowane winno być przekazywane” mówi hasło dominikanów. To w tej myśli należy upatrywać ścieżkę do własnego mistrzostwa.**

W moim umyśle zapisywałam szybko: „recepta” na to, co powinien robić nauczyciel, jeśli chce być Mistrzem. Powinien w umiejętny sposób korzystać z tradycji, dokonań innych, niejako z ich sukcesu, a jednocześnie powinien być krytyczny i samodzielny w myśleniu, by to co chce innym przekazać, sam uważał za prawdę, którą się kieruje w życiu. Słuchając tych poruszających mnie refleksji myślałam o bł. E. Bojanowskim, świeckim człowieku, zarówno dobrym teoretyku, a jeszcze lepszym praktyku, o jego podejściu do dziecka, z podkreślaniem roli ochroniarzki (wychowawczyni) w procesie wychowania dzieci – o pedagogu z krwi i kości, który w XIX w. stworzył rodziną, bo przecież polską koncepcję całościowego i spójnego wychowania, które dziś nazywamy integralnym. Przecież on przemyślał, szukał, poznawał, podpatrywał ogródki



freblowskie, metody Pestalozziego potem konsultował z innymi i kontemplanował najczęściej przed figurą Maryi Niepokalanej, a następnie przekazywał swoim przykładem i pracowitym życiem, pouczając pierwsze siostry (wtedy zwane ochroniarkami), że życiem mają uczyć dzieci, jak żyć trzeba. Jakie to wszystko znajome. Czyżby?

Po wygłoszeniu, jak mi się wydaje „własnego życiowego credo”, które za zgodą autora pozwoliłam sobie w dużej mierze zacytować, prof. J. Mroczka odniósł się do twórców naukowych teorii XX wieku Einsteina, Bohra, Penrose’a, Hawkinga oraz do wizjonerów wieku XXI, jakimi są Jobs i Gates, aby zobrażować, jak mi się wydaje, na czym polegał ich życiowy sukces. Nie omieszkął przy tej okazji poruszyć problemu uzależnień od środków audiowizualnych i współczesnych komunikatorów zarówno dzieci jak i dorosłych. Prelegent odniósł się do wykładu siostry Loyoli, pokazując jej pracę nad wydobyciem być może wręcz z niebytu w przestrzeni polskich pedagogów osoby bł. E. Bojanowskiego polskiego pedagoga i opracowania merytorycznego jego koncepcji integralnego wychowania. Cytowane wcześniej przez pana profesora przysłowie Stanisława Jachowicza (1796-1857) polskiego bajkopisarza i pedagoga *Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie* – konkludowało jego myśl. Czyż nie jest to sukces, że dzięki nowoczesnym środkom przekazu informacji ta koncepcja integralnego wychowania może być przekazywana na całym świecie i w różnych językach? Wszak natura ludzka się nie zmienia i na wszystkich kontynentach jest taka sama, rodzi podobne problemy w innych tylko kontekstach kulturowych.

Profesor J. Mroczka nawiązał do wcześniejszego sformułowania, że wielkie rzeczy rodzą się w małych społecznościach, tu wspominał o potencjale wspólnoty środowiska integrującego się wokół ideałów Bojanowskiego, z jednej strony służebniczki z ich doświadczeniem i prawie półtorawieczną tradycją integralnego wychowywania pokoleń dębiczian, z drugiej władze samorządowe otwarte na tego typu społeczne inicjatywy. Możemy wspólnie tworzyć podglebie wychowawcze i rozwijać je wśród tych, którzy mają pomysły, którym się chce i zależy na wychowaniu młodego pokolenia, a nie oddaniu tego procesu w niepolskie ręce. Po przeprowadzeniu ćwiczeń i zadaniu domowego zadania, wszak prawdziwy mistrz akademicki i przyjaciel wśród swoich – mógł sobie na to pozwolić, jakby mimochodem, pan profesor przedstawił sie-



bie jako człowieka swoistego sukcesu, który kieruje się zasadą: *Alteri vivas oportet, si vis tibi vivere*. Musisz żyć dla innych, jeżeli chcesz żyć z pożytkiem dla siebie, a wszystko czynić *Ad maiorem Dei gloriam*. Wystąpienie, pełne ekspresji i dodania odwagi słuchaczom płynnie przeszło w ożywioną dyskusję, a następnie w przerwę kawową.

Uskrzydleni wewnętrznymi i odświeżeni nieco kawą wróciliśmy do przerwanej debaty. W swoim przedłożeniu pt. Służebniczki dębickie w społeczno-religijnym krajobrazie Dębicy chciałam zwrócić uwagę na „ożywcze soki tradycji służebniczek czerpane z korzeni charyzmatu Edmunda Bojanowskiego”, przekazanego pierwszym siostronom, które umiejętnie zaaplikowały go na terenie Galicji. Starałam się wydobyć z archiwów i źródeł poza zakonnymi mało znane, a czasami zupełnie nieodkryte ślady działalności wychowawczo - edukacyjnej służebniczek końca XIX i początkach XX w. nie tylko w Dębicy, ale i w okolicy. Ot, choćby prowadzenie kilku szkół ludowych (Chotowa, Stobierna, Zagorzyce, Żarówka a później Podlesie Żarowskie, Ocieka), a następnie trzech szkół powszechnych, które dla lokalnych społeczności tj. w Ociece, Grabinach i Podlesiu Żarowskim były „kagankami oświaty, ale i światłami niegasnącej nadziei wolności”. Doskonale wiedziała o tym komunistyczna władza, która usunęła służebniczki z prowadzenia tych dzieł wychowawczych na przełomie lat 40. i 50. Ochronki służebniczek, które w ciągu dnia miały za zadanie wychowywanie i edukowanie małych dzieci, wieczorami niejednokrotnie gromadziły ludność wiejską na modlitwę, naukę prac ręcznych, czytanie prasy i dyskusje, pełniły więc funkcje swoistych świetlic. Dodajmy, że ochronki w Stobiernej i Ociece powstały w miejscu karczm żydowskich. W kilku miejscowościach służebniczki zajmowały się też prowadzeniem tzw. sklepików lub Kółek Rolniczych, także w Dębicy, gdzie również prowadziły mleczarnię, uczyły w sześcioklasowej szkole, budząc „szacowny dystans”, ale i pewną sympatię wśród ludności żydowskiej. Siostry zajmowały się także prowadzeniem różnego rodzaju kursów gospodarstwa domowego np. robót ręcznych, trykotarskich, gotowania, ponadto wychowawczo – opiekuńczych, w tym kursów ortografii i pisania. Dla lokalnej społeczności, a czasami zorganizowanych grup, które zwłaszcza w okresie międzywojennym spotykały się w klasztorze przy ul. Krakowskiej, to właśnie przestrzeń klasztorna obok koszar wojskowych (tam też była ochronka dla dzieci wojskowych prowadzona

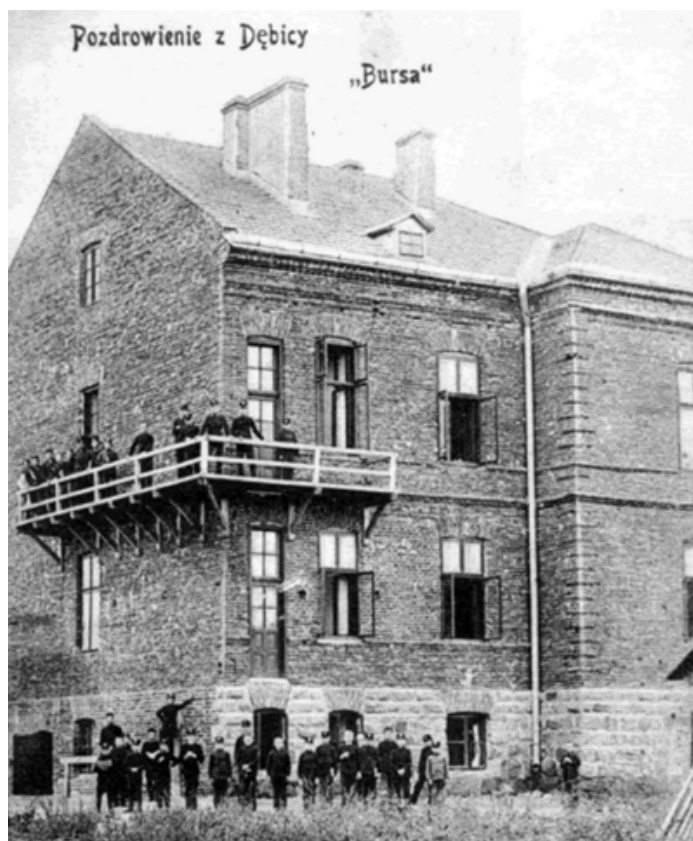


przez służebniczki) i Domu Sokoła były swoistymi centrami, w których tworzyła się lokalna kultura miasta i wokół których gromadziły się poszczególne grupy społeczne (wojskowi, kolejarze, lekarze, robotnicy, prawnicy etc.).

Dębicki klasztor był także na ówczesne warunki „ośrodkiem medycznym”, a z braku szpitala w czasach wojennych lub epidemicznych, klasztorne mury często zamieniały się na mury szpitalne, zresztą siostry jako wykwalifikowane pielęgniarki służyły, chodząc do chorych w domach, czuwając przy konających. Prowadziły aptekę, część lekarstw robiły same, uprawiając i zbierając

odpowiednie zioła. Leki dla ubogich były rozdawane za darmo, o czym rozpisywała się przedwojenna prasa. Nie wspomniałam w referacie o czymś zupełnie oczywistym, mianowicie o tym, że kościół klasztorny obok jedynej dębickiej parafii pełnił nieformalnie rolę kościoła parafialnego dla mieszkańców części zachodniej Dębicy i okolic. Był takim małym zarzewiem duchowości maryjnej bowiem służebniczki Maryi ze swoją duchowością wpisały się w klimat maryjny

emanujący z Zawadzkiego Sanktuarium Pani Ziemi Dębickiej. Nie starczyło też czasu, aby choć wspomnieć (na slajdach zostało to ujęte) o pięk-



Bursa im. Św. Jadwigi w Dębicy, w której posługiwały służebniczki dębickie 1902-1939.
Źródło: Archiwum I LO w Dębicy.

nej karcie, jaką siostry zapisały w dziejach miasta w czasie II wojny światowej: dożywiając ludność – zwłaszcza dzieci, organizując pomoc dla wszystkich, którzy o to prosili (w miarę ich możliwości) ukrywając Żydów, ratując głodnych, więźniów, współpracując z ziemiaństwem i z strukturami państwa podziemnego, aby ocalić godność Polaków. Nie inaczej było w czasach komunizmu. Po prostu trwały w swoim powołaniu zakonnym ze społeczeństwem, pracowały i żyły dla niego, wnosząc w to środowisko powiew „innego” świata Bożego ładu i porządku. Trzecim aspektem, który zaprezentowałam w wystąpieniu z racji jubileuszu 125 – lecia I LO to związki służebniczek dębickich z pierwszą nie tylko w mieście, ale i w okolicy, szkołą średnią (wówczas gimnazjalną).

Ukazałam rolę wychowawczą służebniczek wśród męskiej młodzieży gimnazjalnej, a później licealnej w związku z prowadzeniem Bursy im. Św. Jadwigi przez siostry służebniczki dębickie od początku istnienia tej instytucji. Na tyle, na ile udało mi się pozyskać archiwalia, przybliżyłam słuchaczom na podstawie sprawozdań szkolnych, schematyzmów diecezjalnych, spisów, katalogów etc. różne dane: atmosferę w bursie, metody wychowania społeczno-religijnego, liczby i postacie konkretnych wychowawczyń i administratorów, ponadto warunki i życie w społeczności bursy do 1939 r, gdyż 2 września podczas bombardowania zginęła od pocisku s. Marcela Bródka, pełniąca w tym czasie obowiązki w bursie. Po tragicznych czasach wojny służebniczki nie wróciły już do pracy w dębickiej bursie. Natomiast kolejnym związkiem ze szkołą gimnazjalną była osobowość katechetów, którzy byli jednocześnie i prefektami bursy i kapelanami sióstr. Było ich kilku. Wyakcentowałam dwóch, którzy znacząco wpisali się w historię zarówno Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Wł. Jagiełły, jak i Bursy oraz domu generalnego służebniczek dębickich. Byli to: ks. Błażej Kotfis – w latach 1925-1933 także dyrektor LO oraz ks. Teofil Dec. Obydwaj kapłani wielkiego formatu i niebagatelnej osobowości, oddziaływali na inteligencję miasta, jak i siostry służebniczki. Stali poniekąd za formacją tworzącą się nieformalnie swoistej miejscowej „elity” (jakkolwiek byśmy to dziś rozumieli), która miała pewien wpływ na kształt życia społeczno-gospodarczego Dębicy do lat 90. XX wieku (ks. T. Teofil Dec zmarł w 1992). Trzecią kwestią, którą starałam się uwytknąć w związku z jubileuszem „Jagiellonki” było kształcenie służebniczek





Ks. Błażej Kotfis, od 1902 do 1934 prefekt Bursy im. Św. Jadwigi, Katecheta I LO, a w latach 1925-1933 Dyrektor I LO, Kapelan domu generalnego. Źródło: Archiwum I LO w Dębicy.



Ks. Teofil Dec (1907-1992) Od 1934 prefekt Bursy im. Św. Jadwigi i katecheta I LO, od 1945 do 1992 Kapelan domu generalnego służebniczek dębickich. Źródło: AGSD.

w murach tej szkoły, o czym już napisałam wyżej.

Podsumowując, należy zauważyć, że na przestrzeni prawie półtorawiecznej, służebniczki przez swoją posługę w różnych obszarach życia miasta, wpisały się w jego krajobraz. Przywołam na potwierdzenie film, który powstał dwa lata temu pt.: „Miasto”, reżyser tego filmu i autor scenariusza p. Anna Swęda zadała sobie pytanie, jakby wyglądała Dębica bez sióstr służebniczek? Szukając odpowiedzi przedstawiała różne historie z życia mieszkańców i samych sióstr. Na końcu filmu oglądający znajduje bardzo optymistyczną odpowiedź. W dzisiejszych czasach aktualność charyzmatu służby dzieciom, ubogim i chorym wydaje się być jeszcze bardziej aktualna w kontekście wyzwań cywilizacyjnych, przed jakimi stajemy, co wybrzmiało we wcześniejszych referatach. Postać świeckiego i polskiego pedagoga, jakim był bł. E. Bojanowski staje się zachętą dla świeckich do podejmowania wysiłków wychowawczych wszędzie tam, gdzie to możliwe. System integralnego wychowania wg koncepcji E. Bojanowskiego, sprawdzony w różnych warunkach i czasie, wydaje się być mądrą alternatywą dla współczesnych trendów wychowawczych.

Program integralnego wychowania przedszkolnego wg koncepcji bł. E.

Bojanowskiego jest doskonałym narzędziem, aby móc wchodzić merytorycznie przygotowanym w instytucje odpowiedzialne za edukację i wychowanie oraz małe środowiska, bo w małych społecznościach rodzą się wielkie rzeczy. Są one wciąż skonsolidowane, chłonne i otwarte na polskie treści kulturowe, a przede wszystkim chcą inwestować w przyszłość tzn. zależy im na wychowaniu młodego człowieka.

Pan Tomasz Czaplą, z wykształcenia historyk, dyrektor Muzeum Regionalnego i jednocześnie wice prezes Stowarzyszenia „Dobroć” im. bł. Edmunda Bojanowskiego, swoim przemówieniem dopełnił obraz z przeszłości ukazując teraźniejszość. Tytułem wystąpienia *Tworzenie współczesnej kultury miasta, czerpiąc z rodzimych tradycji* nawiązywał do wątków, które w działalności E. Bojanowskiego były bardzo charakterystyczne: to przede wszystkim praca organiczna i u podstaw z zachowaniem tradycji i rodzimych zwyczajów, a tym samym pielęgnowanie i tworzenie polskiej kultury narodowej. Prelegent wyszedł od etymologii słowa kultura colo/colere (łac.) - uprawiać rolę/ziemię, starannie pielęgnować, strzec, czcić i wielbić. Zwrócił uwagę na istotę kultury, którą jest przede wszystkim uprawa ducha, pielęgnowanie duchowej sfery naszego życia. Oddawanie czci naszej rozumności, duchowości, Temu, który stwarzając nam powierzył tworzenie. *Tworząc kulturę strzeżemy niejako tradycji, z jakiej w istocie ona wyrasta*, podkreślając ten aspekt zauważył kapitalną rzecz, a mianowicie to, że: *Tradycja to rola, którą się uprawia, ale też rola, którą w życiu pełniemy. Tradycja w rozumieniu treści, nie formy, jest tą pierwotną rolą, którą poprzez kulturę człowiek winien uprawiać, nawozić swoim doświadczeniem, dorobkiem intelektualnym.*

Po krótkiej refleksji zadał pytanie: *Czy kultura opierająca się na tradycji: narodowej, duchowej, religijnej, humanistycznej to kultura niszowa?* Wyjaśnił pojęcie: *Nisza w przyrodzie to przestrzeń wyjątkowa, którą się chroni, by zachować to, co najcenniejsze i stymulować naturalny rozwój ekosystemu. Tradycja winna być taką niszą, nie co do formy jednak, ale treści, aby mogła stymulować rozwojem kultury, wpływać na życie kulturalne – korespondując z doświadczeniem każdego kolejnego pokolenia. Chodzi o budowanie kultury trwałej, a nie przejściowej. O trwałości kultury decyduje jej odniesienie do wartości uniwersalnych i ponadpokoleniowych. Tradycja narodowa, religijna, humanistyczna mieści w sobie te wartości, dlatego ma ona szczególną rolę w formowaniu kultury współczesnej Dębicy.*



Bardzo trafnie zauważył prelegent, że w pierwszej kolejności potrzeba formowania stosunku do kultury, a dopiero po tym kreowania życia kulturalnego. Trzeba zrozumieć, iż istotowym elementem tradycji kulturowej są nie tylko wytwory kultury materialnej i duchowej, ale postawa tworzenia-moralno-etyczna, wartościowanie, stosunek do człowieka, do świata, stosunek do Boga. Inaczej mówiąc, w budowaniu kultury trwałej ważny jest więc nie tylko cel, ale i sama droga. W dalszej części przedłożenia wymienione zostały hasłowo komponenty tej drogi: 1. *Bliskość i perspektywa podążania*. 2. *Prawda przekazu i Prawda w przekazie*. 3. *Bezinteresowność – obdarowanie odbiorcy*. 4. *Konsekwentne wychowywanie do kultury*. 5. *Dobry „design”, komunikacja*.

Prowadzący dostrzegł, że drogę tę także ukształtowała tradycja, na którą składają się różne jej odcienie takie jak: muzyczna tradycja klasyczna, tradycje rodzime i regionalne, śpiewacze, teatralne, słowno-muzyczne czy patriotyczne, które można odnaleźć we współczesnych inicjatywach kulturalnych podejmowanych w naszym mieście. Wystąpienie pan dyrektora potwierdziło fakt, że kultura polska pielęgnowana w wielkopolskich i galicyjskich miasteczkach, wiejskich chatach, ochronkach, szlacheckich dworach i plebaniach, była dźwignią narodu w odzyskaniu i budowaniu niepodległego państwa polskiego. *Chodzi o budowanie kultury trwałej, a nie przejściowej. O trwałości kultury decyduje jej odniesienie do wartości uniwersalnych i ponadpokoleniowych. Tradycja narodowa, religijna, humanistyczna mieści w sobie te wartości, dlatego ma ona szczególną rolę w formowaniu kultury współczesnej Dębicy*. Mamy i rozwijamy tradycje a więc korzenie, z których możemy czerpać „ożywcze soki”.

Zwieńczeniem całości było wystąpienie pani Małgorzaty Rauch zastępcy Burmistrza Miasta Dębica. W swoim wystąpieniu skupiła się na poszukiwaniu odpowiedzi, wynikających z pytania: Jak bł. Edmund Bojanowski może dzisiaj inspirować w obszarach edukacyjnych? Zwróciła uwagę na kilka aspektów jego pedagogii aktualnych i ożywiających myśl dydaktyczną po dzień dzisiejszy. Prelegentka podzieliła się swoimi refleksjami w następujący sposób:

Uniwersalność ta wynika z faktu, że w centrum myśli błogosławionego zawsze jest dziecko, które potrzebuje bezpieczeństwa i pomocy we wzrastaniu, a działania wychowawcze, którym jest poddawane muszą, obejmować całość jego bytu, a przede wszystkim respektować różnice indywidualne i potrzeby. Teoria procesu wychowania bł. E. Bojanowskiego, opierająca się na integralności dzia-



łań we wszystkich sferach, tj. intelektualnej, społecznej, duchowej czy zdrowotnej oraz emocjonalnej, jak również postrzeganie człowieka, jest także i dzisiaj, przynajmniej na razie, fundamentem wychowania w niejedynej szkole. W kontekście różnych zmian, w tym społecznych, politycznych, gospodarczych czy postępującej globalizacji, zachodzących także w edukacji, taka koncepcja szkoły wychowującej zostaje poddana próbie. Trudno jest dziś ochronić dziecko od „złych wpływów”, jak również zapewnić młodemu człowiekowi „wszechstronność harmonijnego oddziaływania wychowawczego”, jak widział to w swoim modelu bł. Bojanowski. Zapewne ze względu na fakt, że dająca się zauważyć dysfunkcja najważniejszego z punktu widzenia prawidłowego rozwoju dziecka środowiska, tj. rodziny, nie pozostaje bez wpływu na szkołę i jakość budowanych tu relacji, skuteczność lub nieskuteczność oddziaływań, itp. Nie bez znaczenia jest także tendencja do wycofywania się z roli wychowawczej nie tylko rodziny, ale i szkoły czy nauczyciela, ze względu na wymiar moralny tego procesu, odniesienie go do konkretnych wartości, poszanowania tradycji rodzinnych, narodowych czy religijnych. Na naszych oczach zachodzi proces eliminowania lub redefiniowania wartości oraz zastępowania wychowania - edukowaniem we wszelkich możliwych, także newralgicznych obszarach np. edukacja zdrowotna czy obywatelska. Niezależnie od wszystkiego, wychowując lub nie, wychowując tak, a nie inaczej, musimy się liczyć z określonymi konsekwencjami społecznymi. Na pojawiające się trudności czy „choroby” bł. Edmund Bojanowski miał jedno lekarstwo – prostota i jasne zasady. Może czas udać się do lekarza? skonkludowała pani wiceburmistrz.

Wystąpienie to było dobrym zwieńczeniem całej debaty. Otwierało jednocześnie słuchających na szukanie rozwiązań problemów, zasygnalizowanych w trakcie dyskusji nad wcześniejszymi referatami. Sądzę, że pobudziło uczestników spotkania do osobistej refleksji, a niektórych do zadawania pytań. Część z nich została wyartykułowana i podjęta w krótkiej dyskusji, po której prowadząca całość, s. Katarzyna Szulc podziękowała wszystkim zebranych na sali, zapraszając gości na obiad. W myśl staropolskiego przysłowia, może nieco sparafrazowanego, w „odżywionym ciele – zdrowe myślenie” udano się na spotkanie przy stole w domu generalnym sióstr słuźebniczek przy ul. Bojanowskiego. W przyjaznej rozmowie, w gronie osób zatroskanych i odpowiedzialnych za wychowanie rozwinęto dalszą część rozmowy, dzieląc się pewnymi pomyśłami i spostrzeżeniami. Nie zabrakło również pachnącej kawy i ciasta, wszak



Edmund Bojanowski często rozmawiał w ten sposób z bliskimi.

W zamyśleniu i refleksji wspomnieniowej nad treściami i wydarzeniami ostatnich dni przypominał mi się liryk otwierający Tom I *Dziejów Polski* A. Nowaka: Tęsknimy, wciąż tęsknimy za tym, co już nie wróci, czego może wcale nie było. Za wiekiem złotym, za kadłubkową Sarmacją – Atlantydą. Płacemy za czasami, co nie nam były pisane. Za tym, co odeszło pogrążone w niepamięć. Podglądamy cudze wspomnienia: zastygłe w słowie jak w bursztynie tamto życie. Zgadujemy zatarte napisy na grobach nieznanych. Zwiedzamy muzea, dawne stroje przymierzamy. Czas czytamy wspak. I wciąż pytamy, jak choć na mgnienie tam się przenieść. A jednak tylko tu i teraz jest nam dane. Zadane. Nie sądziłam, że z tych wspomnieniowych perełek utworzy się kilka całkiem dłuższych sznurów, nie wiem na ile cennych, ale może ktoś coś dla siebie odszuka i zachowa. Przyszła myśl, było zmaganie czy coś zostanie? Historia warstwą wydarzeń powleka zmagania sumień. W warstwie tej drgają zwycięstwa i upadki. Historia ich nie pokrywa, lecz uwydatnia.

Chciałabym, aby w jubileuszowym roku dwóch tysięcy dwudziestu pięciu lat chrześcijaństwa, jubileuszu ogłoszonego przez papieża Franciszka Rokiem Nadziei, wstąpiła nadzieja w nas, absolwentów, którzy tworzyliśmy małą, może niektórzy dużą historię, wplecioną jak srebrna nić w 125 lat naszej „Jagiellonki”. Abyśmy mogli w sobie odkryć i odnaleźć symboliczną ziemię, z której wyrastamy i do której zdążamy. Ziemię, która nie przestaje być częścią naszego czasu. Ucząc się nowej nadziei, idziemy poprzez ten czas ku ziemi nowej. I wznosimy ciebie, ziemio dawna, jak owoc miłości pokoleń, która przerosła nienawiść. Obyśmy stali się pielgrzymami nadziei i mogli ją dawać tym, którzy ją tracą.

Dębica, 23 XII 2024 r.



MARIUSZ TROJAN

MOJE DĘBICKIE LICEUM

Żeby dobrze zrozumieć jak ważnym w moim życiu był okres nauki w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Wiktora (teraz im. Króla Władysława Jagiełły) przy ul. Juliusza Słowackiego, muszę poświęcić trochę czasu na opis tego, co było przed, jak i po nim.



Mariusz Trojan

Urodziłem się w „starym” szpitalu w Dębicy, 16 lat po zakończeniu II wojny światowej. Szpital znajdował się wtedy w budynku odebranym w 1954 r. przez tzw. władzę ludową Siostron Służebniczkom Dębickim. Do 3 roku życia mieszkałem na osiedlu Matejki. Z tego okresu pamiętam tylko dwa zdarzenia. Pierwsze, jak zjeżdżałem na sankach z jakiejś górki i drugie, które bardziej utkwіło mi w pamięci, tj. pobyt w szpitalu w związku z operacją, a właściwie urywek z tego pobytu, kiedy, leżąc w łóżeczku, przy którym stała moja mama, mówiłem do doktora Bartusia, że chcę do domu. Potem nastąpiła przeprowadzka do bloku przy ul. Juliana Marchlewskiego (po dekomunizacji obecna ul. Stefana Batorego) sąsiadującej z ul. Gen. Świerczewskiego (obecna ul. Jana III Sobieskiego). To następny bardziej już świadomy kawałek mojego życia. Najpierw uczęszczałem do nieistniejącego już Przedszkola nr 1 na ul. 22 lipca (teraz ul. profesora Gawrysia), potem była Szkoła Podstawowa nr 2 im. Gen. Karola Świerczewskiego (obecnie im. Królowej Jadwigi) przy ul. Ogrodowej i w końcu Liceum Ogólnokształcące im. Jana Wiktora (teraz im. Króla Władysława Jagiełły) przy ul. Słowackiego. Wszystko o przysłowiowy rzut beretem od mojego miejsca zamieszkania.

Czasy dzieciństwa i młodości to kopalnia wydarzeń i wspomnień.

Na blokach była duża grupa chłopaków. W miarę upływu lat nasze zabawy stawały się coraz bardziej wyrafinowane. Piłka nożna, siatkówka, zapasy, badminton, biegi, podchody, ale także wystrzały z puszek z karbidem (zgroza!).

Trzeba tu zaznaczyć, że w tamtym czasie mieliśmy wielu sportowych idoli, poczynając od Orłów Górskiego z W. Lubańskim, J. Tomaszewskim i G. Łatą, poprzez R. Szurkowskiego, W. Fibaka, I. Szewińską, a skończywszy na braciach K. i J. Lipieniach. Właściwie sami organizowaliśmy sobie zabawę, choć nieraz działające na osiedlu ognisko TKKF (Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej) nam w tym pomagało. Z tym, że wiązało się to z próbami wciągania w struktury ZSMP (Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej). W tamtym czasie ideologia i polityka w ogóle nas nie interesowały. Podświadomie jednak czuliśmy, że władzom - od państwowych, po lokalne - nie po drodze jest z Kościołem i że tak naprawdę w Polsce rządzi komunistyczna Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Cieszyły nas organizowane przez siebie mecze i różne zawody sportowe. Zachwyceni opowiadaniem Karola Maya współzawodniczyliśmy między sobą, wcielając się w Indian i kowboi. Gry, zabawy i podwórkowe turnieje wypełniały nam wiele wakacyjnych i szkolnych dni.

Wakacje dzieliły się na część miejską i wiejską. W Dębicy poza grami i zabawami z kolegami pojawiła się także praca. Rodzice mieli bowiem działkę ogrodową z drzewami owocowymi i warzywami, a ponadto kupili działkę budowlaną i zaczęli budować dom. W okresie żniw, przebywając u dziadków i wujków w Bobrowej, poznawaliśmy z siostrą smak prac polowych i różnych innych zajęć. Pomagaliśmy im ze wszystkich sił. Po latach myślę, że wtedy właśnie zaczęły mi się otwierać oczy na świat wartości.

Nauka w szkole szła mi dobrze. W 3 lub 4 klasie podstawówki tato kupił mi akordeon i wysłał na prywatne lekcje do pana Edwarda Stręka. W 1974 roku powstała w Dębicy Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia i zostałem jej uczniem w klasie akordeonu prof. Władysława Jarosza, a potem prof. Stanisława Gumoli. Tam poznałem swoją przyszłą żonę, choć wtedy nic tego nie zapowiadało, bo 4 lata różnicy między nami było w naszym ówczesnym młodzieńczym wieku przepaścią.

W 1976 roku ukończyłem edukację w szkole podstawowej. Z tamtego czasu utkwiły mi w pamięci szczególnie dwie rzeczy.

Pierwsza – problem z wyborem szkoły średniej. Chodziło mi po głowie technikum budowlane, jednak mama, z którą rozmawiałem na ten temat, przekonała mnie do zmiany decyzji i wybrałem profil mat-fiz. w Liceum Ogól-



noksztalcącym im. Jana Wiktora przy ul. Słowackiego – jedynym istniejącym w ówczesnym czasie liceum ogólnokształcącym w Dębicy.

Druga rzecz – cukier na kartki. Na wakacjach, po ukończeniu podstawówki, zostałem wysłany przez rodziców do „Kaprysu”, aby kupić cukier potrzebny do zrobienia przetworów. W związku z wprowadzoną właśnie przez władze reglamentacją, by to uczynić, trzeba było oprócz pieniędzy posiadać specjalne kartki upoważniające do zakupu pewnej jego ilości. Nie wiem dlaczego, ale zrobiło to na mnie olbrzymie wrażenie. Niby człowiek wiedział, że brakuje w sklepach różnych towarów, ale żeby kartki? Jak się później okazało było to dopiero preludium w systemie kartkowym schyłku PRL-u.

Liceum to niezwykle ważny okres mojego życia. Zdecydowana większość moich koleżanek i kolegów z podstawówki, tak jak ja, dostała się do tej szkoły. Ze sporą grupą trafiłem do jednej klasy, klasy I b. Naszą wychowawczynią została polonistka, pani profesor Teresa Czyżowska. Nauczycielami innych przedmiotów byli m.in.: matematyki – prof. Kazimierz Gwóźdź, fizyki – prof. Czesław Surowiec, historii oraz propedeutyki nauki o społeczeństwie – prof. Maria Marek, biologii – prof. Zofia Wawrzaszek, geografii – prof. Zdzisław Czerny, przysposobienia obronnego (PO) – najpierw prof. Stefan Dziepak (z-ca dyr. szkoły), a potem mjr. rez. Antoni Pluta, języka rosyjskiego, najpierw – prof. Ferdynand Bachurski, a później prof. Józef Nowak, wychowania fizycznego (WF) – prof. Andrzej Mol, plastyki – prof. Stanisław Kocoń. Mieliśmy też jako przedmiot nadobowiązkowy, wprowadzony po raz pierwszy do nauczania, informatykę. Nauczycielką tego fakultetu była prof. Krystyna Kumiega. Powiem szczerze, że nie bardzo mieliśmy pojęcie, o czym na tych zajęciach była mowa.

Funkcję dyrektora liceum sprawował wówczas prof. Edmund Galas. Była to elitarna, wymagająca, stojąca na wysokim poziomie szkoła średnia, śmiało konkurująca z najlepszymi tego typu placówkami w Polsce.

Lekcje religii prowadzone przez księdza Knutelskiego odbywały się na plebani parafii p.w. Św. Jadwigi. Kościół nie był mile widzianą przez ówczesne władze instytucją. Zajęcia miały całkowicie rozłączny, niezależny od szkolnych, charakter, można wręcz powiedzieć, że ze względu na konflikt wartości były z nimi na torze kolizyjnym. Z perspektywy lat muszę przyznać, że choć nauka religii nie była dla mnie wtedy szczególnie ciekawa, to jednak w jakiś



tajemniczy sposób kształtowała moje postawy i formowała wartości.

W licealnym programie nauczania obowiązywała zasada, że uczniowie mieli zajęcia albo z plastyki, albo z muzyki. Mojej klasie przypadła plastyka z prof. Koconiem. Muzyki w liceum uczył prof. Ludwik Tyrpin, który pełnił jednocześnie funkcję dyrektora świeżo powstałej szkoły muzycznej. W tamtym czasie obowiązkiem każdego ucznia było odpracowanie tzw. godzin społecznych, które miały duży wpływ na stopień z zachowania na świadectwie. Nie przypominam sobie, ile tych godzin trzeba było odpracować, ale pamiętam, że za uczestnictwo w chórze szkolnym prowadzonym przez prof. Tyrpina otrzymywało się ich chyba ok. 40 za półrocze. Zapisalem się więc do chóru. Minęło niewiele ponad 2 miesiące od rozpoczęcia roku, a mało brakowało, żebym w związku z byciem chórzystą nie wyleciał z hukiem ze szkoły. Był początek listopada 1976 r., kiedy chór pod dyktando prof. Tyrpina miał w auli występ uświetniający rocznicę rewolucji październikowej, czyli pamiątkę wybuchu rewolucji bolszewickiej w Rosji w 1917 roku. Moim normalnym miejscem w chórze był trzeci, tylny rząd z prawej strony, patrząc od strony widza. Feralnego dnia ktoś z pierwszego rzędu ubrał się niewystarczająco odświętnie i prof. Tyrpin przestawił mnie za niego do pierwszego rzędu. Miejsce z tyłu dawało poczucie tego, że nie trzeba było umieć na pamięć śpiewanego tekstu. Zerkanie przeze mnie na ściągę podczas śpiewania nadawało, jak się później dowiedziałem, przekomiczny obraz całemu naszemu występowi. Docierały do mnie wprawdzie z widowni podczas występu salwy śmiechu, ale nie zdawałem sobie sprawy dlaczego. Dowiedziałem się jednak błyskawicznie po tym, jak zasunęły się kotary. Wściekły dyrygent krzyknął: „Trojan, wynoś się stąd, jesteś wyrzucony z chóru”. Wyszedłem z sali, gdzie natknąłem się na panią prof. Wawraszek, która zachwycona rzuciła do mnie: „Byłeś znakomity”. Speszony skierowałem się w kierunku schodów, gdzie dopadł mnie w furii prof. Bachurski. Odwróciłem się i uciekłem przed nim. Fakt, że nie wyrzuciono mnie ze szkoły za ośmieszenie tak ważnej w tamtym czasie uroczystości, zawdzięczam zapewne nieobecności w tym dniu dyrektora Edmunda Galasa. Jako ideowy komunista, prominentny ówczesnie działacz partyjny, był w tego typu sprawach bezwzględny.

Dyrektor Galas nie był moim nauczycielem, ale w okresie nauki w liceum kilka razy zetknąłem się z nim w bezpośredniej relacji. Bodajże w drugiej kla-



sie wszedł do nas podczas lekcji i zakomunikował, że potrzebuje dwóch chłopców do pomocy. Wypadło na mnie i kolegę. Wziął nas do swojego fiata 125p i pojechaliśmy do dębickiego Polifarbu po farby. Po powrocie dyrektor wycofał pojazd przed budynek szkoły. Nie wiem jak to się stało, ale przy próbie wyjścia z samochodu, pewnie ze względu na jakąś blokadę, urwałem niechcący wewnętrzną klamkę drzwi. Strach i przerażenie spowodowały, że wyrzuciłem odłupany kawałek i nie przyznałem się do tego. Sprawa nie miała dla mnie przykrego finału. Zapewne odkrycie defektu miało miejsce później i dyrektor nie skojarzył faktów.

Drugie zdarzenie, które mocno utkwilo mi w pamięci, miało miejsce na początku czerwca 1979 r. Mieliśmy lekcję języka polskiego z naszą wychowawczynią prof. Czyżowską, kiedy do klasy wszedł dyrektor i poprosił o dziennik. Potem zaczął sprawdzać, kogo nie było w szkole dzień wcześniej i pytać o powód nieobecności. Uczniowie tłumaczyli się różnie – chorobą lub innymi okolicznościami. Ostatni z przepytanych odpowiedział, że był w Krakowie. Na pytanie dyrektora „Po co”, stwierdził, że na spotkaniu z Ojcem Świętym, który odwiedził Kraków podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Polski. Dyrektor Galas wpadł furie, rzucił dziennikiem na biurko prof. Czyżowskiej i rozkazującym tonem polecił dać pałę z zachowania. Nie pamiętam, jak to się skończyło, bo krótki czas po tym były już wakacje, ale wtedy byłem w totalnym szoku. Próbując z perspektywy lat ocenić kierującego wtedy naszym ogólniakiem prof. Edmunda Galasa, muszę powiedzieć, że z jednej strony był bardzo dobrym organizatorem i szefem placówki edukacyjnej, ale z drugiej strony zatwardziałym ideowym komunistą próbującym narzucić wszystkim obowiązujące ówczesnie w Polsce, jedyne słuszne poglądy. Te dwie tak różne twarze dyrektora ewidentnie do siebie nie pasowały.

Liceum to zderzenie z dużo większymi wymaganiami w porównaniu ze szkołą podstawową. Przyzwyczajony wcześniej do wielu zajęć pozalekcyjnych, np. związanych z muzyką, sportem czy zabawą z kolegami z bloków, nie miałem potrzeby jakoś nadzwyczajnie przygotowywać się do nauki w szkole, bo w podstawówce to, co robiłem, bez problemu wystarczało. Dopiero w 3 klasie zrozumiałem, że czas, by poważniej pomyśleć o przyszłości, zbliżającej się maturze i studiach.



Stwierdziłem, że skoro jestem w klasie matematyczno-fizycznej, przyłożę się właśnie do tych przedmiotów. Tak też zrobiłem, powtórzyłem sobie cały dotychczasowy materiał i na bieżąco nie odpuszczałem już nauki w tym zakresie. Wraz z ukończeniem klasy 3 w liceum, zakończyłem też edukację w Państwowej Szkole Muzycznej I stopnia wygrywając po drodze I Regionalny Konkurs Akordeonowy. Dawny incydent na występie szkolnego chóru poszedł w zapomnienie i relacje z dyrektorem Tyrpinem były znowu bardzo dobre.

Licealny czas obfitował w wiele różnych wydarzeń. Wiedzieliśmy np., że prof. Czerny, uczący nas geografii, jest miłośnikiem muzyki, więc klasowa brać mobilizowała mnie, żebym w razie zagrożenia odpytywaniem, wszczynał na ten temat dyskusję. Zawsze się sprawdzało, profesor uroczco opowiadał zarówno o muzyce jak i na tematy związane z geografią, lekcja mijała. Do historii przeszły zajęcia z wymagającym i dobrze uczącym prof. Gwoździem, który nie odpuszczał wbijania do głowy matematycznej wiedzy również uczniom niewiążącym z królową nauk swojej przyszłości. Było to dla nich mocno frustrujące. Bardzo dobry poziom nauczania fizyki trzymał też prof. Surowiec. Jako klasa mat-fiz. mieliśmy nie 4, a 3 lata chemii w klasach 1-3. Naszym nauczycielem była, w tym przypadku trzymająca poziom, prof. Dominiak, ale jej nieobecność w związku z urodzeniem dziecka, kiedy byliśmy w trzeciej klasie, spowodowała duże luki w zdobyciu chemicznej wiedzy. Poza tym chemia nie bardzo mnie jakoś wtedy kręciła. Jak się okazało, miało to swoje niemiłe konsekwencje w późniejszym okresie mojej studenckiej już edukacji, kiedy musiałem zawiązką nadrobić zaległości w tej materii.

Nie do zapomnienia są lekcje z propedeutyki nauki o społeczeństwie, które prowadziła pani prof. Marek. Zapamiętałem szczególnie początek 1980 r., kiedy jako uczniowie klasy maturalnej analizowaliśmy m.in. z gazety „Trybuna Ludu”, będącej jednocześnie organem prasowym Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, tezy VIII Zjazdu tej partii. Treści tam zawarte, rozjeżdżające się z rzeczywistością, wywoływały w nas wiele wesołości.

Pamiętam też eksperymentalne lekcje z wychowania w rodzinie socjalistycznej, prowadzone przez panią prof. Cierpik, na które patrzyliśmy z przymruczeniem oka.



Dwóch z naszych klasowych kolegów prowadziło tajny zeszyt, zdaje się pod nazwą „W kraju raju”. Tylko dwa czy trzy razy dostąpiłem zaszczytu zajrzenia do niego. Teksty tam zawarte były kwintesencją antykomunistycznych przekonań autorów oraz opisem różnych szkolnych wydarzeń, przedstawianych w żartobliwej, satyrycznej formule. Pewnego razu nauczyciel prowadzący lekcję zauważył, że jeden z tych kolegów nie uważa, zajmując się przeglądaniem czegoś pod ławką. Zażądał oddania mu przeglądanego zeszytu, czego z oczywistych względów ten nie zrobił. Była wielka awantura - wtedy nie do pomyślenia było przeciwstawienie się nauczycielowi. Gdyby te teksty trafiły wtedy w niepowołane ręce, finałem byłby niechybnie kryminał z politycznym tłem.

Pod wodzą prof. Andrzeja Mola zdobyliśmy w roku 1980 mistrzostwo województwa tarnowskiego w piłce siatkowej szkół średnich (Dębica wchodziła wówczas w skład tego województwa). W naszej drużynie grał wtedy m.in. ówczesny pierwszoklasista, Dariusz Marszałek, późniejszy zawodnik pierwszej drużyny seniorów Resovii Rzeszów, AZS-u Częstochowa, a potem trener w Danii i Norwegii. W zespole grało też kilku innych superchłopaków.

I tak niepostrzeżenie przyszedł czas, aby stanąć do egzaminów maturalnych. Z przedmiotów obowiązkowych zdawałem jak wszyscy pisemnie matematykę i język polski. Na przedmioty dodatkowe wybrałem do egzaminów ustnych matematykę i fizykę. Matura poszła mi dobrze, no może poza językiem polskim, gdzie w pracy pisemnej zrobiłem dwa błędy ortograficzne i dostałem z tego egzaminu tróję, choć nigdy wcześniej nie miałem z ortografią problemów.

Moje liceum wyposażało mnie w wiedzę, która zaprocentowała podczas egzaminów wstępnych oraz podczas początkowego okresu studiów. Jestem przekonany, że traktowanie nauczyciela jako swego rodzaju mistrza i posiadającego dużą wiedzę przewodnika, to podstawa w prawidłowym rozwoju i kształtowaniu osobowości młodego człowieka.

Zdając matematykę i fizykę, bez problemów dostałem się we Wrocławiu na Wydział Technologii Żywności ówczesnej Akademii Rolniczej (dzisiejszy Uniwersytet Przyrodniczy). Wybrałem ten kierunek, wiążąc swoją przyszłość z prężnie rozwijającym się producentem żywności, Kombinatem Igłopol, z którego otrzymałem stypendium fundowane. Zdecydowałem się na dalszy



Wrocław, nie bliższy od Dębicy Kraków, ponieważ tam funkcjonował już samodzielny Wydział Technologii Żywności, a w Krakowie działał wówczas jedynie oddział w ramach innego wydziału.

W tamtych latach, po zdaniu egzaminów wstępnych, a jeszcze przed rozpoczęciem studiów, trzeba było odbyć miesięczną tzw. praktykę robotniczą. Przyszli studenci musieli przez miesiąc, jako robotnicy, pracować w przydzielonych zakładach pracy. Nawiasem mówiąc, uważam to za wartościowe doświadczenie. Trafiłem w sierpniu 1980 roku do Browaru Piastowskiego we Wrocławiu, gdzie przez ten czas pracowałem w magazynie i zajmowałem się głównie przetaczaniem beczek z piwem.

Jak się okazało, studia na różnych wrocławskich uczelniach rozpoczęło też kilkoro kolegów z mojego licealnego rocznika. Z częścią z nich utrzymywałem i nadal utrzymuję bardzo bliskie relacje.

Wszyscy wiemy, co działo się wtedy w Polsce - bunt przeciw komunistycznej władzy i wszechobecnym niedostatkom, powstanie Solidarności itd. Polacy poczulili nadzieję na odzyskanie przez Polskę suwerenności i niezależności.

Porwany w wir wydarzeń, po rozpoczęciu roku akademickiego uczestniczyłem w organizowanych spontanicznie spotkaniach, m.in. z działaczami antykomunistycznymi, kombatanami walk o wolną Polskę, ludźmi, którym zależało na dobru Ojczyzny czy naukowcami spoza nomenklatury partyjnej. Zaangażowałem się mocno w powstanie Niezależnego Zrzeszenia Studentów, zostałem też wybrany przez studentów mojego wydziału jako ich przedstawiciel w senacie uczelni. Przyszedł rok 1981, powiew wolności, strajki studenckie, stan wojenny, działalność opozycyjna i pobyt we wrocławskim więzieniu przy ul. Kleczkowskiej. Nie wszystkim takie postawy się podobały, był nawet profesor, który w sposób nieuprawniony próbował wyrzucić mnie ze studiów. Szczęśliwie dla mnie, to się mu nie udało. Duża w tym zasługa prof. Wacława Leszczyńskiego, ówczesnego dziekana mojego wydziału, za co jestem mu do dzisiaj wdzięczny.

Jaki to ma związek z moim liceum? Myślę, że duży. W mojej ocenie to właśnie tutaj zaczęła kiełkować moja tożsamość jako świadomego człowieka. Lata pobytu w szkole średniej, czyli 1976 – 1980, to czas PRL-u ze wszystkimi tego konsekwencjami. Może właśnie dysonanse wybrzmiewające coraz głośniejsze w ówczesnej polskiej rzeczywistości drażniły i otwierały oczy, budziły



powoli świadomość młodego, dorastającego, będącego w okresie naturalnej dla wieku wrażliwości i buntu człowieka. Może właśnie taki czas sprzyjał za-
ważeniu, że coś się w otaczającym nas porządku nie zgadza. Czuć było co-
raz bardziej różnice w tym, co widzimy na co dzień, a tym jak się nam przez
rządzących otaczającą rzeczywistość przedstawia. Kiełkowała świadomość,
że pewnych rzeczy nie powinno się robić, a pewne robić należy. Jestem prze-
konany, że oprócz przekazanej przez nauczycieli wiedzy na dobrym poziomie
i zdobytych przyjaźni, które przetrwały do dzisiaj, to ważna rzecz, jakiej tutaj
doświadczyłem. Ten czas to taki swoisty rodzaj wybudzania z letargu, for-
mujący się fundament, na którym można budować życie. Z perspektywy lat
wiem, że dużo zawdzięczam mojemu Liceum.

Mariusz Trojan

absolwent rocznika 1980.

A.D. 2024.

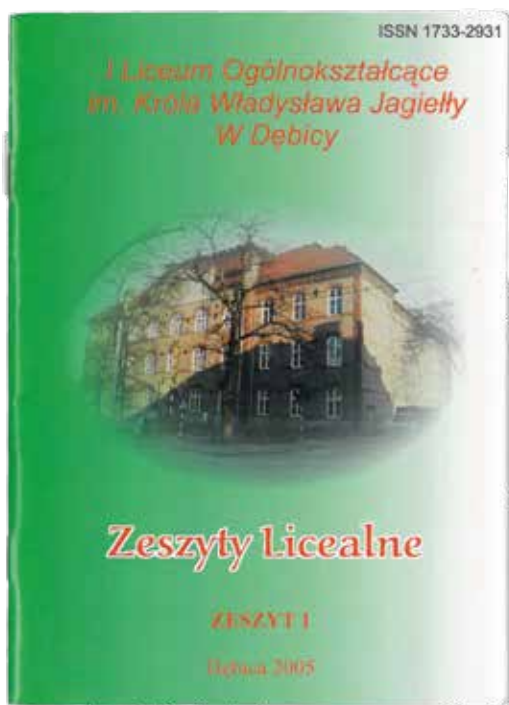




100. rocznica odzyskania niepodległości, 2018 r.



Akademia z okazji rocznicy odzyskania niepodległości, 2023 r.



Archiwum szkolne.





Budowa sali gimnastycznej.



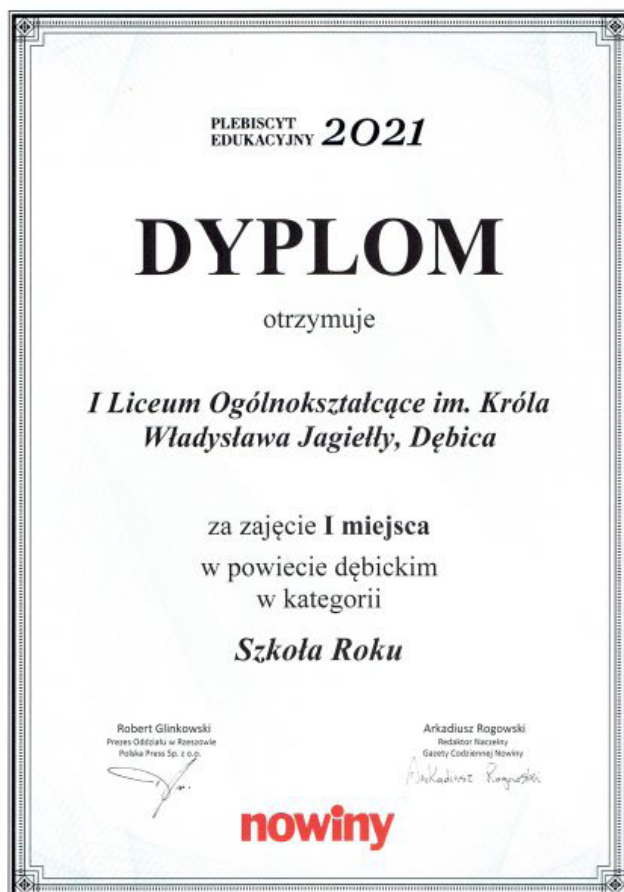
Dyr. Barbara Olechniweicz wśród uczniów, 2016 r.



Uroczyste zakończenie roku szkolnego, czerwiec 2024 r.



Dęby Katyńskie, 2011 r. Wśród uczniów (od lewej) Wojciech Szmaida i Jarosław Urbański..





Dzień nauczyciela, 2015 r.



Dzień nauczyciela, 2010 r. Od lewej: Marta Bonarek-Socha, Ewa Nowacka, Sylwia Szuba-Cyran, Beata Wojnarowska.



Dzień nauczyciela, 2014 rok.



Studniówka, 2020 rok.



Bał charytatywny 12 II 2000 r. Młodzież z klas IV witała wchodzących gości. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.



Erazmus, Grecja, 2022 r.



Erazmus, Grecja, 2024 r.



Fantastyczna noc w „Jagielle”, 2016 r.



Jubileusz 110-lecia szkoły.





Konferencja wyjazdowa, Rymanów-Zdrój 2007 r.



Konkurs piosenki obcojęzycznej, 2014 r.



Uroczyste odsłonięcie popiersia patrona szkoły, 2020 r.



Uroczyste odsłonięcie popiersia patrona szkoły, 2020 r.



Międzynarodowy Konkurs „Na srebrnym globie”, 2015 r.



Prace przy nowym boisku szkolnym, 2013 r.



Oplatek szkolny, 2020 r.



Strzelcy, 2010 r.



Spotkanie integracyjne czerwiec, 2019 r.



Spotkanie emerytowanych nauczycieli, 2013 r.



Spotkanie integracyjne, czerwiec 2018 r.



Spotkanie integracyjne, 2019 r.



Wigilia szkolna, 2010 r.



Wigilia szkolna, 2020 r.



Spotkanie opłatkowe, styczeń 2025 r.



Spotkanie opłatkowe, styczeń 2025 r.



Święto Niepodległości, 2014 r.



Wiosna 2024 r.



Wigilia szkolna, 2024 r.



Wycieczka do Francji, 1996 r. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.



Wycieczka do Grecji, 2000 r. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.



Wycieczka do Włoch, 1997 r. Prywatne zbiory p. A. Dominkak,



Wycieczka do Włoch, 2012 r.



Wycieczka grona pedagogicznego do Krakowa, 29 III 2000 r. Prywatne archiwum p. A. Dominiak.



Wycieczka szkolna do Hiszpanii, 1998 r.
Prywatne zbiory p. A. Dominiak,



Wycieczka szkolna do Włoch, 2012 r.



Wycieczka szkolna Holandia, IV 2021 r. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.



Wyjazd do Grecji, 2022 r.



Wyjazd do Szwajcarii, 2011 r.



100-lecie szkoły. 18 VI 2000 r. Dzień otwarty szkoły. Najstarsi absolwenci odwiedzili pracownię chemiczną.
Od lewej: E. Kubica, matura 1948 r., F. Krzemień, matura 1938 r., J. Kubica, matura 1947 r. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.





100-lecie szkoły. 5-7 VI 2000 r. rekolekcje dla nauczycieli prowadził o. Leon Knabit. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.



100-lecie szkoły. 16 VI 2000r. Przemarsz na cmentarz, na którym uczczono pamięć zmarłych nauczycieli i absolwentów. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.



Obchody 100-lecia szkoły. Prywatne zbiory p. A. Dominiak.





Nadanie czytelnia szkolnej im. L. Górskiej, 2024 r.



Dyr. Ludmiła Stelmach-Kołodziej. Rozpoczęcie roku jubileuszowego 2024/25.



Odsłonięcie muralu, 2024 r.



Nadanie auli imienia prof. K. Pendereckiego i odsłonięcie popiersia, 14 III 2025 r.
Na górnym zdjęcie dyr. L. Stelmach-Kołodziej, na dolnym B. Penderecka, córka profesora.



11 listopada 2010 r.



Narodowe Czytanie „Przedwiośnia”, 2018 r.



Dzień Patrona Szkoły, 2022 r.



Inauguracja roku jubileuszowego 2024/25.



14.10.2024 r.























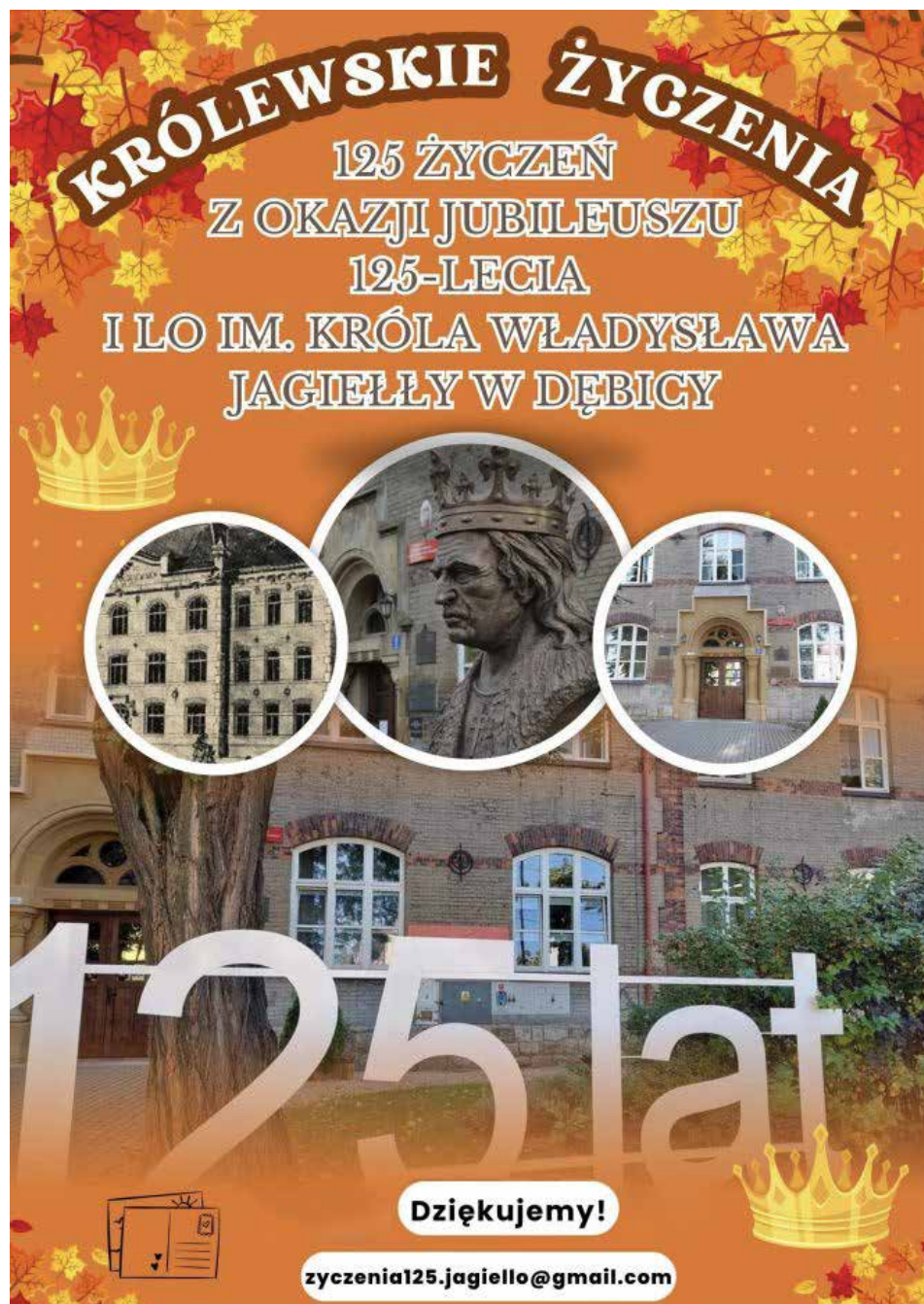












SPIS TREŚCI

<i>Jakub Bieszczad</i>	6
<i>Marta Bonarek-Socha</i>	12
<i>Anna Dropińska-Galas</i>	14
<i>Małgorzata Janicka-Słysz</i>	18
<i>Antoni Karol Kamiński</i>	22
<i>Alicja Krzak</i>	53
<i>Małgorzata Lipińska</i>	56
<i>Wirginia Lis</i>	58
<i>Janusz Mroczka</i>	62
<i>Halina Niziołek</i>	117
<i>Parbara Penderecka-Piotrowska</i>	138
<i>Andrzej Pietrasik</i>	140
<i>Maria Piękoś-Brniak</i>	142
<i>Józef Pluta</i>	152
<i>Agnieszka Skrzypek</i>	162
<i>Mariusz Trojan</i>	209



© Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie
całości lub fragmentów bez zgody wydawcy
i autora jest zabronione

Redakcja:

Ewa Nowacka

Korekta:

Ewa Nowacka, Marta Bonarek-Socha

ISBN:

978-83-959552-7-3

Druk:

Drukarnia Millenium

Mateusz Kasperek Rafał Kasperek

Spółka Jawna

ul. Transportowców 18,

39-200 Dębica

Skład:

Grzegorz Boro Drukarnia Millenium

www.drukmillenium.pl

Sponsorzy:



**POWIAT
DĘBICKI**



**MIASTO
DĘBICA**



Drukarnia Millenium

